

Klementyna Suchanow
i Marta Lempart
Rada to drugi front protestów

Dr Marek Wroński
Coraz więcej plagiatów
na uczelniach

Jak zdobyć
więcej osocza

Puchaczów – największa
zbrodnia podziemia

Gulbinowicz i Dziwisz **CUD NIEPAMIĘCI**



44 zł

Obietnice partii i środowisk politycznych w okupowanym kraju i Londynie

Kto ma rządzić? Jakie będą granice?
Co z reformą rolną?
Co z nacjonalizacją przemysłu?
Polska bez mniejszości?

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska.
Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł,
paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

Wyjątkowa okazja!
Książki
z autografami autorów

Prawdziwa historia Bez cenzury. Bez IPN

**Pakiet 2 tomów
za 75 zł**



44 zł

45 zł

CYTATY

OLIVER STONE,
amerykański reżyser
filmowy

*Prezydentami powinni
być ludzie, którzy
walczą na wojnach,
a nie ci, którzy
je wywołują.*

„Forum”

AGNIESZKA GRAFF,
amerykanistka, feministka

*PiS stało się
zakładnikiem szaleńców
i fundamentalistów
religijnych.*

„Dziennik Gazeta Prawna”

DOROTA WELLMAN,
dziennikarka TVN

*Solidarność nie istnieje.
Jest okropny kraj
podziału, w którym
liczy się zysk i każdego
można kupić.*

„Zwierciadło”

**KS. TOMASZ
KANCELARCZYK,**

prezes Fundacji
Małych Stópek

*Wycie na tych marszach
jest szatańskie.*

„Tygodnik Solidarność”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Gdy państwo abdykuje, rządzi Bąkiewicz

Co roku widzimy to samo. Prawie. Bo biało-czerwonych flag wieszanych z okazji Święta Niepodległości ubywa. A już z pewnością za rządów genetycznych patriotów jakoś znacząco nie przybywa. I gdyby nie te, które pojawiają się na gmachach urzędów z polecenia władz, byłaby pełna bryndza. Jeszcze jeden szary, mglisty, dość ponury dzień i trochę smutnie powiewających flag.

Nie mam pojęcia, skąd się bierze ten powszechny, ogólnonarodowy unik przed biało-czerwoną na balkonie czy bramie domu. Duch konspiracji bierze górę?

A drugi, od paru lat stały symbol tego dnia to bandyckie burdy w stolicy. I policja ściągana z całego kraju. Nazywanie tego świętem jest jakąś polską paranoją. Podobnie zresztą jak określanie mianem patriotów bandyterki, która przyjeżdża wyłącznie po to, by bić, palić, niszczyć i bluźgać. Raz, a nawet dwa razy można się nabrać na patriotyczne hasła. Ale jeśli ktoś kolejny raz bierze udział w czymś takim, to nie może udawać naiwnej niemoty. Przecież dobrze wie, gdzie i po co jedzie. I czym to się skończy.

No właśnie. Jak się kończyły te bandyckie wybryki z ostatnich lat? Kto za nie odpowiada? Ilu sprawców siedzi w więzieniu? Ile zasądzono kar i grzywn? Kto faktycznie płaci za te powtarzające się zniszczenia? Wszyscy czytający ten tekst znają odpowiedź. Zero realnych kar i zero odpowiedzialności. Pozorne ruchy władzy, prokuratury i policji – te dwie są zresztą ubezwłasnowolnione przez partię rządzącą.

Policja zna każdego zadymiarza, który co roku 11 listopada „świętuje”, a przez cały rok daje się we znaki jako kibol. Pertraktowanie z takimi ludźmi jest żalosnym nieporozumieniem. Oni pojmują tylko język siły. Marsze Niepodległości organizuje człowiek, któremu nikt przy zdrowych zmysłach nie powierzyłby własnej myjni samochodowej czy budki z kebabem. Jeśli państwo abdykuje przed takimi jak Bąkiewicz, to kres rządów Zjednoczonej Prawicy jest bliższy, niż myślimy.

Żałośni, choć groźni krętacze przejęli tradycję i hasła, do których nie mają żadnych praw. Taka wizytówka, jak to, co widzieliśmy w Warszawie, kompromituje ruch narodowy.

Co można powiedzieć o państwie, które od lat nie potrafi zagwarantować swoim obywatelom bezpiecznych obchodów ważnego święta? Jak zwykły człowiek, który pracuje, płaci podatki i przestrzega prawa, ma traktować władzę, która jest bezradna wobec zgrai bandziorów? Ale wobec niego – butna i bezwzględna.

Dołącz do wideospotkania
z Leszkiem Konarskim!

17 listopada o godz. 19
w księgarni Cafe Nowa
odbędzie się spotkanie online
z autorem książki
„Nowa Huta – wyjście z raju”

Transmisja na żywo – fanpage
tygodnika PRZEGLĄD na Facebooku



Nie może Cię
z nami zabraknąć!

BĄKOWSKI



W NUMERZE

KOŚCIÓŁ

8 Cud niepamięci

Skończył się okres ochronny dla polskich hierarchów

KRAJ

14 Rząd musi odejść, rada pomoże

– rozmowa z Martą Lempart i Klementyną Suchanow

20 Lekarstwo ozdrowieńców

Problemy z pobieraniem osocza

22 Plagiatowe eldorado

– rozmowa z dr. Markiem Wrońskim

26 Jedziemy po bandzie

Pomoc dla niepełnosprawnych

30 Pandemia – raport z frontu, dzień dwudziesty

W szpitalach bez zmian

PUBLICYSTYKA

16 Robert Walenciak

Pieniądze za praworządność

ZAGRANICA

34 Czy Biden będzie Syzyfem?

Korespondencja z USA

38 Nowa stara Ameryka

Nie ma co czekać na rewolucję

42 Płeć pandemii

Kobiety bardziej narażone

44 Śmierć norek

Zachód likwiduje hodowlę

HISTORIA

46 Mord w Puchaczowie

Największa zbrodnia podziemia

KULTURA

48 Muzyka na kwarantannie

Branża musi być elastyczna

50 Culturalia

66 46. Aukcja Nowej Sztuki

EKOLOGIA

52 Zimowiska

Klimat zmienia zwyczaje ptaków

OBSERWACJE

56 Braterska poliandria

Mieć kilku mężów

SPORT

58 Kto płaci rachunki w polskiej piłce

Mecenas zawodowych piłkarzy

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański

Gdy państwo abdykuje, rządzi Bąkiewicz

25 Jan Widacki

Błędy kardynalne

29 Andrzej Romanowski

Niemówność powszechna

33 Roman Kurkiewicz

Przejazd, marsz, igrzyska, bój

41 Tomasz Jastrun

PiS przegrało wybory w Stanach

51 Wojciech Kuczok

Coś w tym jest

26

KRAJ



JEDZIEMY PO BANDZIE

Pomoc dla niepełnosprawnych



38

ZAGRANICA

NOWA STARA AMERYKA

Nie ma co czekać na rewolucję



52

EKOLOGIA

ZIMOWISKA

Klimat zmienia zwyczaje ptaków

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. MAREK LAPIS/FORUM



Osocze jak deska ratunku

Dr Emanuel Kulczycki
Problem nauki to życzliwe recenzje

Kobieta za kierownicą tira



Nie odpuszczajcie!

Apel pani Olgi Lipińskiej do młodych „Nie odpuszczajcie” to tekst, który powinien trafić do wszystkich Polaków. Wszystko, co pani Olga w nim powiedziała, jest mądre i godne uwagi. Ja czuję dokładnie

tak samo. Pani Olga jest dla mnie wielkim autorytetem. Uwielbiam jej kabaret, który wszystkie kabarety miał i ma pod sobą! Pani Olgo, wierzę w naszą młodzież, wierzę w polskie kobiety. Oni/one nie odpuszczają!

Janina Frykacz

Byłam zbudowana, gdy na protestach widziałam tyłu młodych. Dzięki nim na pewno nie będziemy zadupiem w przyszłości. Żałuję tylko, że sama nie mogłam wziąć na manifestacjach udziału z powodu kwantytany. Ale i tak kawał dobrej roboty odwalono.

Olga Jastrzebska

Olga Jastrzebska

Pani Olga Lipińska zawsze była w awangardzie miłośników rozumu. Niestety, mimo inicjatyw i przedsięwzięć najwyższej klasy, pomysłowości najwyższych

lotów, zaangażowania najwyższej jakości ludzi od pani Lipińskiej po panią Lempart, ze wszystkimi innymi mądrymi wespół i wokół – nie ma efektów. Może więc warto, czerpiąc – choćby od diabła lub Kaczyńskiego – nauki przeróżne, nauczyć się przy okazji SKUTECZNOŚCI? A może warto ludzi rozumnych zachęcić do rozpowszechniania myśli i dorobku prof. Tadeusza Kotarbińskiego, zaczynając od „Traktatu o dobrej robocie”? Mistrz onegdaj rzekł: „Przekleństwem społeczeństw jest, że władzę mają ludzie żądni władzy”, „Anormalność przewlekła staje się normą”. Niestety, opór wobec wyzwań cywilizacyjnych i kulturowych konformistycznej oczadzonej masy nie ustaje, podsycany umiejętnie przez Kościół katolicki oraz „rząd”. I ciągle nie ma wyraźnej odpowiedzi na pytanie, co dalej – co ma być po upadku prezesa.

Piotr Krzeszewski



 Program obywatela

Całkowicie zgadzam się z kilkoma tezami ze wstępnika redaktora naczelnego („Słowo roku 2020”, PRZEGŁĄD nr 46). Również uważam, że opozycja parlamentarna nie ma dziś nic do zaproponowania. Dlatego teraz to nie ja czekam na program,

kóry mi jakiś kandydat zaproponuje, tylko ogłaszam, że jest do pozyskania mój głos, głos obywatela Kowalskiego, jeżeli znajdzie się jakaś siła i kandydat, którzy w swoim programie wezmą pod uwagę następujące propozycje: 1. Nie ma powrotu do zgnitego kompromisu światopoglądowego z 1993 r.

2. Koniec z indoktrynacją światopoglądową w republikańskiej szkole!

3. Koniec z religijnym sztafetażem święt i uroczystości państwowych

Co boskie, to Bogu, ale co cesarskie, to cesarzowi! 4. Natychmiastowa likwidacja pionu światopoglądowego i korpusu jego funkcjonariuszy w służbach i formacjach mundurowych. 5. Podobnie w instytucjach państwowych. Skoro niosą posługę, to nie na etacie, tylko jako wolontariusze swojej ideologii i polityki. 6. Zapożyczenie z ich świata wartości: nie kradnij! To nie jest program walki z wiarą czy religią. To jest natomiast program antyklerykalny.

Janusz Mikołaj Kowalski,
obywatel wyborca



ZDJĘCIE TYGODNIA

Narodowa bitwa pod
Empikiem. Szturm
po wiedzę? Nie,
obchody Święta
Niepodległości, istny
pokaz patriotyzmu
podczas Marszu
Niepodległości,
którego hasłem było:
„Nasza cywilizacja,
nasze zasady”.



eprasa.pl e0df4dfb91



PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego mimo kryzysu PiS lewica nie zyskuje w sondażach?

DR HAB. EWA MARCINIAK,
politolożka, Uniwersytet Warszawski

Odpowiedź, która nasuwa się jako pierwsza, jest następująca: dlatego że nie ma spójnego wizerunku, co wynika m.in. z jej struktury. Lewica nie jest postrzegana jako jedność, a dla wyborców spójność danej formacji, utożsamiana z siłą, ma kluczowe znaczenie. Trójkłonowa struktura skutkuje m.in. supozycjami, że lewica nie będzie mówiła jednym głosem. Druga rzecz: ta formacja chyba przegapiła okazję, aby w bardziej wyrazisty sposób opowiedzieć się za Strajkiem Kobiet, ale także za postulatami młodych. To była szansa, by pokazać się jako siła polityczna, która może być również ich głosem. Lewica nadal bowiem najczęściej kojarzy się nie z Adrianem Zandbergiem, ale z Włodzimierzem Czarzastym, którego można oceniać różnie, na pewno jednak nie jest to twarz młodego pokolenia. Gdyby lewica w większym stopniu eksponowała młodych polityków i polityczki, mogłaby się stać reprezentantem generacji, która protestowała na ulicach.

DR HAB. ANNA PACZEŚNIAK,
politolożka, Uniwersytet Wrocławski

Lewica nie może liczyć, że pożywi się sondażowo na kryzysie Zjednoczonej Prawicy, bo nawet rozczarowany elektorat PiS i jego przystawek nie wpadnie nagle w jej objęcia. Jego część już rozumie, że nie żyjemy w raju na ziemi pod auspicjami Jarosława Kaczyńskiego, ale nadal ma konserwatywne, tradycjonalistyczne, czasem nacjonalistyczne poglądy. Kurczące się słupki poparcia PiS najszybciej przechwyci Szymon Hołownia. Jednak to, co widzieliśmy na

ulicach po orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji, i przemiany, jakie zachodzą w głowach młodych Polaków, ich rodziców i dziadków, to ogromny kapitał, na którym lewica wreszcie może budować swoją pozycję. Jeśli tylko przed wyborami nie zrazi do siebie tych, którzy dzisiaj wykrzykują wygwiazdkowane hasła, tych, którzy są oburzeni stopniem zakłamania części polskich dostojników kościelnych, wreszcie tych, którzy przy okazji pandemii zorientowali się, że PiS nie jest w stanie sprawnie zorganizować żadnej sfery życia społecznego, to realnie zwiększy swój stan posiadania w parlamencie. Niezależnie od zastoju w aktualnych sondażach.

DR RADOŚLAW S. CZARNECKI,
filozof, Społeczne Forum Wymiany Myśli

W dużej mierze dlatego, że działa reaktywnie – nie przedstawia własnych wizji przyszłości, tylko odnosi się do tego, co w danym momencie robi PiS. Drugą ważną przyczyną jest jej chęć podobania się mainstreamowi, która sprawia, że jej program niewiele różni się od postulatów liberałów. I wreszcie lewica boi się wygłaszania zdecydowanych opinii na temat historii, zwłaszcza okresu Polski Ludowej. Nie zamierzam gloryfikować tamtego systemu, który nie bez powodu się zawalił, ale wiele przyjętych w nim rozwiązań było bardzo pozytywnych, a przede wszystkim miliony obywateli w nim się urodziły, uczyły, pracowały, zakładały rodziny. Aby lewica mogła liczyć na szersze poparcie, musi przedstawić własną ocenę historii i wyraźnie zapowiedzieć, jakie rozwiązania socjalne wprowadzi, jeżeli dojdzie do władzy.

CUD NIEPAMIĘCI

Skończył się okres ochronny dla polskich hierarchów

Stanisław Obirek

Historię kard. Stanisława Dziwisza trzeba napisać od nowa w świetle trzech faktów: opublikowanego przez Sekretariat Stanu Stolicy Apostolskiej 10 listopada „Raportu Stolicy Apostolskiej na temat wiedzy i sposobu podejmowania decyzji w sprawie byłego kardynała Theodore’a Edgara McCarricka (1930-2017)”, wyemitowanego 9 listopada przez TVN 24 reportażu Marcina Gutowskiego „Don Stanisłao. Druga twarz kardynała Dziwisza” oraz komunikatu Nuncjatury Apostolskiej w Polsce z 6 listopada w sprawie kard. Henryka Gulbinowicza. Dwa pierwsze fakty ostatecznie pogrążają kard. Dziwisza, trzeci wskazuje na początek nowej polityki Watykanu wobec nadużyć seksualnych, jakich w przeszłości sami dopuścili się polscy biskupi, bądź krycia przez nich przestępców seksualnych.

Trzy ważne fakty

Najpoważniejszy jest oczywiście raport w sprawie McCarricka, który watykański sekretarz stanu kard. Pietro Parolin opatrzył takim oto komentarzem: „Publikujemy raport z bólem z powodu ran, jakie sprawa ta wywołała u ofiar, ich rodzin, w Kościele w Stanach Zjednoczonych, w Kościele powszechnym”. Dziennikarz „National Catholic Reporter” Joshua McElwee swoją analizę 450-stronicowego raportu zatytułował jednoznacznie: „Wybuchowy watykański raport w sprawie McCarricka obwinia głównie Jana Pawła II”. Spokojna lektura tego obszernego tekstu w istocie nie pozostawia żadnych wątpliwości. Błyskotliwa i dla wielu niezrozumiała kościelna kariera Theodore’a McCarricka, pozbawionego w lutym 2019 r. godności kardynalskiej i wydalonego ze stanu kapłańskiego, nie byłaby możliwa bez

osobistego zaangażowania wybranego w 1978 r. na papieża Karola Wojtyły. Istotną rolę odegrał tu również osobisty sekretarz Jana Pawła II, dzisiejszy emerytowany kardynał, Stanisław Dziwisz. Jan Paweł II wymieniony został w dokumencie 111 razy, Dziwisz – 45 razy. Nazwisko innego wpływowego purpurata, kard. Angela Sodana, pojawia się 26 razy. To wymowna statystyka. Na dokładną analizę zawartości raportu trzeba poczekać, ale jedno jest pewne – mit nieskazitelnego papieża i jego dobrodusznego sekretarza runął jak domek z kart. Co ważne, ten bezlitosny ogląd obu postaci zawdzięczamy jednemu z najważniejszych urzędów watykańskich. Czy to oznacza początek procesu „odświeżenia” i „odbeatyfikowania” Karola Wojtyły? Na to pytanie jeszcze za wcześnie. Jednak możemy powiedzieć, że na pomniku „największego Polaka” pojawiła się głęboka rysa. I być może bez Dziwisza tej rysy by nie było.

Mit nieskazitelnego papieża i jego dobrodusznego sekretarza runął jak domek z kart.

Co oznacza zdecydowane stanowisko Watykanu w sprawie kard. Henryka Gulbinowicza? To ciekawość, choć lakoniczny dokument, który warto uważnie przeczytać. Poinformowano w nim, że „w wyniku przeprowadzenia dochodzenia ws. oskarżeń wysuwanych pod adresem kard. Henryka Gulbinowicza oraz po przeanalizowaniu innych zarzutów dotyczących kardynała, Stolica Apostolska podjęła w stosunku do niego decyzję o zakazie uczestnictwa w jakichkolwiek celebracjach lub spotkaniach publicznych oraz używania insygniów biskupich”. Kardynał został też pozbawiony prawa do nabożeństwa pogrzebowego w katedrze i pochówku w katedrze. Nakazano mu również wpłacenie „pewnej sumy pieniędzy jako darowizny na działalność Fundacji św. Józefa powołanej

przez Konferencję Episkopatu Polski w celu wspierania działań Kościoła na rzecz ofiar nadużyć seksualnych, pomocy psychologicznej oraz prewencji i kształcenia osób odpowiedzialnych za ochronę nieletnich”. Jak na watykańskie stosunki to kara wyjątkowo dotkliwa, choć nie do końca wiadomo, czy Gulbinowicz zdaje sobie sprawę z tego, co go spotkało. Ma 97 lat, przebywa w szpitalu, a jego stan określa się jako poważny. Jednak nie sam Gulbinowicz jest ważny, chodzi bardziej o miejsce, jakie zajmował i nadal zajmuje w polskim Kościele. To kara symboliczna, dotycząca wszystkich, którzy dzięki niemu osiągnęli znaczące stanowiska w Kościele. Część z nich, np. zdymisjonowany za krycie księdza pedofila bp Edward Janiak czy emerytowany już abp Sławoj Leszek Głódź, zesłała z kościelnej sceny w niesławie. Można zasadnie domniemywać, że okres ochronny dla polskich hierarchów się skończył.

Wspomniany reportaż „Don Stanisłao. Druga twarz kardynała Dziwisza” oznacza, że owa druga twarz – skorumpowanego i chroniącego pedofilów sekretarza polskiego papieża – jest tą, która na stałe przylgnie do Dziwisza. Poniższa historia ukazuje szerszy kontekst zaskakującej kariery urodzonego w 1939 r. w Rabie Wyżnej duchownego.

Wszystko miało swoją cenę

Kard. Stanisław Dziwisz trafił na czołówki światowych mediów za sprawą reportażu opublikowanego 15 października 2020 r. na opiniotwórczym portalu pisma postępowych katolików amerykańskich „National Catholic Reporter”. Tekst polskiego dziennikarza piszącego dla Onetu, Szymona Piegzy, nie



Stanisław Dziwisz miał bezbłędne wyczucie oczekiwań Jana Pawła II.

Pawła II. Ciągłe jeszcze oczekuje na opisanie kariery byłego kardynała Theodore'a McCarricka, choć watykański raport w jego sprawie część tajemnicy ujawnia. Wszystko miało swoją cenę. Najwyżej cenioną walutą była wierność doktrynie, a dokładniej rzecz ujmując, konserwatywnej wizji seksualności, i bezkrytyczna wierność papieskiemu nauczaniu.

Te dwa wymiary katolicyzmu stały się wyznacznikiem doktryny Jana Pawła II. Stanisław Dziwisz miał bezbłędne wyczucie oczekiwań suwerena. Podejrzani o brak wierności nie byli dopuszczani przed papieskie oblicze, nie mogli też liczyć na żadne urzędy, a często tracili nawet katedry uniwersyteckie. Boleśnie przekonał się o tym już w 1979 r. jeden z najbardziej znanych teologów katolickich Hans Küng, który stworzył długą listę teologów oskarżanych o odejście od prawowiernej doktryny. Zresztą nie wszyscy o ten dostęp się starali. Mówiąc krótko, katolicyzm za polskiego papieża stał się religią dworską z wszystkimi tego konsekwencjami. Główną rolę w owym dworskim ceremoniale odgrywał osobisty sekretarz papieża.

Kardynał obnażony

Nie o tym jednak traktował tekst Piegzy. Mówił o czymś zupełnie innym. Już jego tytuł zdradzał treść: „Potężny polski kardynał Dziwisz oskarżony o tuszowanie przypadków pedofilii”. Jak się wydaje, tym razem Dziwisz się nie wywinie, a jego atak na ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego (zdaniem kardynała głównego winowajcy całego zamieszania)

był jednak okolicznościowym reportażem przypominającym bliskie Dziwiszowi daty, które zmieniły jego życie. Jak wiadomo, sto lat temu urodził się Karol Wojtyła, mąż opatrnościowy, który wprowadził Stanisława Dziwisza na światowe salony katolicyzmu. Od czasu wyboru Wojtyły na papieża 16 października 1978 r. wszyscy, którzy chcieli się ogrzać w ciepłe polskiego papieża, musieli zadbać o dobre relacje z don Stanislao, jak nazywali papieskiego sekretarza Włosi, dla których jego nazwisko było nie do wymówienia. Czasem chodziło o pamiątkowe zdjęcie, czasem o miejsce na porannej mszy w prywatnej kaplicy papieża. W większości były to zwykłe zabiegi marketingowe, gwarantujące papieżowi popularność i wyrażające autentyczne przywiązanie do jego osoby, i nie łączyły się z jakimiś dodatkowymi opłatami. Jednak bywało inaczej, co też jest udokumentowane, choć niezbyt dokładnie.

Jak wiadomo, finanse Watykanu należą do pilnie strzeżonych tajemnic i już kolejny papież ma problem z ich poznaniem. Z tą tajemnicą nie

inaczej jest w przypadku don Stanislao. W Rzymie mówiono, że ci, co chcieli zasiadać w pierwszych rzędach na śródowych audiencjach Jana Pawła II, gotowi byli płacić Dziwiszowi nawet 5 tys. dol. Jeśliby tę kwotę pomnożyć przez długie lata sekretarzowania polskiemu papieżowi, to uzbierają się setki milionów dolarów. Wiele znaków zapytania rodzi ofiarowywanie krwi i pamiątek po papieżu (handlowanie nimi, jak

Wszyscy, którzy chcieli się ogrzać w ciepłe polskiego papieża, musieli zadbać o dobre relacje z don Stanislao.

mówi wielu). Wątek finansowy to najmniej poznana sfera działalności Dziwisza, tej tajemnicy pilnie strzeże nie tylko sam don Stanislao, ale i cała struktura kościelna.

Dwóch autorów, Gerald Renner i Jason Berry, w książce „Śluby milczenia. Nadużywanie władzy za pontyfikatu Jana Pawła II” dokładnie opisało trwającą dziesięciolecia bezkarność Marciała Maciela, założyciela Legionu Chrystusa, który miał zawsze łatwy dostęp do Jana

wskazuje, że zdaje sobie sprawę z odpowiedzialności. Tyle że trafiła kosa na kamień, ks. Isakowicz-Zaleski w coraz liczniejszych i śmielszych wywiadach obnaża kłamstwa Dziwisza. Janusz Szymik, główny bohater wspomnianego reportażu, napisał list do papieża Franciszka i ma nadzieję, że cały polski episkopat poda się do dymisji. Ten list został upubliczniony 8 października i żyje już własnym życiem. Píše Szymik: „Obecnie, kiedy upubliczniłem swoją

► historię, kard. Dziwisz nie pierwszy raz zaprzecza, by miał jakikolwiek związek z tuszowaniem nadużyć na tle seksualnym. Wszyscy jednak wiemy, że poczynając od lat 90., odkąd Jan Paweł II podupadł na zdrowiu, w Watykanie wiele od niego zależało. Dziś zaprzecza, że otrzymał od ks. Zaleskiego list w sprawie ofiar, w tym moje świadectwo”. Swój list kończy wezwaniem do działania: „Niestety, po 27 latach walki o sprawiedliwość straciłem już wiarę, że polscy biskupi i arcybiskupi są w stanie poradzić sobie z problemem wykorzystywania seksualnego i że mają chęć i odwagę, by go rzetelnie

dziesiątków lat dziennikarskiego śledztwa i aktywności obrońców ofiar pedofilów w sutannach jest raport w sprawie McCarricka, który rzuca światło na praktyki tuszowania i chronienia pedofilów.

Sprawa, o której napisał dla Amerykanów Piegza, została wcześniej przez dziennikarza dokładnie opisana na portalu Onet. Podjęły ją również inne media. Najważniejsza w tej dramatycznej historii jest postać Janusza Szymika, ofiary seryjnego pedofila ks. Jana Wodniaka (patrz ramka). Ten ksiądz przez dziesięciolecie nie tylko cieszył się powszechnym szacunkiem w Międzybrodziu

lub nieprzyznawania wagi problemu oraz, co za tym idzie, braku impulsu nawrócenia i oczyszczenia, a także ubranego w wytarte frazy kręactwa służącego chronieniu siebie i dawnego przełożonego”. I ostatnie zdanie: „Nie czekajcie już na nic, porzućcie złudzenia. Czas na czyszczenie struktur, pociąganie do odpowiedzialności i głęboką reformę Kościoła”.

W podobnym tonie wypowiedział się Tomasz Terlikowski, a wpis zatytułowany „Kardynał Dziwisz, czyli ucieczka od odpowiedzialności” ukazał się na portalu katolickiej „Więzi”. Píše Terlikowski: „Mam nieodparte wrażenie, że to nie redaktor Piotr Kraśko zaorał kardynała. On zaorał sam siebie. Udawaniem, brakiem umiejętności wzięcia odpowiedzialności, mową-trawą”. I dodaje w iro-

nicznym tonie: „Tak, to jest takie ludzkie, każdy z nas próbuje uciec od odpowiedzialności, od swoich grzechów, od tego, w czym zawiódł. To jakoś zrozumiałe, ale nie trzeba udzielać wywiadu, żeby pokazać, że nie widzi się ofiar i że jedyne, o czym się myśli, to ucieczka od odpowiedzialności”.

Moim zdaniem z powyższego wynika jedno: Dziwisz jest nie tylko twarzą polskiego Kościoła katolickiego. Ten Kościół jest właśnie taki jak sekretarz Jana Pawła II. Celebруюcy swoją niezwykłość w przestrzeni publicznej i jednocześnie unikający jakiegokolwiek odpowiedzialności za własne uchybienia. Co więcej, każdą próbę zwrócenia na nie uwagi traktuje jako osobisty afront i atak na pamięć świętego papieża.

Katolicyzm za polskiego papieża stał się religią dworską. Główną rolę w tym ceremoniale odgrywał osobisty sekretarz papieża.

wyjaśnić. Dlatego idąc za propozycją kard. Dziwisza, proszę Cię, Ojczy Świąty, o powołanie niezależnego składu takiej komisji i jak najszybsze wyjaśnienie mojej sprawy. Chcę, żeby podobnie jak bp Tadeusz Rakoczy został przykładowo ukarany”.

I tak powinno się stać. Sprawa jest tym pilniejsza, że chodzi o „kustosza pamięci św. Jana Pawła II”, jak Dziwisz lubi się określać. A jeśli byłby przywoity, to powinien przynajmniej przeprosić ofiarę własnych zaniedbań. Nie ma bowiem przesady w mówieniu i pisanu, że od 1978 r. polskim Kościołem katolickim rządził sekretarz Jana Pawła II i to on ponosi współodpowiedzialność za to, co w tym Kościele się działo, zwłaszcza za ciemne tego strony. Robił bowiem wszystko, co w jego mocy, by wiele spraw nie wyśladało na biurku polskiego papieża. Dzisiaj już wiemy, że papieski sekretarz mógł naprawdę wiele. Zostało to dokładnie opisane zwłaszcza przez dwóch Amerykanów, dominikanina Thomasa Doyle’a i dziennikarza Jasona Berry’ego.

Ten pierwszy od wczesnych lat 80. jest obrońcą ofiar nadużyć seksualnych drapieżców w sutannach, drugi zaś autorem przełomowych książek związanych z mroczną postacią założyciela Legionu Chrystusa, Marcia Maciela Degollada. W obu tych narracjach Dziwisz pojawia się wielokrotnie jako człowiek utrudniający dostęp ofiar i ich obrońców do Jana Pawła II. Swoistym podsumowaniem

Bialskim, ale też szczytł przyjaźnią hierarchów krakowskiego Kościoła. Przez kilka lat pełnił szaczną funkcję kapelana kard. Franciszka Macharskiego. Sprawa zyskała dodatkowe nagłośnienie dzięki sporowi między ks. Isakowiczem-Zaleskim a kard. Dziwiszem. Dotyczy on tego, czy ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski dostarczył w 2012 r. kard. Dziwiszowi list obciążający ks. Wodniaka.

Dziwisz zastanawiał się brakiem pamięci, Isakowicz-Zaleski przytaczał zaś niezbitę dowody, że tak właśnie się stało. Sprawa zrobiła się na tyle głośna, że kardynał zdecydował się na dłuższą rozmowę z dziennikarzem TVN 24 Piotrem Kraśką, w której zamierzał wszystko wyjaśnić. Emisja tej rozmowy 20 października okazała się

Dziwisz nie tylko jest twarzą polskiego Kościoła katolickiego. Ten Kościół jest właśnie taki jak sekretarz Jana Pawła II.

prawdziwą katastrofą wizerunkową kardynała – odstąpiła wszystkie słabości sekretarza Jana Pawła II i „strażnika jego dziedzictwa”. Celnie nazwała tę rozmowę katolicka teolożka Zuzanna Radzik, publikując następnego dnia na portalu młodych lewicowych katolików Kontakt tekst zatytułowany „Kardynał obnażony”. Radzik kończy go interesującą uwagą, której nie powstydziliby się najbardziej nieprzejednani antyklerykał: „Ciężko mi się ekscytować tym wywiadem, bo jest pełen dokładnie tego, czego się spodziewałam: niezrozumienia

Jak widać, sami katolicy stracili serce do sekretarza Jana Pawła II. Czas się zastanowić, jak do tego doszło, bo przecież nie może być tak, że jeden, nawet najmniej przemyślany wywiad odstania nam zaskakującą prawdę o człowieku. Ten wywiad to raczej zwięźczenie długiej drogi życiowej Dziwisza. I nie pomoże mu już linia obrony oficjalnych mediów kościelnych z biuletynem KAI na czele, który niepodpisaną relację z nie-szczęsnego wywiadu zatytułował: „Kard. Dziwisz: Chcą przerzucić na mnie odpowiedzialność”.

Historia Janusza Szymika

Janusz Szymik jako 11-latek został ministrantem. Czuł się wybrany przez ks. Jana Wodniaka. „Początek tej historii sięga kwietnia 1983 r., kiedy ksiądz zabrał mnie swoim samochodem na drugą pielgrzymkę Jana Pawła II do Polski – opowiadał reporterowi TOK FM Grzegorzowi Kozielowi. – Dla mnie to było wielkie przeżycie, bo Wodniak był dla mnie jak półbóg. Nie dość, że proboszcz, to jeszcze przecież były sekretarz kard. Macharskiego. Pierwsze kontakty seksualne nastąpiły w kwietniu 1984 r. Ksiądz zaprosił mnie po mszy do zakrystii, potem poszliśmy na plebanie. Zjedliśmy kolację. Proboszcz był serdeczny, opowiadał kawały. To mnie onieśmielało. Potem wstał, zakręcił mnie kilka razy w fotelu i bardzo mocno przytulił. Następnie wsadził moją rękę pod swoją koszulę, naprowadził na okolicę będącego w zwodzie członka. Dla mnie wtedy zawałił się świat, nie wiedziałem, co robić”.

Janusz Szymik mówił, że między nim a księdzem dochodziło do spotkań dwa-trzy razy w tygodniu: „W sumie naliczyłem, że między mną a księdzem doszło do 500 stosunków seksualnych, analno-oralnych, bo do tego się to sprowadzało”.

Mężczyzna był molestowany przez księdza do czerwca 1989 r. „O tym, co robił ze mną ks. Wodniak, mówiłem dwukrotnie bp. Tadeuszowi Rakoczemu. Wydawało mi się, że kiedy w 1993 r. wysłuchał mojego świadectwa, przyjął je ze zrozumieniem. (...) Ale on o wszystkim opowiedział sprawcy i pozostawił ks. Wodniaka na parafii – pisze Janusz Szymik w liście otwartym do papieża Franciszka, który w październiku br. ujawnił portal Onet. – Kolejny raz przedstawiłem ks. bp. Rakoczemu swoje stanowisko w 2007 r. Również tym razem biskup nie zareagował (...). Swoją historię spisałem i przekazałem



ks. Tadeuszowi Isakowiczowi-Zaleskiemu. (...) Ksiądz Tadeusz w 2012 r. przekazał moją historię bezpośredniemu przełożonemu bp. Rakoczemu. Dziwisiowi. Nie przyniosło to jednak żadnego efektu. Sprawca był cały czas bezkarny. W tym czasie dopuścił się kolejnego nadużycia na szkodę osoby mi bliskiej. Dziś już wiem, że ofiar jest co najmniej kilkadziesiąt”.

W 2014 r. ks. Jan Wodniak został odwołany z funkcji proboszcza. Decyzję o usunięciu księdza z parafii podjął następca bp. Rakoczego bp Roman Pindel. Kongregacja Nauki Wiary skazała kapłana na pięcioletni zakaz publicznego wypełniania posługi kapłańskiej oraz nakazała pobyt w odosobnieniu. Ksiądz odbywa tę karę na terenie zakonu franciszkanów w Wieluniu.

Źródła: TOK FM, Onet, Deon

Przypominam, że chodzi tu głównie o sprawę krycia ks. Jana Wodniaka, pedofila, który dzięki temu, że przez lata unikał odpowiedzialności, krzywdził kolejne ofiary. W kwestii zaś szczególnie głośno podnoszonych wysokich opłat od znanych i notorycznych pedofilów, takich jak założyciel Legionu Chrystusa Marcial Maciel Degollado, pamięć akurat Dziwisiowi wróciła z wyjątkową jasnością, gdyż powiedział, że słyszał o tym, że wina jest zrzucana na niego i na Jana Pawła II: „Na miłość boską, nigdy takich pieniędzy nie widziałem. A jeśli składał, to nie wiem gdzie”. Prawdopodobnie i te sprawy zostaną niebawem wyjaśnione.

Marne osobowości nie znoszą wybitnych

Wiadomo, że właśnie Dziwisz pospół z nuncjuszem abp. Józefem Kowalczykiem jest głównym odpowiedzialnym za dzisiejszy kształt polskiego episkopatu. To, że prawie 30 polskich biskupów jest

obciążonych tuszowaniem pedofilii księży, w sposób pośredni obciąża również Dziwisza. Nie wspominam o innych „zasługach” polskich hierarchów, takich jak jednoznaczne opowiedzenie się po stronie „Kościoła toruńskiego” czy równie zdecydowane poparcie dla autorytarnej władzy PiS.

Jednak dla mnie kwestia jest o wiele bardziej złożona i zasługuje nie tyle na mnożenie żarliwych zaklęć i ostentacyjne oburzenie, ile na chłodne, analityczne podejście do instytucji, która na naszych oczach schodzi ze sceny dziejowej ostatecznie skompromitowana. Ostatnim aktem jest wyreżyserowany wspólnie z partią rządzącą spektakl zaostrzenia i tak już jednego z najbardziej restrykcyjnych praw aborcyjnych w Europie, do którego doszło w wyniku wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 22 października. Przejdzie on do historii jako kompromitacja zarówno polityki, jak i religii, które podały sobie rękę w stworzeniu piekła dla kobiet w Polsce. Polska polityka pospół z religią robią wszystko, by

polskie kobiety nie opuściły tego piekła. Na szczęście od 22 października wyszły na ulice i Strajk Kobiet stał się poważnym ostrzeżeniem zarówno dla polskiej klasy rządzącej, jak i dla polskiego kleru katolickiego.

Zejsście Kościoła ze sceny dziejowej nie stanie się ani jutro, ani pojutrze. Nie sprawi tego najbardziej nawet kompromitujący wywiad hierarchy. Będzie to spokojne odchodzenie z Kościoła kolejnych grup jego wyznawców. Tak się działo we wszystkich krajach Europy Zachodniej, łącznie z uchodzącą za wzór katolicyzmu Irlandią, o czym ostatnio przypominała w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” była prezydent tego kraju Mary McAleese. Warto jej słowa przywołać, bo stanowią celny komentarz do tego, co się dzieje w Polsce: „Duchowni stali się nieistotni i stracili wpływ, zresztą z własnej winy. Dlatego autorytet Kościoła od pół wieku słabnie, a jego upadek nabiera tempa, co widać w malejącym wpływie na publiczne dyskusje o roli kobiet, prawach osób LGBTIQ+, ▶

Raport w sprawie Theodore'a McCarricka

Raport watykańskiego Sekretariatu Stanu wskazuje uchybienia papieża, który pozwili na awans byłego kardynała Theodore'a McCarricka mimo powtarzających się zarzutów pod jego adresem o molestowanie seksualne.

Oskarżenia przeciw McCarrickowi pojawiły się, gdy został nominowany na arcybiskupa Waszyngtonu. W raporcie podzielono je na cztery kategorie. (1) „Ksiądz 1” twierdził, że widział McCarricka podczas aktu seksualnego z innym księdzem w czerwcu 1987 r., jego samego zaś McCarrick usiłował nakłonić do aktywności seksualnej później tego samego lata. (2) Seria anonimowych listów wysłanych do Konferencji Episkopatu USA, Nuncjatury Apostolskiej oraz wielu kardynałów w USA w latach 1992-1993 oskarżających McCarricka o pedofilię z jego „bratankami”. (3) Wiadomym było, że McCarrick dzielił swoje łóżko z młodymi dorosłymi mężczyznami w rezydencji biskupiej w Metuchen i Newark. (4) Wiadomym było, że McCarrick dzielił swoje łóżko z dorosłymi seminarzystami w domu na wybrzeżu New Jersey.

„Oskarżenia te zostały ogólnie podsumowane w liście od kard. Johna O'Connora, arcybiskupa Nowego Jorku, 28 października 1999 r. do Nuncjatury Apostolskiej, zaś sam Jan Paweł II dowiedział się o nich niewiele później”, czytamy w raporcie.

Jan Paweł II początkowo zdecydował o wycofaniu kandydatury McCarricka. Zmienił jednak zdanie, gdy 6 sierpnia

2000 r. McCarrick wysłał do bp. Stanisława Dziwisza list, w którym pisał, że nigdy nie miał stosunków seksualnych z nikim ani nigdy nie dopuścił się wykorzystania seksualnego. List ten został przekazany papieżowi. Jan Paweł II McCarrickowi uwierzył i ostatecznie wybrał go na metropolitę Waszyngtonu. A w 2001 r. podniósł do godności kardynała.

Nowy papież Benedykt XVI przedłużył kadencję McCarricka w Waszyngtonie o następne dwa lata. Ponieważ jednak do Watykanu docierały kolejne informacje od jednej z ofiar duchownego, zwrócono się do McCarricka, by zrezygnował ze stanowiska arcybiskupa Waszyngtonu. Benedykt XVI przyjął jego rezygnację w 2006 r.

W 2008 r. abp Carlo Maria Vigano zasugerował papieżowi rozpoczęcie śledztwa kanonicznego. Dochodzenia jednak nie wszczęto, poproszono tylko McCarricka o „prowadzenie życia ukrytego, zaniechanie częstych spotkań publicznych i zminimalizowanie podróży dla dobra Kościoła”. McCarrick kontynuował jednak działalność w USA, podróżował po świecie, odwiedzał też Rzym.

Papież Franciszek początkowo nie widział potrzeby zmiany postępowania wobec McCarricka, „wierząc, że zarzuty zostały już przeanalizowane i odrzucone przez papieża Jana Pawła II, i wiedząc, że McCarrick działał aktywnie za pontyfikatu Benedykta XVI”.



Zareagował, gdy w 2018 r. nagłośnie na została sprawa czynów pedofilskich, jakich McCarrick miał się dopuścić na początku lat 70. w Nowym Jorku, a potem pojawiły się następne sygnały o wykorzystywaniu, w tym o napaści seksualnej w konfesjonale. Kardynał najpierw otrzymał zakaz sprawowania posługi, a w lipcu 2018 r. papież przyjął rezygnację McCarricka z godności kardynała. Proces kanoniczny zakończył się w lutym 2019 r. wydaniem przez Kongregację Nauki Wiary dekrety, w którym uznano go za winnego czynów wobec nieletnich i dorosłych wraz z obciążającą okolicznością wykorzystywania władzy. Na tej podstawie Franciszek wydał byłego kardynała ze stanu kapłańskiego.

Źródła: www.vaticannews.va, Onet.pl

► prawach do reprodukcji, prawach do aborcji, prawach dzieci w kontekście edukacji itp. Kościół walczył, przegrywając bitwy na wszystkich frontach” („GW” 24 października 2020).

Czy jest jakieś logiczne lub choćby psychologiczne wyjaśnienie, dlaczego Dziwisz krył biskupów, którzy ewidentnie kompromitowali Kościół? Wystarczy wspomnieć Henryka Gulbinowicza, Juliusza Paetza, Sławoja Leszka Głódzia czy bohatera filmu braci Sekielskich „Zabawa w chowanego” Edwarda Janiaka. Tę listę można zresztą długo ciągnąć. Jednym z możliwych wyjaśnień jest prosta zasada, że marne osobowości nie znoszą osobowości wybitnych czy chociażby mocnych, więc zadziałała selekcja negatywna.

Dopiero w tym kontekście można zrozumieć karierę Stanisława Dziwisza, jako żywo przypominającą tę Nikodema Dyźmy. Powieść Tadeusza Dołęgi-Mostowicza była przenikliwym paszkwilem na kariery w sanacyjnej Polsce, który mógłby się odnosić do wielu karier w polskim Kościele katolickim za długiego pontyfikatu Jana Pawła II. Podobnie jak w życiu literackiego pierwowzoru w historii tego syna podhalańskiej ziemi zaszyły okoliczności, które wyniosły go na szczyty kościelnej kariery, ale jego człowiecza miałość sprawiła, że nie tylko go przerosły, ale wręcz doprowadziły do tego, że stał się przykładem, by zacytować jeszcze raz Zuzannę Radzik, „kręactwa służącego chronieniu siebie i dawnego przełożonego”.

Budziłem jego irytację lub zniecierpliwienie

Moje drogi wielokrotnie krzyżowały się z drogami Stanisława Dziwisza. Były to przecięcia symptomatyczne i rzucające wiele światła na jego osobowość i sposób postępowania. Znałem oczywiście wielu duchownych, którzy przyjaźnili się i nadal przyjaźnią z kard. Dziwiszem i którzy tej przyjaźni zawdzięczają kościelne kariery. Moje zetknięcia z nim były incydentalne, być może on sam żadnego nie pamięta, czemu zresztą bym się nie dziwił. Przeważnie budziłem jego irytację lub zniecierpliwienie. Sądzę, że takich jak ja spotkał na swojej drodze tysiące i może to tłumaczy jego amnezję.

W Rzymie z różnych powodów bywałem często, miało to związek albo z moimi studiami, albo ze sprawami zakonnymi. Najpierw w latach 1980-1985 studiowałem we Włoszech, a potem w zakonie pełniłem różne funkcje, które wymagały wyjazdu do Rzymu. Podczas jednego z takich pobytów spotkałem się z ks. Mieczysławem Mokrzyckim, który jest moim krajanem. Gdy został on papieskim sekretarzem, spontanicznie zaprosił mnie do siebie i umówiliśmy się na kolejne spotkanie. Kiedy po kilku dniach zadzwoniłem na podany telefon, w słuchawce zabrzmiał znajomy głos don Stanislao. Jego „słucham” skutecznie zamroziło dalsze kontakty z byłym, jak się dość szybko okazało, kolegą. Wiadomo, wszystkie kontakty z otoczeniem Jana Pawła II nadzorował jedyny prawdziwy sekretarz. Choć Mokrzycki został w Watykanie do 2007 r., nigdy na niezależność się nie wybił. Był kontrolowany przez Dziwisza.

Inny charakter miały nie tyle spotkania z Dziwiszem, ile jego reakcje na moje wywiady prasowe. Jeden z nich ukazał się w sierpniu 2003 r. w „Przekroju”, w przeddzień przyjazdu do Polski papieża. Na początku września wezwał mnie na dywanik prowincjał i zakazał mi wszelkich kontaktów z mediami. Gdy proponowałem napisanie np. w „Tygodniku Powszechnym” tekstu (co redakcja, a dokładnie Krzysztof Kozłowski, mi zresztą proponowała), prowincjał powoływał się na oburzenie Dziwisza wymachującego numerem tygodnika z wywiadem, w którym określiłem Jana Pawła II mianem złotego cielca polskiego katolicyzmu. Nałożony na mnie zakaz jedynie nie potwierdził.

Inny przykład dotyczy swego „spiskowania” w Rzymie z przyjacielem z lat dzieciństwa Karola Wojtyły, Jerzym Klugerem. Chodziło o kilka słów papieża na otwarcie muzeum w obozie zagłady w Bełżcu, gdzie wraz z pół milionem polskich Żydów została wymordowana niemal cała rodzina Klugera. Dla Klugera i dla mnie było rzeczą oczywistą, że don Stanislao takiej prośby nie przekaze (jako typowo polski ksiądz uważał, że papież i tak za dużo zajmuje się Żydami). Napisałiśmy więc wspólnie prośbę, którą Kluger przekazał papieżowi do rąk własnych. Było to na tyle skuteczne, że przy otwarciu muzeum takie słowa zostały przez lokalnego biskupa odczytane.

To, że prawie 30 polskich biskupów jest obciążonych tuszowaniem pedofilii księży, w sposób pośredni obciąża również Dziwisza.

Wreszcie wywiad najstępniejszy, bodaj z 2005 r., tuż po śmierci Jana Pawła II, dla belgijskiego „Le Soir”, w którym nazwałem polskiego papieża rozsierzdzonym proboszczem. Wtedy prowincjał nie tylko zakazał mi kontaktu z mediami, ale również pozbawił mnie możliwości prowadzenia wykładów w Ignatianum, gdzie wówczas byłem kierownikiem Katedry Antropologii Kultury. Koniec tych przygód jest wiadomy. W lipcu opuściłem zakon i podjąłem pracę na prywatnej uczelni, której rektor sam zatrudnienie mi zaproponował. Okazało się jednak, że nowy rządca archidiecezji o mnie pamiętał i zrobił wszystko, bym Kraków na zawsze opuścił.

A było to tak. W październiku 2005 r. miałem rozpocząć wykład w Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, z którą miałem podpisaną umowę o pracę na rok. Jednak

dość nieoczekiwanie zostałem wezwany przez jednego z zarządzających uczelnią i dowiedziałem się, że niestety nie mogę pracy podjąć, bo... muszą mnie zwolnić. Chodziło o to, że swoją obecnością szkodzę uczelni, a dokładnie o to, że kardynał nie mógł znaleźć w kalendarzu terminu, by poświęcić nowe skrzydło uczelni, mruczał przy tym: „No bo wy tam macie tego Obirka”. Dopiero zapewnienie, że się mnie zwolni, umożliwiło wspomniane poświęcenie. Gdy dziennikarz „Polityki” Krzysztof Burnetko dopytywał kapelana kard. Dziwisza, czy to prawda, ten odpowiedział, że „kardynał ma ważniejsze sprawy na głowie niż zajmowanie się Obirkim”. Akurat jestem

skłonny w to uwierzyć, jednak faktem jest, że pracę straciłem wskutek działań zapracowanego hierarchy.

Na tym historię właściwie można zakończyć. A w sprawie don Stanislao pozostaje czekać na wynik dochodzenia wiadomych watykańskich dykasterii, które mają wszystko wyjaśnić. Ale być może wyniki tych dochodzeń okażą się „ich prywatną opinią”, bo przecież polski katolicyzm kieruje się własną logiką, dla której zdanie papieża nie-Polaka nie ma większego znaczenia.

Czy to, co napisałem, oznacza koniec kariery Stanisława Dziwisza i jego odejście na śmietnik historii w niesławie? Trudno dociec. Wszystko zależy od reakcji zwykłych ludzi, którzy po prostu zaczynają mieć dość obecności w ich życiu kościelnych karierowiczów.

Stanisław Obirek

Płać mniej! Jeden egzemplarz w prenumeracie ~~7,50 zł~~ **5,69 zł**

Przedłuż pocztową prenumeratę PRZEGŁĄDU

Zostań w domu! Listonosz bezpiecznie dostarczy Twój tygodnik

Zamówienia można składać do 25 listopada 2020 r.

Realizacja od stycznia 2021 r. po dokonaniu przedpłaty

74 zł – I kwartał 148 zł – I półrocze 296 zł – cały rok

- we wszystkich placówkach pocztowych na terenie kraju lub u listonoszy
- drogą elektroniczną pod adresem: prenumerata.poczta-polska.pl



Rozmawia Roman Kurkiewicz

Rada Konsultacyjna przy Ogólnopolskim Strajku Kobiet to pomysł na co?

Marta Lempart: – Od razu była potrzeba zbierania postulatów wykrzyczanych na ulicy. Spływały w setkach mejli, rozmów, telefonów, wpisów na społecznościówkach. Zbierał je Adrian, jeden człowiek, opracowywał, przekazywał mnie. I niemal od razu okazało się, że to jest nie do przerebienia, uporządkowania, merytorycznego ogarnięcia przez dwie osoby.

Rada ma pomagać, a nie radzić?

ML: – Ma zapierdalać.

Ludzie słyszą „rada”, to znaczy, że będzie rządzić.

Klementyna Suchanow: – Nie. Rada pracuje dla ludzi. Na potrzeby organizującego protesty OSK.

ML: – My (ja i Klementyna) jesteśmy złym policjantem. Gdyby ludzie w radzie zapomnieli, że mają rolę służebną, że mają słuchać, zbierać postulaty, dać głos ludziom ulicy, a nie realizować swoje najlepsze pomysły i wizje – to my wkroczymy. Rada ma opracować pakiety postulatów, przygotować rozwiązania, które można wdrażać, proponować.

KS: – Ludzie z rady mają swoje doświadczenie, nierzadko aktywistyczne, teoretyczne, życiowe – mogą zaproponować rozwiązania.

ML: – Ale zadaniem rady nie jest napisanie programu Polska 2060. Rada ma powiedzieć, co robić.

Czyli rada zbiera postulaty, przedstawia w spójnej formie i potem...

KS: – Nie potem, już! Tworzy narzędzia nacisku na władzę od razu: macie w tej sprawie zrobić to i to. Czytelnie mówi, o co chodzi ulicy, i przymusza rząd do reakcji, jednocześnie obnażając jego niekompetencję, która co prawda i tak jest znana, ale nigdy dość przypominania. Rada pokazuje, że obywatele/obywatelki w dwa, trzy tygodnie rozpoznają problemy i znajdują rozwiązania, a wy tu latami siedzicie na stołkach za grube pieniądze i gównie zrobiliście. A ludzi jeszcze bardziej to wkurzy, bo *de facto* pokaże, że rząd nie jest nam do niczego potrzebny, bo my sami możemy w dużo lepszy sposób zaopiekować się sobą.

Naszym problemem jest to, że od kiedy powstała rada, media chcą wiedzieć, czy organizujemy partię

Rząd musi odejść, rada pomoże

Tworzymy narzędzia nacisku na władzę. Przymuszamy rząd do reakcji, jednocześnie obnażając jego niekompetencję



KLEMENTYNA SUCHANOW I MARTA LEMPART z Ogólnopolskiego Strajku Kobiet

polityczną. To kształtuje taką wizję, że jest jakaś klasa polityczna, która uprawia politykę, a z drugiej strony jest społeczeństwo posłusznych owieczek, które ją realizuje, wykonuje polecenia. Chcemy odwrócić ten porządek – obywatele sami tworzą swoją politykę, sami lepiej sobie z tym radzą. I do niczego rządowi nie potrzebują. A rząd może się dowiedzieć, że społeczeństwo teraz czegoś od niego chce, a nie tylko co cztery lata znowu ich wybierze po kampanii kłamstw i propagandy.

Znasz rząd, który czegoś się nauczył od ludzi?

KS: – Nie, ale społeczeństwo się uczy. I na nim nam zależy, a nie na politykach, ci niech się uczą sami.

Rada miała w pierwszym rzucie kilkadziesiąt osób, wybranych według jakiegoś klucza.

KS: – Pierwszy skład został wskazany przez OSK i jego doradców.

A teraz trwa budowa formuły otwartej czy poszerzonej?

KS: – Tak, nie chcieliśmy zaczynać od otwartej formuły, bo ciągle byłaby otwierana. A my w Strajku jesteśmy bardzo przewrażliwione na punkcie bycia skutecznymi. Jeśli mamy do wyboru dwie drogi,

zawsze wybierzemy drogę bardziej skuteczną. I tak wybrałyśmy w sprawie rady. Jesteśmy pod presją czasu. Ulica nie będzie trwała wiecznie. Nie do końca też jest dobrze w sytuacji covidowej wzywać ludzi nieustannie na ulicę. Rada tworzy jakby drugi front obok protestów.

A jest jakiś pomysł na reprezentację tych oddolnych protestów?

KS: – Na reprezentację – na razie nie. 13 listopada skończył się otwarty nabór do rady, zgłaszali się eksperci, środowiska, osoby koordynujące prace zespołów. A potem ma to już być otwarte dla wszystkich, żeby się odnieść do zebranych postulatów, żeby za pomocą cyfrowych narzędzi tę część debaty potraktować maksymalnie partycypacyjnie.

Rada z całą pewnością nie jest ciałem, które reprezentuje protestujących. Przetwarza merytorycznie to, co słychać na ulicy. Mamy taką analizę Społecznego Komitetu Analitycznego, środowiska badaczy rynku i zachowań społecznych, która bada i opisuje uważnie język protestów, postawy młodych ludzi, pola emocji wokół protestów.

Samą Radę Konsultacyjną traktujemy jako ciało eksperckie w kontrolę do niekompetentnego rządu. Chcemy przywracać wiek oświecenia i rozum w Polsce. Nie chcę być zasypywana setkami opinii o szczepionkach, chcę wiedzy i faktów, uznania dla nauki. Niby banalne, ale ostatnio te wartości są jakby zapomniane.

I ponieważ rada ma odgrywać taką rolę, to ma taką, a nie inną strukturę wiekową.

Czyli nie boli was, że rada jest za stara na takie młode protesty?

KS: – Mnie to nie boli. Twarzą tych protestów stali się młodzi ludzie, ale to nie jest tylko ich protest. W ostatnich latach protestowali starzy, a teraz młodzi to przejęli. A my przecież jesteśmy ich matkami i też tam jesteśmy. To bardzo międzypokoleniowa rzecz. Kiedy głos zabierają uczestniczki powstania warszawskiego, widzę absolutną łączność między nimi a tymi młodymi, one walczyły na barykadach w ich wieku. Młodość ducha nie jest związana z metryką.

To jest protest młodych i niech ich będzie jak najwięcej, ale akurat rada zajmuje się czymś innym. Jeśli kiedyś dojdzie do zmiany politycznej, zmiany rządu – to nie wiem...

Dymisja rządu jest postulatem tego ruchu?

KS: – Dymisja rządu jest głównym postulatem wybrzmiewającym na ulicach tak dobitnie, że bardziej się nie da.

Mówisz o słowach...

KS: – ...na j i na w. Tak. Jeśliby kiedyś doszło do rozmów takich jak w 1989 r., to młodzi muszą siedzieć przy stołach negocjacyjnych – to oczywiste. Również nastolatki poniżej 18. roku życia, bo są dużą częścią tych protestów. To jest nowe, niezwyczajne pokolenie dzieci świadomych politycznie, to pierwsze takie pokolenie po 1989 r.

Niewidoczne pokolenie, które przemówiło pełnym, mocnym głosem – nieprzewidywalnie.

KS: – A rada teraz bardzo spuchła, rozrosła się, w niektórych zespołach jest nawet po kilkadziesiąt osób.

Zamknęliście nabór 13 listopada, co ze spóźnialskimi?

ML: – Jak ktoś będzie bardzo super, to i tak go weźmiemy.

KS: – Najważniejsze, czego dotąd się nauczyłyśmy, to oparcie się na zaufaniu między ludźmi. I lojalności. Ludziom z rady dajemy wolność doboru współpracowników.

ML: – Dajemy im pomoc organizacyjną, zatrudniamy do tego ludzi.

Było 13 pól walki grupujących najważniejsze kompleksy postulatów. Co teraz?

ML: – Na pewno dochodzi jeszcze kultura. Jest mnóstwo głosów, że nie można jej pominąć. Ale ulica tego nie wykrzyczała.

KS: – Telewizja, kłamstwa, propaganda – owszem.

Które z grup postulatów wyraźnie urosły?

ML: – Edukacja. Gigant!

KS: – Dorota Łabuda uruchomiła sama ogromną energię w zbieraniu głosów na temat edukacji i także włączyła sporo młodych ludzi.

Któreś grupy postulatów tworzą wyraźnie szpicę?

KS: – Wybijają się oczywiście prawa kobiet i w dobie pandemii: edukacja, ochrona zdrowia, rynek pracy. Dzieci zostają bez komputerów do nauki podczas pandemii – szkół.

Macie harmonogram kolejnych kroków?

KS: – Na pewno język ekspercki będziemy musiały przełożyć na przystępny.

A co z tą reprezentacją?

ML: – Jak będzie taka potrzeba, będziemy to robić, teraz czekamy na efekt pracy rady. Przyszła reprezentacja musi mieć z czym iść chociażby do rozmów. Porządkujemy teraz ten głos protestu.

KS: – Prace rady mają cisnąć na rząd, ale w scenariuszu „zmiana rządu” może to być pakiet pierwszych zmian i nowych regulacji. I to będą postulaty z mandatem ulicy, trudno będzie politykom je zakwestionować, bo to prawdziwy głos ludu, który musi zostać wysłuchany. Z kolei pomysły na rozwiązania zostaną już skonsultowane z ludźmi. To nowy model sprawowania władzy, samorządzenia się społeczeństwa. I zupełnie nowy model komunikowania się obywateli/obywaterek z władzą. To eksperyment polityczny, żeby wywrócić dotychczasowy system. To inwestycja w społeczeństwo. Co z tym zrobią politycy? Mogą być durni jak dotąd albo się włączyć.

Świat polityki instytucjonalnej z wami rozmawia czy stoi z boku i się przypatruje?

KS: – Rządzący srają w gacie, ale starają się tak to robić, żeby nikt nie widział. Ale i tak ten smród czujemy.

A opozycja?

ML: – Kontaktujemy się roboczo. Zachowuje się podejrzanie przyzwicie. Boi się... zepsuć. A jednocześnie robiła coś, co należało zrobić dawno – zarówno Lewica, jak i Koalicja Obywatelska mają mapy posłów i posłanek angażujących się we wspieranie protestujących. Masowo. I dogadują się w tym między sobą.

KS: – Siadają z nami na ulicy. Jednej posłance urwałam nawet pasek od płaszcza, kiedy nas policjanci wyszarpywali i chcieli wynieść z grupy protestującej pod MEN. W pierwszej chwili jej nie poznałam, potem przeproszałam za urwany pasek.

Jesteście zadowolone z tej rady?

ML: – Tak, choć nie ma jak walczyć z kłamstwem, że to rada starych ludzi.

KS: – I jest w niej ponad 90% kobiet, a i tak krytycy zauważają tych czterech facetów. Rada powstaje, formuje się. Dobrze jednak wiedzieć, że to nie jest czysty żywioł, że każdy, kto wyśle mejl ze zgłoszeniem, wejdzie do rady. Dopiero wciągnięcie do prac przez koordynatorki zespołów czyni ją/jego taką osobą.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeklad.pl

Pieniądze za praworządność

Czy Unia znalazła bat na autokratów

Robert Walenciak

Wyszło szydło z worka! Unia Europejska uzgodniła mechanizm powiązania transferu unijnych środków z praworządnością. Jeszcze formalnie go nie przyjęła, ale uzgodniła. Kaczyński w odwecie grozi, że zawetuje unijny budżet i Fundusz Odbudowy. Okazuje się więc, że prezesa nie interesuje ratowanie polskiej gospodarki, gotów jest nawet wyjść z Unii, bo ważniejsze jest dla niego, by mieć wpływ na sędziów, żeby móc im dyktować, jakie mają wydawać wyroki. Władza, niekrępowana niczym, jest dla PiS ważniejsza.

Lipcowy szczyt

Cofnijmy się do lipca 2020 r., do szczytu Unii. Szefowie rządów państw członkowskich podjęli na nim dwie ważne decyzje. Po pierwsze, zaakceptowali projekt budżetu Unii na lata 2021-2027. Ustalono go w wysokości 1,74 bln euro, z czego Polsce miało przypaść 94 mld euro. Po drugie, i to była absolutna nowość, Unia zdecydowała się powołać do życia Fundusz Odbudowy, który ma wspomóc zniszczone przez epidemię COVID-19 gospodarki państw członkowskich. Fundusz oszacowano na 750 mld euro, Polska miała otrzymać 64 mld euro.

„Polska wraca ze szczytu UE jako wielki zwycięzca, jesteśmy największym beneficjentem funduszu spójności, a budżet UE oznacza, że szansa dla Polski na złotą dekadę jest znacząco wyższa”, mówił w Sejmie premier Mateusz Morawiecki. I podkreślał, że „Polska będzie mogła otrzymać z budżetu UE ponad 700 mld zł, z czego ponad 620 mld zł będą stanowiły dotacje”. I że spośród 27 państw Unii otrzymamy najwięcej.

Na tym osiągnięciu cieniem kładł się dla PiS jeden punkt. Otóż szczyt Unii wprowadził mechanizm pieniędzy za praworządność, który zakładał, że kraje łamiące zasady państwa



Iratxe García Pérez, przewodnicząca frakcji S&D, członkini hiszpańskiej PSOE, ostro krytykowała wyrok Trybunału Przyłębskiej w sprawie aborcji.

prawa mogą być karane poprzez wstrzymanie transferów finansowych. W pierwszych zapisach mechanizm ten wyglądał dość nieprecyzyjnie, więc Morawiecki głośno mówił, że pozostaną martwe, że to dla władzy nic groźnego.

W następnych tygodniach trwały zresztą przepychanki dyplomatyczne, żeby ten mechanizm złagodzić. Polaków wspierali Węgrzy. I podczas kolejnych tur wydawało się, że stanowisko Komisji Europejskiej łagodnieje. Że zasada pieniądze za praworządność będzie ograniczona do sytuacji niewłaściwego dysponowania unijnymi dotacjami, marnotrawienia ich, że trzeba to wpiąć w stwierdzenie itd. Powód tak łagodnego podejścia i Komisji, i najważniejszych państw Unii był w zasadzie jeden – europejska gospodarka jest zniszczona przez pandemię, przez ciągłe lockdowny, więc jak kania dżdżu łaknie pieniędzy. To jest najważniejsze dla całego kontynentu. W tym świetle to, co się dzieje na peryferiach Unii, ma niewielkie znaczenie. PiS to wyczuwało.

Wydawało się zatem, że kolejne rozprawy z sędziami ujdą mu na sucho.

Parlament gra twardo

I pewnie tak by było, gdyby do gry nie włączył się Parlament Europejski. Bo to on musi jeszcze za potwierdzenie budżetu Unii. Rzecz w tym, że zasiadają w nim wybrani w demokratycznych wyborach posłowie, którzy czują moc swojego mandatu. Są zdecydowanie bliżej wyborców niż unijni urzędnicy, bliższe są im społeczne nastroje.

A w Europie w ostatnich miesiącach wielokrotnie pokazywano w mediach demonstracje w Polsce, mówiono o „reformie” sądownictwa, pokazywano obrazki z kampanii prezydenckiej, w której pisowskim lejtmotywyem było lżenie osób LGBT i budowanie niechęci do nich. W Parlamencie Europejskim miały też miejsce debaty nad stanem praworządności w Polsce, bezproduktywne, bo przedstawiciele polskiej prawnicy powtarzali swoje.

Nadszedł więc czas rewanzu. Gdy budżet Unii został skierowany do PE, przedstawiciele największych grup zaproponowali negocjacje. To był naturalny ruch, ponieważ budżet, by wejść w życie, musi zostać przegłosowany przez europarlament.

Negocjacje w imieniu Parlamentu prowadził zespół europosłów, na których czele stanął reprezentujący największą frakcję, Europejską Partię Ludową, Petri Sarvamaa. To fiński polityk, były dziennikarz, pracował m.in. w CNN w Atlancie, był także korespondentem publicznej fińskiej

Po pierwsze, zawiera on zapis „zapobiegawczy” – wystarczy, że Komisja Europejska stwierdzi ryzyko poważnych naruszeń prawa, by transfery pieniędzy zostały zatrzymane. Żeby nie karać obywateli, mechanizm zawiera z kolei zapis, że beneficjenci funduszy unijnych (samorządy, organizacje pozarządowe, przedsiębiorcy, studenci) będą w takiej sytuacji mogli składać wnioski wprost do Komisji, bez pośrednictwa rządu.

Zapis zawiera też harmonogram działań w przypadku naruszenia bądź zagrożenia praworządności, tak by

pieniędzmi. Nasza odpowiedź będzie jasna: nie”, mówił w wywiadzie dla „Gazety Polskiej Codziennie” Jarosław Kaczyński. Wiadomo, tak czy inaczej rząd się wyżywi.

„Niemiecka propozycja jest w praktyce niczym innym jak próbą radykalnego ograniczenia suwerenności Polski i Węgier. To środek służący politycznej, kulturowej i ostatecznie też gospodarczej kolonizacji naszych krajów” – to z kolei opinia polityków Solidarnej Polski. Dodajmy, nieprawdziwa, bo mechanizm ochrony praworządności jest *de facto* dziełem Parlamentu Europejskiego, a opowieści o „kolonizacji” to już zupełna fantazja.

Miejmy świadomość – poszanowanie dla rządów prawa jest zapisane w Traktacie o Unii Europejskiej. W art. 2 czytamy, że „Unia opiera się na wartościach poszanowania godności osoby ludzkiej, wolności, demokracji, równości, państwa prawnego, jak również poszanowania praw człowieka, w tym praw osób należących do mniejszości”. A wszystkie te zasady PiS albo łamie, albo nagina. I traktuje obywateli RP jak dziedziczyków pańszczyźnianych. Ignorując, że są oni także obywatelami UE, a Polska jest częścią Unii, przysługuje im zatem prawo do niezależnych sądów.

Będzie weto?

Pytanie więc, czy prawica, tak buńczuczna w oświadczeniach, zdecyduje

Unia jest coraz lepiej przygotowana do wyrzucenia Polski i Węgier.

telewizji w Waszyngtonie. Jest szczególnie uczulony na łamanie kręgosłupa mediów publicznych, na propagandę i kwestię praworządności.

W negocjacjach, które Sarvamaa prowadził z przedstawicielem Niemiec (bo Niemcy sprawują teraz prezydencję w Unii), wspierały go trzy przedstawicielki Socjalistów i Demokratów, wyczulone na łamanie praworządności i praw kobiet. Wielokrotnie mówiła o tym Iratxe García Pérez, przewodnicząca frakcji S&D, członkini hiszpańskiej PSOE. „Oniemiałam. Jestem zbulwersowana barbarzyńskim charakterem tych ograniczeń”, pisała m.in. po wyroku polskiego Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji.

W ten sposób mechanizm ochrony praworządności został nie tylko obroniony, ale jeszcze bardzo mocno rozszerzony. Niemcy w tej sprawie ustąpili, a powód wydaje się oczywisty – im szybciej budżet i Fundusz Odbudowy zostaną przegłosowane, tym szybciej można będzie uruchamiać pieniądze, na które czeka Europa. „Pilnie potrzebujemy Funduszu Odbudowy, aby złagodzić konsekwencje gospodarcze pandemii koronawirusa. Mam nadzieję, że wszyscy to rozumieją i pomogą teraz utorować drogę do szybkiej akceptacji budżetu UE i Funduszu Odbudowy – nie potrzebujemy nowych przeszkód i kolejnych opóźnień w tym zakresie” – to opinia Michaela Claussa, stałego przedstawiciela Niemiec przy UE.

Jak wygląda ten mechanizm?

A na czym polega rozszerzenie mechanizmu ochrony praworządności?

sprawy nie można było przeciągać miesiącami. Otóż po stwierdzeniu naruszenia praworządności bądź ryzyka naruszenia, np. zagrożenia niezależności sądów, Komisja Europejska będzie mogła uruchomić mechanizm prowadzący do zamrożenia środków. Gdy go uruchomi, sprawa trafi pod obrady Rady Unii Europejskiej, gdzie decyduje kwalifikowana większość głosów. Polska i Węgry nie będą zatem mogły niczego zablokować. Rada UE będzie miała trzy miesiące na podjęcie decyzji w tej sprawie. A po tym czasie, jeżeli wniosek nie zostanie odrzucony, Komisja automatycznie podejmie decyzję o zamrożeniu funduszy. W sumie cała procedura będzie trwać maksymalnie sześć miesięcy.

Wystarczy, że Komisja Europejska stwierdzi ryzyko poważnych naruszeń prawa, by transfery pieniędzy zostały zatrzymane.

Tak wyglądają z grubsza najważniejsze zapisy mechanizmu ochrony praworządności. Musi on jeszcze zostać przyjęty przez Radę UE (głosowanie większością kwalifikowaną) i przez Parlament Europejski (co będzie formalnością). Tym sposobem Europa otrzyma skuteczne narzędzie do powstrzymywania autorytarnych zapędów Kaczyńskiego i Orbána.

Krzyki i groźby

I Kaczyński, i Orbán doskonale o tym wiedzą i już grożą, że jeśli Unia wprowadzi ten mechanizm, zawetują budżet i Fundusz Odbudowy. „Nie damy się terroryzować

się na weto. Rzecz w tym, że te groźby nie robią już na politykach Unii wielkiego wrażenia. Bo mają oni plan B, plan C, a może i plan D.

Mówił o tym m.in. Marek Prawda, dyrektor Przedstawicielstwa Komisji Europejskiej w Polsce, w rozmowie z Business Insider. Jak powiedział, pieniądze na odbudowanie gospodarek, te z Funduszu Odbudowy, mogą zostać „wyprowadzone” do zupełnie osobnego funduszu: „Polska w imię walki o przeformowanie swojego stanowiska może więc pozostać bez grosza, a mimo to będzie związana zapisami dotyczącymi praworządności w ramach wieloletniego budżetu”.

► Innymi słowy, w wypadku weta Polski mielibyśmy następującą sytuację: mechanizm ochrony praworządności tak czy inaczej zostałby wdrożony, bo do tego wystarczy kwalifikowana większość w Radzie UE, a taka jest. Budżet Unii na lata 2021-2027 działałby w ramach przewidywania, więc też nic by się nie stało. A co z Funduszem Odbudowy? Jego konstrukcja zakłada, że musi być ratyfikowany przez wszystkie parlamenty państw członkowskich, dopiero wtedy będzie mógł wejść w życie. W jego sprawie będzie zatem debata i będzie głosowanie w polskim Sejmie. Oto więc zasadnicze pytanie: czy PiS jest gotowe poprowadzić,

nosa nacjonalistom z Polski i Węgier. A przegrana Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich te nastroje wzmacnia. I to zdecydowanie. Po 3 listopada jesteśmy w innym świecie.

Pokazuje to reakcja na niedawny list Viktora Orbána. Premier Węgier wystąpił go do kanclerz Angeli Merkel, do szefa Rady Europejskiej Charles'a Michela i szefowej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen. Zagroził w nim zablokowaniem budżetu i Funduszu Odbudowy, jeśli będą one związane z mechanizmem kontroli praworządności. Ale efekt tych gróźb był zupełnie inny niż wcześniej. „Tę sytuację przewidzieliśmy i jesteśmy na nią przygotowani

Wtedy napomknął o tym, podczas dyskusji w parlamencie holenderskim, premier Mark Rutte. Warto przypomnieć, że to Rutte podczas lipcowego szczytu Unii należał do najzgorzalszych krytyków polityki Kaczyńskiego i Orbána, i to on tak się upierał przy mechanizmie ochrony praworządności, że ostatecznie ów mechanizm został do unijnych dokumentów wpisany.

Ale Rutte idzie dalej. Podczas wspomnianej wrześniowej dyskusji miał powiedzieć, że jeśli Polska i Węgry nie będą się stosowały do europejskich zasad, to Unię można powołać na nowo. 25 krajów z niej wystąpi i założy nową Unię. Już bez Budapesztu i Warszawy.

Co ciekawe, ta idea została niedawno powtórzona przez prof. Merijn Chamon z Uniwersytetu w Maastricht w belgijskiej gazecie „De Standaard”. W skrócie: czy możliwe jest założenie na nowo Unii Europejskiej przez 25 obecnych państw członkowskich, ale bez udziału Polski i Węgier? Bardzo trudne, ale nie niemożliwe. Droga do tego mogłaby się zacząć zestawem 25 wniosków państw do instytucji Unii o wystąpienie z UE zgodnie z procedurą opisaną w art. 50 Traktatu o UE, który już został użyty w związku z wyjściem z Unii Wielkiej Brytanii.

Co jeszcze ciekawsze, po publikacji tego artykułu na różnych forach pojawiły się głosy, że podobne plany, jak poradzić sobie z Polską i Węgrami, analizowane są w innych krajach Unii. Owszem, na razie są traktowane jako *political fiction*. Ale specyfika Unii na tym właśnie polega, że jest ona przygotowana na wiele możliwości.

PiS może więc grozić wetem w przypadku wprowadzenia mechanizmu ochrony praworządności. Ale wtedy to ono przegra, a nie Bruksela. Bo łatwo sobie wyobrazić, jak na wojnę z Unią zareagowałoby polskie społeczeństwo.

Najbliższe tygodnie pokażą rzeczywiste intencje Kaczyńskiego dotyczące Unii. Czy chce w niej być, czy też chce z niej wyjść. I to wyjść dlatego, że Unia nie godzi się, żeby robił z sędziami co chce, i ma dość zamordystycznych tendencji w łonie polskiego (i węgierskiego) rządu. Czekamy zatem.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Żeby nie karać obywateli, beneficjenci funduszy unijnych będą mogli składać wnioski wprost do Komisji, bez pośrednictwa rządu.

w obecności kamer, na oczach społeczeństwa, debatę o odrzuceniu 64 mld euro, czyli ok. 280 mld zł? Tylko po to, żeby Kaczyński z Ziobrą mogli wymieniać sędziów.

A nawet gdyby PiS odrzuciło Fundusz Odbudowy, Unia ma na tę ewentualność przygotowane rozwiązanie – ruszyłby on pod nową nazwą i w innych ramach, bez państw, które go zawetowały. Zresztą, patrząc na nastroje w Parlamencie Europejskim, wielkiego żalu w Europie z tego powodu by nie było. Panuje przeświadczenie, że pora utrzyć

– to wypowiedź jednego z ważnych unijnych polityków. – Prezydencja niemiecka będzie rozwiązywała ten problem, bez wątpienia nie dając żadnych koncesji Orbánowi”.

Jeszcze mocniej zareagował Guy Verhofstadt, lider europejskich liberałów. „Nie możemy pozwolić, by Orbán wydułaba porozumienie w sprawie #MFF #NextGenerationEU – tweetował. – Żadnych pieniędzy UE bez wartości UE, żadnych dotacji bez praworządności. Czas sprawdzić jego blef”.

Swój list do przywódców Unii napisał też Mateusz Morawiecki. W przeciwieństwie do Kaczyńskiego i pisowskiego betonu premier nie grozi wetem, ale podważa sam mechanizm pieniędzy za praworządność, tłumacząc, że jest sprzeczny z unijnym prawem. To sugeruje linię działań polskiej dyplomacji.

Wystąpią z Unii?

Eksperti śledzący wewnętrznie debatę zwracają uwagę na jeszcze jeden szczegół. Otóż Unia nie tylko szykuje się do batalii w sprawie budżetu i mechanizmu praworządności, ale jest również coraz lepiej przygotowana do wyrzucenia Polski i Węgier.

Pierwsze tego sygnały pojawiły się jeszcze we wrześniu.

Odszedł

Andrzej Wawrzyniak

Podróżnik, dyplomata, kolekcjoner.

Człowiek wybitny. Niezwykła osobowość.

Pasjonat o wielu talentach.

Jako marynarz pływał na „Darze Pomorza”.

Był oficerem marynarki.

Kierował placówkami dyplomatycznymi w Indonezji, Laosie, Nepalu i Afganistanie.

W 1973 r. przekazał na rzecz państwa

kolekcję składającą się z 4 tys. obiektów.

Jako dyrektor Muzeum Azji i Pacyfiku doprowadził do budowy nowej siedziby i zgromadzenia 22 tys. muzealiów.

W 2017 r. decyzją władz samorządu województwa mazowieckiego muzeum nadano Jego imię.

Barwny i oryginalny. Przyjaciel naszego tygodnika.

Smutno będzie bez Niego.

Rodzinie i Bliskim serdecznie współczuje

Jerzy Domański

Zasmakuj Warmii, Mazur i Powiśla

Regionalne Dziedzictwo Kulinarne to idea promująca produkcję i sprzedaż lokalnej i regionalnej żywności. Jest odpowiedzią na życzenia konsumentów, służy zwiększaniu współpracy między producentami żywności a restauracjami, a także wymianie wiedzy pomiędzy regionami członkowskimi.

Warmia i Mazury, słynące z pięknych krajobrazów, czystej przyrody, doskonałych warunków do żeglowania, mogą poszczycić się wyjątkową kuchnią. Zaskakuje ona kolorami, zapachami i smakami dań przyrządzanych z naturalnych składników, dostarczanych według zasady „od pola do stołu”.

Dziedzictwo Kulinarne WMP to już ponad 130 miejsc, które podkreślają swoje powiązania z regionem i w których można spróbować regionalnych i lokalnych specjałów. Znak „Kulinarne Dziedzictwo Europy” pomoże Wam je odnaleźć. Zasmakujcie w Warmii, Mazurach i Powiślu! //

www.dziedzictwokulinarne.pl

www.facebook.com/DziedzictwoKulinarneWMP

Europejska Sieć Dziedzictwa Kulinarne www.culinary-heritage.com



**Gustaw Marek Brzezin,
marszałek województwa
warmińsko-mazurskiego**



Lekarstwo ozdrowieńców

Osocza wspomagającego leczenie covidu pobieramy zbyt mało.
Nie robimy też wszystkiego, żeby było go więcej

Małgorzata Szczepańska-Piszczyńska

W ostatnich dniach w mediach społecznościowych próśb o osocze przybywa lawinowo. Na Facebooku Bartek Chrzanowski pisze: „Kochani, pilnie mobilizacja. Potrzebna krew dla mojego taty, Romana Chrzanowskiego, krew można oddać w centrum krwiodawstwa przy szpitalu MSW w Bydgoszczy na ul. Markwart. Oddając krew, proszę podać jego imię i nazwisko oraz że leży na oddziale reumatologii w szpitalu Biziela w Bydgoszczy. (...) Mój tata całe życie pomagał innym, proszę teraz, wy mu pomóżcie”. Bożena wpisuje poniżej, że jej przykro. Krystyna informuje, że Bartek i Karol już osocze oddali. W kolejnym wpisie Jolanta zapewnia: „Będzie dobrze, w ludziach jest serce i moc”. A ktoś dramatycznie woła: „Jezu, pomóż!”.

Apelują też lekarze. Andrzej Matyja, prezes Naczelnej Rady Lekarskiej: „Zachęcam i apeluję. Dołączcie do nas, medyków. Dołączcie do tych, którzy pomogli Wam i pomóżcie w uratowaniu innych. Dzięki Wam możemy przechylić szalę w walce z wirusem. Dzięki Wam możemy go szybciej zwalczyć i sprawić, że więcej osób odzyska zdrowie. Ich los jest równy w Waszych rękach! Bądźmy solidarni!”.

Dlaczego osocze?

– Osocze krwi ozdrowieńca zawiera przeciwciała skutecznie walczące z koronawirusem SARS-CoV-2, dlatego jest ważnym lekiem w walce z covidem – mówi dr n. med. Paweł Rajewski, profesor WSG w Bydgoszczy, wojewódzki konsultant w dziedzinie chorób zakaźnych dla Kujawsko-Pomorskiego. – Mamy także remdesivir, który hamuje namnażanie się wirusa, ale to nie jest klasyczny lek przeciw SARS-CoV-2 i nie ma go tyle, ile byśmy potrzebowali, bo zbyt niskie są przydziały ministerialne. Dlatego

jest tak ważne, żeby ci, którzy mogą, oddawali osocze. Żeby leczenie było skuteczne, osocze powinno być podawane w pełnoobjawowym stadium COVID-19. Czyli u chorych, którzy są hospitalizowani z gorączką, z nasilonym kaszlem, z uczuciem duszności, czyli z cechami zapalenia płuc. Najlepiej, jeśli jest podane w pierwszym tygodniu trwania choroby. Gdy chory ma już niewydolność oddechową wymagającą respiratoroterapii czy opieki na OIOM, na osocze jest za późno. Innymi słowy, osocze aplikujemy, gdy wirus SARS-CoV-2 jeszcze nie zdążył zrobić zbyt wielu szkód w organizmie człowieka, nie wywołał jeszcze tzw. burzy cytokinowej.

Oddać osocze można w 21 regionalnych centrach krwiodawstwa i krwiolecznictwa.

– Ale czy robimy wszystko, żeby pozyskać to cenne osocze? – zaczął się zastanawiać Cezary Wojtczak, wieloletni dziennikarz, były szef Polskiego Radia PiK w Bydgoszczy, gdy i jego dopadł koronawirus. Dostał wniosek, że niestety nie. – Najpierw, na szczęście łagodnie, zachorowały dzieci, a potem żona – opowiada. – Ja na końcu, ale przeszedłem, a właściwie nadal przechodzę covid najgorzej z naszej czwórki. Ciągłe nie odzyskałem pełni sił. Pomyślałem, że jak już wirusa pożegnamy całkowicie, dobrze byłoby pomóc innym, podzielić się osoczem. Bardzo szybko się zorientowałem, że to nie będzie łatwe. Najpierw w internecie chciałem zaczerpnąć wiedzy: kiedy i jak możemy to zrobić. Tam znalazłem sprzeczne informacje, np. na temat, czy kobieta, która kiedyś była w ciąży, może być dawcą. Potem wiele godzin nie mogłem się dodzwonić do bydgoskiego centrum krwiodawstwa i krwiolecznictwa. A po rozmowach m.in. w mediach społecznościowych

zorientowałem się, że szukających informacji, jak oddać (i jak pozyskać) osocze, jest bardzo wielu. Najbardziej zdesperowani i najsprawniejsi oczywiście dotrą do potrzebnych danych. I w końcu podzieli się osoczem. Ale ilu się zniechęci? Stać nas na takie marnotrawstwo?

– Szacujemy, że zaledwie połowa ludzi, którzy ozdrowieli po covidzie, może być wstępnie kwalifikowana do pobrania osocza – ocenia Paweł Wojtylak, dyrektor Regionalnego Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa w Bydgoszczy. – Podczas pandemii odebraliśmy osocze od ok. 300 ozdrowieńców. To dużo czy mało? W regionie mamy ok. 4 tys. ozdrowieńców. Ale naiwnością są

kalkulacje, że możemy zebrać 4 tys. jednostek osocza. Bo wśród ozdrowieńców są 70-latkowie i 80-latkowie oraz chorzy, którzy nie kwalifikują się do pobierania osocza. A także osoby zdrowe, które z powodu dawnych przebiegów chorób nie mogą być dawcami. I dlatego uzbieraliśmy tylko 300 jednostek osocza. A potrzeby są dużo większe.

Narodowe Centrum Krwi szacuje, że dotąd polskie centra krwiodawstwa pobrały 9432 jednostki osocza od ozdrowieńców, z czego do leczenia wydano 5454 jednostki osocza z przeciwciałami anty-SARS-CoV-2. Niestety, nie każde osocze nadaje się do leczenia, bo nie każde zawiera odpowiednią ilość przeciwciał. Pytamy NCK, ile tego osocza ozdrowieńców jest dziś potrzebne. Nie dostajemy odpowiedzi.

Długa lista wymagań

Oddać osocze można w 21 regionalnych centrach krwiodawstwa i krwiolecznictwa, niektóre przyjmują



Od ozdrowieńca pobierana jest pełna krew, za pomocą specjalnych urządzeń odseparowuje się samo osocze, a reszta wraca do pacjenta.

osocze także w oddziałach. Żeby zostać dawcą, trzeba ważyć ponad 50 kg, mieć 18-65 lat. Dyskwalifikują choroby przewlekłe: nerek, serca, tarczycy, a także już przebyte: żółtaczkę typu B i C oraz niektóre choroby zakaźne i pobyt w kraju, gdzie występują choroby tropikalne, np. malaria. Dawstwo uniemożliwiają transfuzje lub tatuaż, jeśli został wykonany w ciągu ostatniego półrocza, oraz kolonoskopia lub gastroscopia w ciągu minionych czterech miesięcy.

Przeciwwskazaniem istotnie może być przebyta ciąża. Regionalne Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa w Katowicach długie tygodnie odrzucało ozdrowieńców płci żeńskiej, gdy na pytanie, czy była pani w ciąży, kobiety odpowiadały twierdząco. Okazało się, że tamtejszy ośrodek nie przeprowadzał badań przeciwciał anty-HLA. A bez tych badań nie można wykluczyć, że kobieta ma we krwi te przeciwciała, które u chorych na COVID-19 zamiast pomóc, mogłyby wywołać lub pogłębić ciężką niewydolność oddechową.

– Pobieramy od ozdrowieńca krew pełną i za pomocą specjalnych urządzeń odseparowujemy osocze, a pozostałe składniki krwi zwracamy pacjentowi – objaśnia dyrektor

Wojtylak. – Proces oddawania osocza (500-650 ml) trwa ok. 35-45 minut. Ale cała procedura wymaga minimum półtorej godziny. Dawca musi się zarejestrować, wypełnić ankietę, przejść badanie krwi i poczekać na wynik, no i każdego musi zbadać lekarz. Dopiero po pozytywnym zakończeniu tego etapu można oddać osocze.

Ale tylko wtedy, gdy ochotnik, po pierwsze, przeszedł test (wymaz z nosogardzieli), który potwierdził wykrycie materiału genetycznego wirusa SARS-CoV-2, a więc zakażenie. A po drugie, od zarażenia minęło odpowiednio dużo czasu. U osób, które miały objawy covidu, musi minąć 28 dni od ich ustąpienia. U pacjentów bezobjawowych – 18 dni od zakończenia kwarantanny. Jest jeszcze trzecia grupa, która może się podzielić osoczem (nie wcześniej niż 14 dni od ostatniego pozytywnego wyniku na obecność przeciwciał) – ci, u których nie stwierdzono wcześniej zakażenia, ale obecnie w ich krwi można wykryć przeciwciała.

Dajcie informację!

– Niestety, tacy jak my, którzy chorowaliśmy pełnoobjawowo, ale uznaliśmy, że nie potrzebujemy

testów, tylko leżymy w domu i zdalnie kontaktujemy się z lekarzami, nie możemy się podzielić osoczem, bo nie traktuje się nas jak ozdrowieńców – ubolewa Wojtczak. – Moglibyśmy wprawdzie zrobić testy, ale tylko odpłatnie. A to kosztowne. Taki test kosztuje w Bydgoszczy 380 zł. Trzy (pełnoletnia córka, żona i ja) razy 380 zł to spory wydatek. Czy nasze społeczeństwo stać na rezygnację i z takich jak my?

Cezary Wojtczak nie może się podzielić osoczem, postanowił więc pomóc w inny sposób. Przygotowuje grafikę na wzór angielskiej: *hands, face, space* – RĘCE, TWARZ, DYSTANS, OSOCZE, mającą uświadomić ludziom, że oddawanie osocza przez ozdrowieńców jest równie ważne jak zakładanie maseczek, rękawiczek i zachowywanie dystansu społecznego. Publikuje w mediach społecznościowych informacje na temat pobierania osocza. I przesyła dalej dramatyczne wołania, m.in. to napisane przez Eve Solo: „Kochani, bardzo Was proszę o pomoc. Pilnie potrzebne osocze grupy AB Rh+ od ozdrowieńców lub każda inna krew!!! Osocze potrzebne jest dla mojego męża, dr. Krzysztofa Sołowiewa, który jest w stanie ciężkim i walczy o życie. Jako onkolog pracujący w Centrum Onkologii Ziemi Lubelskiej uratował wiele osób – teraz On potrzebuje pomocy!”.

Wojtczak: – Apeluję do redaktorów naczelnych mediów w całej Polsce o tworzenie poradników i spotów propagujących oddawanie osocza. Dajcie prostą i czytelną informację – kto, kiedy, jak, gdzie i dlaczego. Polacy dzwonią do regionalnych centrów krwiodawstwa i zadają te pytania. Setki razy. A odbierający telefony, zamiast skupić się na ważniejszych sprawach, muszą odpowiadać na okrągło to samo. Jeśli połączymy siły, akcja oddawania osocza ma szansę stać się masowa. Jeśli wyjdziemy poza apele, mamy szansę ocalić kolejnych ludzi.

Jak bowiem przypomina dr Paweł Rajewski, nawet kiedy będziemy mieli szczepionkę, zapotrzebowanie na osocze ozdrowieńców nie zniknie. Bo szczepionka to profilaktyka – ma zapobiegać. Ale jeśli już dojdzie do zachorowania – nadal będzie potrzebne osocze ozdrowieńców.

m.piszczy@tygodnikprzeгляд.pl

Plagiatowe eldorado

Kradzież własności intelektualnej dotarła do prestiżowych uczelni

Rozmawia Bronisław Tumitowicz

Czy to pan jako pierwszy podał w wątpliwość dorobek naukowy byłego rektora Uniwersytetu Gdańskiego prof. Jerzego Gwizdały?

– Ja tylko publicznie podniosłem ten fakt w artykule na łamach miesięcznika „Forum Akademickie”, ale pierwsza wszczęła alarm (poinformowana anonimowo o zapożyczeniach) prof. Monika Marcinkowska z Uniwersytetu Łódzkiego, notabene recenzentka w postępowaniu profesorskim Jerzego Gwizdały. Na początku października 2019 r. napisała do Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów list, w którym oświadczyła, że znalazła plagiat i wycofuje pozytywną opinię. Zarzuty sprawdzano i potwierdziły się, co spowodowało zwrot dokumentów profesorskich przez Kancelarię Prezydenta. Co ważne, prof. Marcinkowska wykryła plagiat w dorobku naukowym prof. Gwizdały już po napisaniu pozytywnej opinii na temat kandydata na profesora, skierowanej do CKST. 28 września br. Centralna Komisja unieważniła postępowanie profesorskie rektora Gwizdały.

Plagiat a sprawa polska

W odpowiedziach i komentarzach Uniwersytetu Gdańskiego pojawia się głównie pańskie nazwisko jako autora artykułu „Wstrzymana profesura” we wrześniowym numerze „Forum Akademickiego”. To 185. odcinek comiesięcznego cyklu publikacji „Z archiwum nieuczciwości naukowej”.

– Problem plagiatów w polskiej nauce się zaostrza. Gdy rozmawialiśmy ostatni raz przed 12 laty, rocznie w kraju wykrywano kilkadziesiąt plagiatów. Dziś jest ich znacznie więcej, a różnica jest jakościowa. Wcześniej do kradzieży własności intelektualnej



Dr hab. n. med. MAREK WROŃSKI

– publicysta naukowy

w nauce dochodziło na uczelniach mniej znanych, można powiedzieć prowincjonalnych. Teraz to zjawisko dotarło do uczelni prestiżowych. Jeśli taką nieuczciwość popełniał np. rektor czy wykładowca Wyższej Szkoły Kupieckiej, problem nie wydawał się znaczący. W ostatnim roku takie wpadki zaobserwowano u rektorów wyższych szkół zawodowych w Nowym Targu i Nowym Sączu. Obaj zaprzeczyli posądzeniom o plagiat,

Samodzielny pracownik naukowy nie może bezkarnie przepisywać.

senaty tych uczelni milcząco zaakceptowały „tłumaczenia” i nic nie zrobiono, aby zweryfikować doniesienia prasowe. Jednego minister nauki już odwołał, a drugi jeszcze pełni obowiązki. Gdy za kilka tygodni zakończy się dyscyplinarne postępowanie wyjaśniające w jego sprawie, nie mam wątpliwości, że odpowiednie kroki zostaną przez nowego ministra nauki podjęte. Przypadek prof. Gwizdały, byłego rektora dużej i znanej uczelni, to już znaczna różnica jakościowa.

Prof. Gwizdała sam zrezygnował z funkcji rektora, chociaż wybrano go na drugą kadencję. Ma pan ogromną siłę sprawczą, skoro może nie tylko skłonić rektora do ustąpienia ze stanowiska, ale także zablokować jego starania o nominację belwederską.

– Prasa czasami ma dużą siłę rażenia, ale w takim przypadku może to zrobić każdy, kto przedstawi dowody naukowej nieuczciwości i zgłosi je do Centralnej Komisji albo do Kancelarii Prezydenta. Jednak prezydentowi RP odebrano prawne możliwości unieważniania tytułów profesorskich już przyznanych, w sytuacji gdy po jakimś czasie odkryto nierzetelność naukową i dobre praktyki naukowe wymagają, aby nominację profesorską unieważnić. Wicepremier Jarosław Gowin jako minister nauki i szkolnictwa wyższego mógł wprowadzić do nowych przepisów zasadę, że nieuczciwie zdobyty tytuł powinien być odbierany. Tak było do końca lat 80. i takie uprawnienia mieli Rada Państwa i jej przewodniczący, ówczesiście nadający nominacje profesorskie. Te zasady pozwalały

na oczyszczanie środowiska akademickiego z czarnych owiec, które naruszyły etykę naukową. W wojsku istnieje do dzisiaj kara degradacji i za czyny naruszające prawo można odebrać stopień, w tym generalski. W nauce struktura hierarchiczna wydaje się nie do ruszenia.

Jest pan z zawodu lekarzem, ale podejmuje problemy praworządności i sprawiedliwości w całej nauce, niezależnie od dziedziny. Piętnuje pan plagiatorów po nazwisku. Taka donkiszoteria niektórym może się nie podobać.

– Od 23 lat zajmuję się badaniem patologii w nauce i zgromadziłem na ten temat niemałą wiedzę, ale mocy sprawczej nie mam żadnej. Mogę tylko „krzyczeć publicznie” na łamach branżowego periodyku. „Forum Akademickie” wychodzi w niewielkim nakładzie paru tysięcy egzemplarzy, z czego większość prenumerują uczelnie. Jednak artykuł o nierzetelnościach w nauce jest każdorazowo dostępny w sieci, co zawdzięczam nieżyjącemu już redaktorowi naczelnemu Andrzejowi Świciowi. Jego sukcesor, Piotr Kieraciński, utrzymał ten mój przywilej. Rzeczywiście w Polsce jestem „białym żaglem” na oceanie nierzetelności w nauce. Mam wielu cichych sympatyków w społeczności akademickiej, jak i wielu niechętnych. Co ciekawe, moja działalność wywołuje dużą niechęć prawie wszystkich formalnych ciał zajmujących się w Polsce nauką. Po odejściu ze stanowiska minister Barbary Kudryckiej także Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego stało się dla mnie twierdzą. Nie dostałem od kolejnych ministrów żadnego rzeczywistego wsparcia.

Czy rezygnacja prof. Gwizdały jest de facto przyznaniem się do winy, czy tylko eleganckim gestem, aby sprawa nie naruszyła prestiżu uniwersytetu?

– Formalnie byłby rektor zastąpił się stanem zdrowia, ale była to jego kapitulacja. I nie w wyniku mojego artykułu, ale ze względu na oburzenie w środowisku uczelnianym. Rektor otrzymał pewnie jasny sygnał, że albo się poda do dymisji, albo zawiesi go minister. Oczywiście na uczelni, a szczególnie na Wydziale Zarządzania UG, gdzie pracował, mówiono, że rektorowi zdarza się przepisywać z prac innych naukowców.

Tym razem doszło do przepisania całych akapitów z dysertacji adiunkta Politechniki Gdańskiej, dr. Błażeja Kocharńskiego, w którego przewodzie doktorskim prof. Gwizdała był recenzentem. Była to więc jakby zbrodnia w rodzinie, co już trudno przemilczeć. Środowisko uniwersyteckie było oburzone, chociaż wcześniej nikt w tej plagiatowej sprawie – ciągnącej się od października 2019 r. – nic nie zrobił. Dopiero teraz pojawiło się oświadczenie ponad 20 profesorów belwederskich z UG, a później senatu uczelni.

W królestwie ministra Czarnka

Czy w Polsce istnieje przyzwolenie na przepisywanie cudzych tekstów naukowych i brak szacunku dla praw związanych z ochroną własności intelektualnej?

– Formalnie prawo jest przestrzegane. Urzędnicy i doradcy prezydenta, który przecież sam jest doktorem nauk prawnych, z reguły postępują rzetelnie i zatrzymują niektóre wnioski o nominacje profesorskie, nawet jeśli pozytywnie przeszły przez Centralną Komisję. Przyczyny są różne.

Co to za problem wyróżnić cytaty, dać cudzysłowy? Wszyscy korzystamy z wiedzy i dorobku poprzedników.

Jeśli jednak prezydent złoży już podpis pod nominacją, decyzja jest praktycznie nieodwracalna. Prezydent nie skorzystał w tej mierze z inicjatywy ustawodawczej, tak przynajmniej wynika z moich rozmów z przedstawicielami Centralnej Komisji i doradcami prezydenta. Nawet jeśli jakiś profesor z uwagi na przewinienia kryminalne otrzymał wyrok kilkuletniego pozbawienia wolności, nie unieważnia się takiej profesury, a po wyjściu z więzienia wyklada on na uczelni. Najczęściej z dała od miejsca ukarania, gdzie nikt o dawnych grzechach nie wie lub nie pamięta.

Pan sporo zrobił w tym zakresie.

– Przed laty z pakietem różnych postulatów byłem np. trzy razy u ministra w Kancelarii Prezydenta Lecha Kaczyńskiego, prof. Ryszarda Legutki, i właściwie przyznawał mi rację. Mówiono mi o ewentualnej próbie ustawodawczej ze strony prezydenta Kaczyńskiego w Sejmie, ale po

Smoleńsku wszystko się przerwało. Mogła coś uczynić w tej sprawie minister Kudrycka, ale praktycznie „nakryto ją czapkami”, bo w środowisku profesorskim nie jest dobrze widziany przepis o unieważnianiu tytułu profesorskiego. Były wprawdzie legislacyjne próby prof. Kudryckiej wprowadzenia zapisu o unieważnieniu profesury z powodu wykrycia plagiatu lub fałszerstwa i fabrykacji, ale w poselskich poprawkach sejmowych to wykreślono. Z kolei minister Gowin w ustawie 2.0 spowodował likwidację dotychczasowych przepisów z 2003 r., które pozwalały na bezterminowe unieważnienie doktoratów i habilitacji z powodu wykrytych kantów naukowych, w tym plagiatów i innych oszustw.

A jak jest dzisiaj?

– Dzisiaj obowiązuje już tylko Kodeks postępowania administracyjnego, więc po 10 latach od nadania stopnia plagiator może spać spokojnie, bo jego oszustwo się przedawnia. Mimo wielu apeli i formalnych wniosków Centralnej Komisji oraz obecnie Rady Doskonałości Naukowej – dwóch centralnych organów nadzorujących nadawanie stopni

naukowych – w ostatnim roku urzędowania w MNiSW wicepremier Gowin nic na tym polu nie zrobił. W tej sprawie – ustawowej i bezterminowej możliwości unieważniania nierzetelnych stopni doktorskich i habilitacyjnych, profesorowie, zarówno ci z prawa, jak i ze środka czy z lewa, są zjednoczeni: stare przepisy bezwzględnie powinny zostać przywrócone.

Udowodnienie fałszerstwa i plagiatu kładzie się cieniem na opinii naukowca. Co jest główną przyczyną wzrostu liczby nierzetelnych zapożyczeń i plagiatów?

– Brak widocznej reakcji środowiska akademickiego. W USA, gdzie przez wiele lat pracowałem naukowo, zarzut plagiatu czy innego oszustwa naukowego powoduje, że władze uczelni z miejsca nakazują komisyjne zbadanie sprawy. Biorą w tym udział specjaliści z danej dyscypliny, a nie prawnicy. ▶

- Po udowodnieniu zarzutów naukowiec jest z reguły usuwany z pracy. Plagiaty oczywiście i tam się zdarzają, ludzie są wszędzie tacy sami. Niekiedy decydują się zrobić coś najmniejszym wysiłkiem, bo jest konkurencja, konkursy o granty itd.

Czy uczelnia ponosi jakieś konsekwencje, jeśli zaniedba sprawę?

– Jeśli zbagatelizuje doniesienia o nierzetelności pracowników, może zapłacić kary sięgające

Z kolei inny politolog z Uniwersytetu Warszawskiego, dr hab. Jarosław Szymanek, splagiatował pracę swojej magistrantki. Sprawa wyszła na jaw i rzecznik dyscyplinarny uczelni zażądał dla niego nagany.

Bardzo dobrze zrobił.

– Niedobrze. To tak, jakby dla kierowcy, który po pijanemu przejechał na pasach staruszkę, prokurator zażądał tygodnia prac społecznych. Przed wojną taki docent byłby towarzysko skończony i bojkotowany

gazet i czasopism. Z drugiej strony bez działania prasy drukowanej i innych mediów nierzetelności w nauce nigdy by się nie przedostały do wiadomości publicznej. Sprawa rektora Gwizdały poruszyła opinię UG dzięki publikacjom red. Krzysztofa Katki z gdańskiej „Gazety Wyborczej”. Opublikował on fragmenty artykułu rektora i dysertacji dr. Błażeja Kochańskiego. Ten ostatni ujawnił, że prof. Gwizdała przepisał do swojego artykułu znaczną część jego pracy doktorskiej – bez odnośnika. Gdyby nie „GW”, a cztery dni wcześniej „Forum Akademickie”, nikt na uczelni nie zrobiłby żadnego ruchu, aby zdymisjonować nierzetelnego naukowca, który publicznie deklarował, że „Wroński go niesłusznie oskarża”.

Nie odpuści mu pan?

– Obecnie Centralna Komisja otrzymała mój oficjalny wniosek, aby unieważnić habilitację Gwizdały z października 2011 r., gdyż jest tam wiele obszernych fragmentów z przepisaniem tekstem różnych autorów. To wzmacnia moją opinię, że były rektor od dawna posługiwał się stylem „plagiat łatkowy”, czyli kilka zdań stąd, kilka stamtąd, i tak w kółko.

To niejedyna taka sprawa.

– Warto wiedzieć, że także byłemu prorektorowi ds. studenckich UG w latach 2008-2012, dr. hab. Józefowi Włodarskiemu, historykowi i emerytowanemu profesorowi UG, w roku 2018 zarzucono plagiat książki profesorskiej, monografii habilitacyjnej, a w roku 2019 – doktoratu. Zarzuty

Po 10 latach od nadania stopnia plagiator może spać spokojnie, bo jego oszustwo się przedawnia.

kilkudziesięciu milionów dolarów. Organy rządowe (w tym prokuratura federalna) mocno biją takich winnych po kieszeni. Wiadomo wtedy, że kolejne kierownictwo uczelni już dopilnuje, aby nie płać 112 mln dol. kary za brak reakcji na nierzetelność naukowca. Uczelnia wydaje milion dolarów, zatrudnia rzecznika rzetelności naukowej i wprowadza prewencję nierzetelnych zachowań wśród doktorantów i nauczycieli akademickich. Szkolenia są przymusowe i trwają cały rok akademicki.

Jak pan ocenia programy służące do weryfikacji samodzielności prac naukowych, magisterskich, doktorskich, habilitacyjnych? Jest ich sporo. Czy skutecznie wykrywają zapożyczenia?

– Oczywiście, ale nawet bez nich można sobie poradzić. Wystarczy w wyszukiwarce napisać kilka zdań z danej publikacji i Google to wyszuka. Czasem plagiator stara się zrobić niektóre zdania, ale kopiuje całą bibliografię z pracy „kolegi”. I jeszcze, jak prof. Gwizdała, tłumaczy, że wszyscy robią tak samo, bo to należy do specyfiki dyscypliny. Obecnie nawet poprzez system tłumaczący tekst z innego języka można wykryć zapożyczenia z publikacji obcojęzycznej. Tak jest z pracą habilitacyjną znanego komentatora politologa, dr. Bartłomieja Biskupa, który w kilkunastu miejscach zaczerpnął pewne stwierdzenia z pracy angielskojęzycznej. Naukowiec zastania się tym, że wymienia rzeczoną pracę w bibliografii, jednak sformułowania wzięte od kogoś innego traktuje jak własne, nie umieszcza ich w cudzysłowie.

przez środowisko. Nikt by mu ręki nie podał. Dr Szymanek jak gdyby nigdy nic pracuje w Biurze Analiz Sejmowych.

Granice ściągania?

Czy jest jakaś dopuszczalna granica przepisywania cudzych tekstów? Mówi się, że można wykorzystać bez posądzenia o plagiat do 30% cudzych publikacji.

– To ja zapytam, czy może pan ukraść jeden cukierek ze sklepu. Znam prace prestiżowych autorów, w których pojawiły się dwa zdania z cudzego artykułu, i te prace zostały unieważnione. Wszystko zależy od stopnia uczciwości autora. Takie parę zdań darujemy młodym asystentom

W nauce struktura hierarchiczna wydaje się nie do ruszenia.

czy studentom, ale samodzielny pracownik naukowy nie może bezkarnie przepisywać. Co to za problem wyróżnić cytaty, dać odnośnik, cudzysłów? Przecież wszyscy korzystamy z wiedzy i dorobku poprzedników. Nasze prace nie powstałyby bez ich wkładu, ale uszanujmy to, nie przywłaszczajmy sobie pracy innych.

Jest pan także dziennikarzem i publicystą naukowym. Gdzie bywa więcej plagiatorów, wśród uczonych czy dziennikarzy?

– Trudno powiedzieć, bo w świecie dziennikarstwa o nierzetelnościach w ogóle się nie mówi. Plagiatorzy i plagiatorki wygłaszają mądre opinie na czołowych stronach ważnych

odpowiednie komisje wydziałowe potwierdziły i toczą się postępowania unieważniające, które dotyczą habilitacji i doktoratu. Przewód profesorski został przez zainteresowanego cofnięty, a rektor Gwizdała na wniosek rzecznika dyscyplinarnego, dr. prof. Mariusza Bogusza, ukarał prof. Włodarskiego symbolicznym upomnieniem.

Jest to mocny sygnał dla Uniwersytetu Gdańskiego, aby wprowadzić systemową prewencję nierzetelnych zachowań akademickich, w czym nowemu rektorowi chętnie pomogę.

Bronisław Tumilowicz
b.tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl

Z Galicji



Jan Widacki

Kościół w Polsce po roku 1989 miał swój najlepszy (dla siebie!) czas. W Watykanie „polski papież”, w kraju, po upadku PRL, wdzięczność nowej elity władzy. Wdzięczność za pomoc w stanie wojennym, w Okrągłym Stole i w ogóle za pomoc i częste pośrednictwo w rozmowach z władzą. W gorących miesiącach stanu wojennego Kościół studiował nastroje, wzywał do rozsądku, a równocześnie naciskał na władzę i powstrzymywał obie strony sporu od działań zbyt radykalnych. Zasługi polskiego Kościoła dla transformacji są niewątpliwe i są wielkie. W tym czasie Kościół wspierał opozycję demokratyczną w Polsce. Całą opozycję, także jej lewicowe, a zarazem laickie skrzydło. To wtedy Adam Michnik pisał ważną książkę „Kościół, lewica, dialog”. Ten dialog istotnie był. I chyba był po obu stronach szczerzy. Dla ścisłości dodać trzeba, że ustępująca władza, chcąc kupić sobie poparcie Kościoła, też łasiła się do niego. Obecnie obowiązująca ustawa o stosunku państwa do Kościoła katolickiego została przyjęta 17 maja 1989 r., a więc jeszcze przed wyborami do Sejmu, zwanego „kontraktowym”. To na jej podstawie powołano Komisję

społecznym. Dlatego nowe elity władzy szukały dla siebie poparcia w Kościele. Zaczął on zrazu obrastać w przywileje, których nawet się nie domagał. Powrót religii do szkół był z jednej strony mało przemyślanym gestem powrotu do tradycji II RP, z drugiej zaś Tadeusz Mazowiecki w dobie zaczynającej się „wojny na górze”, widząc, że hierarchia bardziej chyba sprzyja Lechowi Wałęsie niż jemu, i chcąc sobie zaskarbić jej sympatię, dał zielone światło ministrowi edukacji do wprowadzenia rozporządzeniem religii do szkół. Na razie miało być po godzinie tygodniowo i katecheci nie mieli brać od państwa wynagrodzenia. Do dobrego tonu należało zapraszać na wszystkie uroczystości miejscowych biskupów. Łamiąc protokół dyplomatyczny i wszelkie zasady precedencji, biskupów witano zawsze w pierwszej kolejności, przed ministrami, wojewodami czy prezydentami miast. Nie było otwarcia nowego budynku, drogi, mostu bez udziału duchowieństwa i stosownego „pokropku”. Nawet na wojskowych sztandarach dopisano przed honorem i ojczyzną Boga. Choć nie było go na sztandarach w II RP. Kto nie wierzy, niech się wybierze do Muzeum Wojska Polskiego i sprawdzi.

Błędy kardynalne

Majątkową przy ministrze spraw wewnętrznych, twór ewidentnie niekonstytucyjny, wyręczający sądy, obdzielający w niejasnej procedurze Kościół utraconymi dawniej, a czasem rzekomo utraconymi, nieruchomościami. Wokół działań tej nieszczęsnej komisji wybuchały raz po raz jakieś afery i skandale. Udało się ją, przy oporze Kościoła, zlikwidować dopiero w 2011 r.!

Do tego dołożyło się ogólne ówczesne nastawienie społeczeństwa, aby wrócić do stanu sprzed PRL. Do czasów, które tylko najstarsi jeszcze pamiętali, a młodsze pokolenie знаło z opowiadań. Do czasów, kiedy religia była w szkole, a w urzędach, szkołach, szpitalach wisiały krzyże. Gdy wojsko miało kapelanów, a wszystkie uroczystości państwowe zaczynały się od mszy.

Nie zauważono, że minęło już kilkadziesiąt lat, że świat się zmienił, i to wcale nie na gorsze, jak twierdzą z uporem niektórzy, ale na lepsze! Jak przed II wojną światową wyglądała praworządność (nie tylko w Polsce), jaki był standard ochrony praw człowieka (to pojęcie nawet nie było znane), jaki był poziom życia, a w szczególności poziom nędzy i zacofania, krzywdy i wyzysku.

Ponieważ Kościół wspierał opozycję demokratyczną, całą opozycję demokratyczną, powstało powszechne przekonanie, że popiera on wolność, której opozycja się domaga. Tymczasem Kościół wspierał walczącą o wolność opozycję demokratyczną, bo widział w niej sojusznika w walce z autorytarnym, propagującym ateizm państwem realnego socjalizmu. Większość opozycji demokratycznej nie zorientowała się, że jej sojusznik w walce z „komuną” – jak wtedy mówiono – walczy nie o wolność, ale o swoją pozycję. Używając języka polityki, można powiedzieć, że sojusz Kościoła z opozycją demokratyczną miał tylko charakter taktyczny, a nie strategiczny.

Pozycja i autorytet Kościoła w społeczeństwie polskim były przed 30 laty ogromne. Kościół cieszył się prawdziwym poparciem

Kościół te wszystkie umizgi kolejnych rządów przyjmował, wszystkie dary i przywileje tykał, szybko nabrał przekonania, że to mu po prostu się należy. I zaczął żądać coraz więcej. I coraz więcej dostawać. Zaczął żądać, by prawo świeckie dostosowane było do jego nauk. Polska stawiała się coraz bardziej państwem wyznaniowym.

Do tego doszedł konkordat. W porównaniu z tym poprzednim, z 1925 r., o wiele bardziej niekorzystny dla państwa, czyniący z Kościoła *de facto* państwo w państwie.

W demokratycznych krajach Europy Zachodniej Kościół katolicki znalazł swoje miejsce. Nie pcha się do polityki, prowadzi szkoły, szpitale, ochronki. Nie pcha się do władzy. Na ogół cieszy się szacunkiem. U nas chce rządzić! Skumał się z najbardziej reakcyjnymi, wstecznymi siłami prawicy. Wspólnie uczestniczy w budowie państwa narodowo-katolickiego. I jako część politycznej prawicy razem z tą prawicą przegra. Odrażająca jest też jego obluda. Popierał lustrację, mimo że jego czołowi przedstawiciele byli uwikłani we współpracę z SB. Nie będę się znęcał. Nie będę wymieniał pseudonimów tajnych współpracowników wśród najwybitniejszych hierarchów. Sądzi, że rozbuchana lustracja ich ominie? Teraz ujawniane skandale pedofilskie w polskim Kościele pokazują jego moralne oblicze. Stolica Apostolska z papieżem Franciszkiem zaczyna reagować. Ostatnie decyzje dotyczące kard. Gulbinowicza, atmosfera wokół kard. Dziwisza pokazują prawdziwą twarz polskiego Kościoła. Na jaw wychodzą jego grzechy. I przy okazji grzechy polskiej elity ostatnich 30 lat. To one doprowadziły do sytuacji, którą teraz mamy w Polsce. Bezkarność, demoralizująca bezkarność, podsycająca pychę. Zguba polskiego Kościoła jest wspólnym dziełem postsolidarnościowych elit i niepomamowanych ambicji hierarchów.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Jedziemy po bandzie

Najgorzej jest średniakom,
bo pomoc państwa
na niepełnosprawne dziecko
to prawie nic



Ewa Smolińska-Borecka

Wiktoria. Dostała takie imię, by w życiu zwyciężać. A jej się wydaje, że to nie zaszarowało losu. W każdym razie odkąd na świecie pojawiła się córka Ola, to jakby szczęście ją opuściło. Partner Wiktorii, Andrzej, nawet się ucieszył, kiedy powiedziała mu, że jest w ciąży. A potem wspólnie kupowali ciuszki, wózek, zabawki... Diagnoza: autyzm, spadła na nich jak grom z jasnego nieba. Okazało się, że stan córki jest na tyle poważny, że nie będzie mówić. Za to będzie mogła chodzić. To już coś. Ale nie będzie zdolna do samodzielnego życia.

Dziś Ola ma trzy lata. Jej ojciec odszedł do innej kobiety. Powiedział, że nie czuje się na siłach, żeby wychowywać dziecko z autyzmem. A poza tym – jak stwierdził – zakochał się. Wiktoria została sama. Ona, z zawodu specjalistka od marketingu, musiała zrezygnować z pracy, bo dziecko wymaga stałej opieki. Teraz dostaje 1830,00 zł netto miesięcznie świadczenia pielęgnacyjnego. Ale nie wolno jej podjąć żadnej pracy zarobkowej. Wie jednak, że jeśli nie wyrwie się z tego zakłętą kręgu ubóstwa, zostanie w nim do końca swoich dni.

Spokój sumienia za parę tysięcy

Świadczenie pielęgnacyjne nie jest traktowane jako dochód. Dla

rodzin, w których mężczyzna pracuje, a kobieta otrzymuje zasiłek, to dobrze, bo niższa kwota przypadająca na członka rodziny uprawnia do większej liczby świadczeń. Ale dla Wiktorii to tragedia. Ledwie wiąże koniec z końcem i żeby zainwestować w cokolwiek: sprzęt AGD lub elektroniczny, musiałaby wziąć kredyt. A jaki bank pożyczy pieniądze kobiecie bez dochodu?

Słyszała o rodzinach z dwojgiem czy trojgiem dzieci, z których jedno jest niepełnosprawne, w których mężczyzna wyjeżdża do pracy za granicę, żeby zapewnić bliskim lepszy byt. Ale trzyma się to w tajemnicy, żeby poziom dochodu w rodzinie był jak najniższy. Są też rodziny, w których kobietę na kilka godzin dziennie ktoś wyręcza w opiece, żeby mogła iść do pracy na czarno. Wiktoria nie pochwała tego, ale rozumie. Tak jest, kiedy państwo nie zapewnia rodzinom z niepełnosprawnym dzieckiem dostatecznej pomocy.

Krystyna jest w innej sytuacji. Grzegorz to piąte z kolei dziecko, najmłodsze. Tylko on ma zespół Downa. Mąż Krystyny nie opuścił jej z powodu niepełnosprawnego syna. Dobrze zarabia, a ona dostaje świadczenie pielęgnacyjne. Mogą sobie pozwolić na mieszkanie w Warszawie w szeregowcu. Najstarszy syn już się ożenił i wyprowadził, pozostałe dzieci mieszkają z rodzicami. Grzegorz będzie mieszkał zawsze...

Córka Joanny, Marzena, ma 17 lat. Ma niepełnosprawność intelektualną w stopniu głębokim. Nie chodzi, nie mówi. Komunikuje się krzykiem i płaczem. Mieszka z rodzicami w jednej z podwarszawskich gmin. Jej mama pracuje, bo córka może pół dnia spędzać w ośrodku prowadzonym przez stowarzyszenie. Takie rozwiązanie bardziej się opłaca finansowo Joannie niż świadczenie pielęgnacyjne. Pomoc finansowa państwa w przypadku Marzeny to jedynie zasiłek pielęgnacyjny w wysokości 215,84 zł.

Hanna też jest niepełnosprawna intelektualnie w stopniu głębokim. Od czasu jej przyjścia na świat mama, Krystyna, nie pracuje. Otrzymuje świadczenie pielęgnacyjne. Oprócz Hanny rodzina ma dwoje zdrowych dzieci: starszą córkę i młodszego syna. Kiedy Krystyna słyszy, że należy rodzić w każdym przypadku, nawet jeśli płód jest znacznie, nieodwracalnie uszkodzony, denerwuje się. – Często mówią tak osoby, które nie mają pojęcia, jak wygląda życie matki i funkcjonowanie rodziny wychowującej niepełnosprawne dziecko – wyjaśnia. – Ludziom, którzy decydują o losie takich rodzin, wydaje się, że jak rodzina dostanie 4 tys. zł po urodzeniu dziecka, to jej zrekompensuje tę niepełnosprawność. A co to jest? Jałmużna? Czy może cena spokojnego sumienia rządzących?

Większość zajęć rehabilitacyjnych dla dzieci z niepełnosprawnością rodzice muszą organizować i finansować sami.

Co jest, co być powinno

Uroczą podwarszawska miejscowość. Spokojna uliczka, zabudowana najwyższej jednopiętrowymi domami, położonymi w starodrzewie. Zza zakrętu wyłania się rower z przyczepką, w której, póisiedząc, podróżuje Hubert. Za kierownicą roweru tata, Tadeusz. Już nieco spocony mimo chłodu. Hubert ma mózgowie porażenie dziecięce i nie chodzi. Uwielbia szybką jazdę rowerem, a tylko w ten sposób może odbywać podróże po okolicy. Dlatego rodzice zabiegali, by kupić przyczepę do roweru odpowiednią do transportu 15-latką i porządny rower. Taka przyczepa to 9 tys. zł, rower 6 tys. zł. Na ten zakup Anna, siostra Huberta, zbierała pieniądze na jednym z portali zrzutkowych. Uzbierała jedynie część, resztę trzeba było dołożyć z pieniędzy, które wpłynęły na konto Huberta w jednej z fundacji i pochodziły z 1% podatku.

Jak mówią znajomi z dziećmi niepełnosprawnymi, w tym roku odpisy były nawet 10-krotnie niższe niż wcześniej. Hubert miał szczęście – ktoś przekazał na jego konto 12 tys. zł. Nie wiedzą kto.

Mama autystycznej Oli dostaje 1830,00 zł świadczenia pielęgnacyjnego. Ale nie wolno jej podjąć pracy zarobkowej.

– Może to ktoś, kto sprzedał dom? – zastanawia się mama Huberta, Małgorzata. – Chętnie byśmy tej osobie podziękowali.

Hubert jest przystojnym, uśmiechniętym chłopakiem. Mówi do mnie kilka zdań. Domyślam się, że to powitanie. Tata musi tłumaczyć, bo osoba, która po raz pierwszy widzi Huberta, nie jest w stanie zrozumieć ani słowa. Niewyraźna mowa to też następstwo mózgowego porażenia dziecięcego. Dlatego Hubert ma rehabilitację nie tylko ruchową i sensoryczną, ale także z logopedą.

– My nie jesteśmy typową rodziną, bo mimo mizernej pomocy państwa jakoś sobie radzimy – zaznacza Małgorzata. – Nie jesteśmy krezusami – dodaje Tadeusz. – Ale zarabiamy więcej niż pensja minimalna, dlatego

nie każda pomoc nam się należy. Na przykład nie otrzymujemy zasiłku rodzinnego w wysokości 124,00 zł miesięcznie czy dodatku do tego zasiłku z tytułu kształcenia i rehabilitacji dziecka, w wysokości 110 zł. Za to Hubert otrzymuje 215,84 zł zasiłku pielęgnacyjnego, bo to świadczenie nie zależy od dochodu.

Dzień wcześniej Małgorzata i Tadeusz usiedli przy stole, wzięli kołono-tatnik i na kartkach w kratkę wypisali pomoc otrzymywaną i oczekiwaną. Najpierw „Co dostajemy”. Tam trzy punkty: zasiłek pielęgnacyjny, dofinansowanie do sprzętu rehabilitacyjnego i lekarze specjaliści z NFZ. Lekarze specjaliści? Przecież przysługują każdej osobie mającej ubezpieczenie zdrowotne, więc jaka tu łaska? W rezultacie zostają tylko dwa punkty.

Część „Co jest potrzebne” jest bardziej rozbudowana. Na pierwszym miejscu – zorganizowany system pomocy rodzinom. – To powinno tak działać jak opiekun konta w banku – uważa Małgorzata. – Taka osoba miałaby m.in. przypominać o terminach, podawać informacje o dostępnych terapiach czy programach, pomagać w kompletowaniu dokumentów.

Punkt drugi to specjalistyczna pomoc rehabilitacyjna na terenie szkoły, bo akurat Huberta ona nie obejmuje, a często pobyt w szkole i dojazd do domu zajmują nawet 10 godzin

dziennie, więc terapie popołudniowe są trudne do realizacji.

Trzeci postulat – pomoc psychologiczna dla rodziny. Przez pierwszy rok życia Huberta cała uwaga Małgorzaty i Tadeusza była skierowana na najmłodszego syna. Psycholodzy nazywają to gonitwą terapeutyczną. Trzeba było poprosić babcię i ciocię, by pomagały w opiece nad dwójką pozostałych dzieci. Ale i tak starszy o sześć lat od Huberta Piotrek, który w momencie narodzin brata przygotowywał się do pójścia do szkoły, był zawiedziony. Do dziś wyrzuca mamie: „Pamiętam, jak cię nie było, jak czekałem na ciebie”. Małgorzata i Tadeusz zrozumieli, że gdy w rodzinie jest chore dziecko, choruje cała rodzina. I że zarówno oni, jak i starsze dzieci potrzebują wizyty u psychologa.

– To konieczne, bo rodzina jest poddawana przewlekłemu stresowi – mówi Małgorzata. – Niestety, takiej pomocy państwo nie oferuje. Wielokrotnie korzystaliśmy na własny koszt z pomocy psychologa.

Kolejne postulaty: właściwe zorganizowanie wolontariatu, który często wprawdzie istnieje, ale jest rozproszony; ponadto opieka wy-tchnieniowa dla rodziców, bo choć obecnie są specjalistyczne usługi opiekuńcze, i tak rodziny nieraz same finansują taką opiekę. I ostatni punkt – możliwość dorobienia przez rodzica, który pobiera świadczenie pielęgnacyjne.

Zaznaczają, że skupili się raczej na swoich postulatach i bardziej na rozwiązaniach organizacyjnych niż finansowych, bo nauczyli się, że jak sami czegoś nie zapewnią rodzinie, to tego nie będzie.

– Czy tak być powinno, że rodzice, żeby zapewnić niepełnosprawnemu dziecku wyjazd, muszą zbierać pieniądze od ludzi? – pyta retorycznie Małgorzata. – Przecież to nie jest normalne.

Nikt tego nie przewidział

Byli zwyczajną rodziną. Małgorzata – nauczycielka, Tadeusz – inżynier. Nieduży dom, zbudowany własnym sumptem. Dwoje dzieci: Ania, starsza, i Piotrek. Sześć lat po Piotru urodził się Hubert. Był sierpień 2005 r. Aż do porodu nic nie wskazywało na to, że pojawienie się Huberta całkowicie odmieni ich życie. – Przy porodzie Hubert przeszedł sepsę, miał parokrotną resuscytację, jego mózg był niedotleniony – wspomina Małgorzata. – Już w czwartym tygodniu, jeszcze w czasie pobytu na oddziale neonatologicznym, zaczęto go rehabilitować. Mieliśmy świadomość, że coś z naszym synem jest nie tak, chociaż na początku nie było diagnozy. Zauważyliśmy, że nie osiąga kolejnych etapów w tym czasie, w którym powinien, np. nie przekreśla się, nie chwytą zabawek.

W 10. miesiącu życia Hubert został poddany diagnostyce metodą Prechtla, która jest jednym z podstawowych narzędzi do diagnozowania dysfunkcji mózgu. Lekarz stwierdził, że chłopiec cierpi na mózgowie porażenie dziecięce. Nie wierzyli. Poszli do trzech innych lekarzy. Usłyszeli to ▶

► samo. Czwarta pani doktor szczególnie utkwiła w pamięci Małgorzaty, bo wykrzyknęła: „O, jaka ładna empedezetka!”. Ale powiedziała też: „Syn będzie miał kaczy chód”. Dziś Małgorzata mówi, że wiele by dała, żeby to był wyłącznie kaczy chód. – Hubert w ogóle nie chodzi, z trudnością mówi, bo porażenie objęło także mięśnie twarzy. Na szczęście jest dość sprawny umysłowo. Ale nigdy nie będzie samodzielny.

Przez 15 lat tylko raz dostaliśmy dofinansowanie turnusu rehabilitacyjnego, bo nie jesteśmy dość biedni.

Z upływem lat coraz bardziej widać różnicę intelektualną między nim a rówieśnikami.

Małgorzata z powodu Huberta zwolniła się ze szkoły, w której pracowała. Wiadomo było, że będzie ciężko, bo dochody rodziny zmniejszały, a wydatki wzrosną. Kluczem jest słowo rehabilitacja. Nie ma takiego momentu, kiedy można stwierdzić, że osiągnęło się cel i rehabilitacji można zaprzestać. Umiejętności raz wypracowane, jeśli nie są stale podtrzymywane, cofają się. Konieczne były prywatne zajęcia.

Kiedy Hubert miał sześć lat, poszedł do normalnej szkoły podstawowej, a Małgorzata wróciła do pracy w szkole na cały etat. Jednak szybko się okazało, że syn nie jest

w stanie udźwignąć nauki w szkole. Pod koniec drugiej klasy szkoła zaproponowała, by przeszedł na naukę indywidualną. Nauczyciele przychodzili do Huberta, miał 10 godzin zajęć tygodniowo w domu, a raz w tygodniu pojawiał się w szkole na jedną godzinę lekcyjną. Bardzo przeżywał, że nie może uczestniczyć w lekcjach jak do tej pory, bo kontakt z rówieśnikami był dla niego bardzo ważny.

Mieszkali w piętrowym domu. Kiedy Hubert był mały, nie było problemu z wniesieniem go na górę. Ale z czasem robiło się to coraz trudniejsze. Czy miałby mieszkać tylko na parterze? – To byłoby wykluczenie – twierdzi Tadeusz. – Na to nie mogliśmy się zgodzić. Dalsza rodzina i znajomi nie rozumieli, dlaczego sprzedajemy dom i będziemy budować drugi, parterowy. Nie czuli, że dla Huberta brak możliwości poruszania się po całym domu to jest problem i że byłby nieszczęśliwy.

Małgorzata na kilka miesięcy musiała wziąć urlop, bo to właśnie ona miała się zająć nadzorowaniem budowy. W rezultacie po 10 miesiącach mogli się wprowadzić. Wszyscy byli szczęśliwi, a najbardziej

Hubert. Teraz chłopak jest czwarty rok w szkole specjalnej. Realizuje program przygotowany dla osób z niepełnosprawnością intelektualną. Na początku roku zajęcia odbywały się w szkole, ale z powodu pandemii teraz są prowadzone zdalnie. Hubert daje sobie radę z komputerem, to dla dzieci takich jak on okno na świat. – Ale mimo potencjału intelektualnego Hubert czyta z wielkim trudem – wyjaśnia Małgorzata. – Jeśli jednak chodzi o komputer, to jest niesamowicie biegły. Ogląda filmy, ściąga aplikacje, których potrzebuje, np. do układania klocków Lego.

Na kanale Huberta na YouTube można zobaczyć ponad 20 filmików. On jest jakby autorem scenariusza i reżyserem, tata realizuje jego pomysły jako operator i dźwiękowiec. Hubert obserwuje liczbę odsłon, z nową się cieszy. Oprócz jazdy rowerem i układania klocków Lego pasją chłopaka jest brzdąkanie na gitarze. Brzdąkanie, bo porażenie mózgowe objęło także lewą rękę. Czasem nawet przy wtórze gitary próbuje zaśpiewać jakiś przebój, np. discopolową „Plastikową biedronkę”.

Hubert ma marzenia. Kocha samochody i chce zostać mechanikiem. Kto zabroni mu marzyć? Czasem tylko przychodzi gorszy dzień i Hubert rozpacza, krzyczy. A Małgorzata i Tadeusz mogą tylko go pocieszać. I obiecać, że zrobią wszystko, by miał to, co kocha i czego potrzebuje: turnusy rehabilitacyjne nad Bałtykiem, pięć godzin rehabilitacji w tygodniu, chociaż każda to 100 zł. Miesięcznie 2 tys. zł, czyli więcej, niż wynosi świadczenie pielęgnacyjne, z którego musi żyć samotna matka z niepełnosprawnym dzieckiem. A są dzieci, które potrzebują rehabilitacji za 7 tys. zł miesięcznie! Dlatego Małgorzata i Tadeusz uważają, że jednak są szczęściarzami.

– Hubert chce żyć jak inne dzieci – mówi Małgorzata. – Staramy się, żeby w miarę swoich możliwości był szczęśliwy. Tylko raz dostaliśmy dofinansowanie turnusu rehabilitacyjnego, bo nie jesteśmy dość biedni. Kiedy zastanawiam się nad swoim życiem, dochodzę do wniosku, że to, co mam, oceniam na plus. Ale faktem jest, że jedziemy po bandzie.

Ewa Smolińska-Borecka
e.borecka@tygodnikprzeglad.pl

KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERT!
STODOŁA



LAO
CHE

TRASA POŻEGNALNA

12.13.14.15.16 maja

KLUB STODOŁA • WARSZAWA

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOŁA.PL, WWW.TICKETCLUB.PL



Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Niemożność powszechna

Wprzeciwieństwie do prezydenta Lecha Kaczyńskiego nigdy nie cytowałem Lenina, pora więc to nadrobić. W roku 1915, dwa lata przed zdobyciem władzy, Lenin pisał: „Aby nastąpiła rewolucja, nie wystarczy zazwyczaj, by »doły nie chciały«, trzeba jeszcze, by »góry nie mogły« żyć po dawnemu”. Ciekawe: to przecież Polska z jesieni 2020 r.

Że „doły” nie chcą – to w minionym pięcioleciu nieraz było jasne: w manifestacjach KOD, w „buncie parasolek” 2016 r., w demonstracjach przeciw niszczeniu sądownictwa. Ten brak akceptacji rozbrzmiewał też w niedawnej kampanii Rafała Trzaskowskiego, z wszechobecnym wtedy hasłem: „Mamy dość!”. Dziś tamto hasło przybrało formę: „Wypierdalać!”. Drastyczne, nieprzyzwoite, odległe od zasad publicznego dyskursu? A przecież lepiej niż cokolwiek oddające to, do czego doszły „doły”. Nieprzypadkowo znakiem „dołów” jest błyskawica. „Zemsty grom, ludu gniew” – jak w starej pieśni „Czerwony sztandar”.

Tymczasem „góry nie mogą”! Już od pół roku nie może Jarosław Kaczyński. Najpierw nie mógł przeprowadzić wyborów, bo mu bryknął wicepremier Gowin. Potem nie mógł przegłosować „piątki dla zwierząt”, bo mu się zbuntowała część klubu. Nie mógł też spacyfikować niesforne-go Ziobry. A teraz nie może sobie poradzić z suwerenem. Co się stało z wszechmocnym Prezesem?

Nie może też Andrzej Duda. Najpierw witał z radością orzeczenie trybunału niekonstytucyjnego, a zaraz potem nabrał wątpliwości. Przywołał na odsiecz najpierw córkę, potem żonę i razem z żoną powiedział narodowi parę oczywistości. Odkrycia, które zafundowała nam ta scena, były dwa. Pierwsze, że pani Agata potrafi mówić do rzeczy. Dotąd przecież milczała lub mówiła od rzeczy. Drugie, że Duda przestał być Obrońcą Życia Od Poczęcia Do Naturalnej Śmierci. Nieprzypadkowo prolajfowcy mówią teraz o jego zdradzie. Ale że Duda nie może – to żadne odkrycie. Tymczasem premier, podążając przetartym tropem Beaty Szydło, wyroku niekonstytucyjnego trybunału najspokojniej nie publikuje.

Bo premier też nie może. Latem nie mógł przygotować kraju na jesienną pandemię. Jesienią nie może zarządzać krajem w czasie pandemii. Nie mógł się zdecydować, czy na Wszystkich Świętych cmentarze mają być otwarte, czy zamknięte. Natomiast powiedział, by manifestanci nie wychodzili z domów, a swój gniew skierowali przeciw niemu. Ale jak skierować gniew, nie wychodząc z domu?

Żyć po dawnemu nie może także Jadwiga Emilewicz. Niedawno prawa ręka Gowina, potem wicepremier rządu, dziś – pozbawiona stanowisk – dostała od Prezesa zadanie montowania poparcia w Sejmie dla inicjatywy Dudy. Ale Emilewicz nie może. Dla inicjatywy brak w Sejmie poparcia, a sama pani Jadwiga też nie bardzo wie, co mówi. Niedawno stwierdziła, że „wolność kobiety kończy się, gdy zachodzi w ciążę”, by potem tłumaczyć, że szło jej przecież tylko o zmianę w okresie ciąży nawyków żywieniowych! Biedna Emilewicz. Nawet dla niej narracja kościelno-pisowska przestała być trendy.

A tu jeszcze minister Czarnek. Przynajmniej wiemy, że nie jest mizoginem, bo do niedawna nie znał tego słowa. Coś tak jak pan Jourdain z „Mieszczanina szlachcicem”, który nie wiedział, że przez całe życie mówi prozą. Ja oczywiście zdaję sobie sprawę, że w języku polskim jest sporo słów obcych, że są to słowa trudne do zapamiętania, że Andrzej Duda deklarował: „nie będą nam tutaj w obcych językach...”. Znam i rozumiem te problemy. Zanim jednak PiS wytrzebi wszystkie słowa zaśmiecające naszą piękną polszczyznę (to chyba zajmie więcej niż jedną kadencję?), warto kupić słownik wyrazów obcych. Ale – jak widać – dr hab. Czarnek nie może.

Przynajmniej wiemy, że minister Czarnek nie jest mizoginem, bo do niedawna nie znał tego słowa.

Tymczasem za dwa miesiące nie będzie już w Białym Domu wujka Trumpa. Andrzej Duda nie może oczywiście pogratulować zwycięstwa Bidenowi, gratuluje mu więc tylko udanej kampanii, a teraz czeka – chyba jako jedyny na świecie – na nieodgadniony zaiste werdykt amerykańskich elektorów. Ale rozumiem. Jeżeli nawet za czasów Trumpa ambasador Mosbacher raz po raz obsztorcowywała polskie władze za niepraworządność – to co będzie teraz? Jeżeli PiS traci jedynego (obok Węgier) sojusznika, to z kim teraz będzie się sprzymierzało? Doprawdy, świat sprzyścił się przeciw Polsce. W sytuacji gdy mamy pandemię, gdy brak łóżek i respiratorów, bezczelni Niemcy ofiarowują nam pomoc medyczną! A jak tu przyjmować pomoc od Niemca, no jak? I w ten oto sposób znalazło się PiS w potrzasku własnej retoryki, a my mamy to, co mamy. Czyli niemożność powszechną.

Ale „doły” nie chcą. „Czy to bunt?”, zapytał Ludwik XVI na wieść o zburzeniu Bastylli. „Nie, najjaśniejszy panie, to rewolucja”, odpowiedział mu (w obcym języku) François de La Rochefoucauld-Liancourt.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Paweł Kapusta

KATARZYNA – ratownicza medyczna. Pracuje w systemie Państwowego Ratownictwa Medycznego. Imię zmienione.

Hejt

Trwa mój 24-godzinny dyżur na koronabusie. W karetce, którą jeżdżymy do pacjentów przebywających na kwarantannie, by pobierać wymazy do badań. Pierwsza, druga, trzecia godzina roboty. Słyszę dzwonek telefonu komórkowego. Nieznajomy numer.

– Cześć Kaśka. Wiem, że masz nas na liście. Możesz do nas przyjechać na samym końcu, najlepiej o czwartej nad ranem? – słyszę pytanie. To pielęgniarka z naszego szpitala, przebywająca na kwarantannie.

– Trochę mi to nie na rękę. Mam już ustaloną trasę, miałam być u was za chwilę – odpowiadam i zerkam na zegarek. Jest przed południem, nie ma jeszcze jedenastej. – Skąd w ogóle taka prośba? – dopytuję.

– Nie chcemy, żeby widzieli was sąsiedzi. Jak zobaczą karetkę i człowieka w kombinezonie, to nie dadzą nam później żyć. W sumie już teraz nie dają.

Jeżdżę karetką, widzę przez szyby rozprężenie. Maski na brodzie, na uchu lub wcale. Dystans społeczny – zapomnij.

No tak. Głupie pytanie. Sąsiedzi nie chcą mieszkać obok osoby podejrzanego, a już tym bardziej „dodatkowej”. Stąd ten telefon i niemal płacz w słuchawkę.

Chwila zastanowienia. Za kilka dni wszystko może się przecież odwrócić. Może sama będę w takiej sytuacji? Odeślę mnie do domu na kwarantannę i w swojej wiosce będę miała taki sam dramat?

– Dobra, przyjadę w nocy. Zadzwonię, gdy będziemy w drodze.

Wymaz od koleżanek pobrałam, gdy osiedle było pogrążone we śnie. (...)

Jeżdżę karetką, widzę przez szyby rozprężenie. Maski na brodzie, na uchu lub wcale. Lody, kawy, napoje spożywane w przestrzeni publicznej. Dystans społeczny – zapomnij. Czy ktoś sprawuje nad tym nadzór? Zupełnie nikt. Przepisy to fikcja. Oglądam telewizję, słucham o rozmrażaniu rzeczywistości: otwartych

PANDEMIA

– raport z frontu, dzień dwudziesty

Społeczeństwo jest zmęczone, gospodarka się odmraża. W szpitalach bez zmian

galeriach, przedszkolach, treningach na orlikach. Społeczeństwo jest już zmęczone, gospodarka zmaltretowana, ale moja praca nie zmieniła się ani odrobinę. Wciąż zmagamy się z tymi samymi kłopotami co tydzień czy dwa tygodnie temu.

Od zera do bohatera. Od bohatera do zera. Też już przeszłam tę drogę. Epidemia stała u bram, nikt nie wiedział, co się wydarzy, czy nie będziemy tu mieli obrazków jak we Włoszech czy w Hiszpanii. Gdy stało się jasne, że jako państwo nie jesteśmy przygotowani do walki – nieprzystosowane

z domysłami, szeptaniem za plecami. Kolegom z innych oddziałów sąsiedzi nalepią kartki na drzwi i samochodu. Plotki boją szczególnie w mniejszych miejscowościach. W takich jak moja. Śmiejemy się, że na drzwiach będziemy za moment wywieszać wyniki naszych testów. Jeden z kolegów właśnie tak zrobił. W odpowiedzi na pomówienia wywiesił na szybie wynik. Wynik negatywny.

O przejawach niechęci można by było napisać całą książkę. Agata pracuje ze mną na oddziale. U niej w wiosce poszła fama, że jest chora. Zaczęto tak plotkować tylko dlatego, że pracuje w szpitalu. Dziś ludzie na jej widok uciekają, przebiegają na drugą stronę ulicy. Jakby mieli do czynienia z trędowatą.

Mąż innej robi w miejscu, w którym przez przestój przymusowo wysyłali pracowników na urlopy. I on, mąż pielęgniarki, został wytypowany jako pierwszy. Nie miało żadnego znaczenia, że większość osób tam pracujących to panowie dosypujący grosza do emerytury. Ale nie, jako pierwszemu kasę obcięto człowiekowi, który nie ma innego źródła dochodu. Wyrzucono go z łódki tylko dlatego, że ma żonę pracującą w szpitalu. Dla świętego spokoju.

Hejt ma różne oblicza. Koleżanka jeżdżąca koronabusem została pchnięta przez agresywnego pacjenta. Sama byłam pobrać wymaz w mieszkaniu, w którym odbywała się libacja. Tylko minęłam próg, oczywiście w całym osprzęcie, kombinezonie, masce, przyłbicy, i od razu zostałam zwyzywana od najgorszych. W takie miejsca wchodzisz jak do paszczy lwa. Pięciu pijanych, często

szpitale, personel nieprzeszkolony i zdecydowanie zbyt mało liczny, brak środków ochrony – przerażony naród w trzy dni wyniósł nas na piedestał. Media zaczęły festiwal: podziwiamy współczesnych bohaterów! Nieustraszeni! Czuliśmy się z tym nieswojo. Przede wszystkim dlatego, że do tej pory byliśmy dla wszystkich przezroczystości, a nasza praca była sprowadzana do picia kawy. W czasie kryzysu okazało się, że nie ma nas kim zastąpić, a kofeina podczas dyżurowych maratonów powinna być w gratisie.

Kurz już lekko zdążył opaść, po pozornym opanowaniu sytuacji musimy się mierzyć z przeogromną falą hejtu. Przeogromną, bo gdybyś spytał o to jakiegokolwiek medyka pracującego w szpitalu zakaźnym, odpowiedziałby ci, że z jakąś jego formą zdążył się już spotkać. Sytuacja jest dramatyczna. Pracuję w jednoimiennym szpitalu zakaźnym. Ciągłe stykam się



W środowisku niektórzy mieli nadzieję, że w końcu zostanie usłyszany nasz głos. Że ratownicy pracują na kontraktach. Że ratują życie, a zarabiają grosze. Że personelu jest zbyt mało, że siatki grafikowe łatają ludzi przepracowani, wyrabiający w miesiąc dwa, a czasem trzy etaty zwykłego człowieka. Gdy więc doszło do naszej walki na pierwszej linii frontu, nie brakowało osób, które wierzyły, że w końcu zostaniemy wynagrodzeni za nasz trud.

Zamiast zagwarantowania pieniędzy, podwyżek, minister zdrowia wyszedł przed swoje biuro i bił nam brawo. Dokładnie to samo zrobili prezydent, premier. Te brawa z balkonu miały zostać odebrane jak pochwała i uznanie, zostały odebrane przez środowisko jak policzek.

Koledzy z jednego pogotowia w Polsce dostali premię za walkę z COVID-19. Na osobę 120 zł brutto. Czyli 80 zł netto. Gdy się o tym dowiedzieli, pojechali pod budynek administracji, w którym urzęduje dyrekcja. Za działania podziękowali okłaskami i czerwoną kartką.

System

Nasze wynagrodzenia to wierzchołek góry lodowej. Często pracujemy w warunkach, które nie mają nic wspólnego z profesjonalizmem. Podczas epidemii jest to o wiele bardziej widoczne. Pierwszy z brzegu przykład: przechowywanie i przewożenie pobranego od pacjentów materiału. Materiału służącego do określenia, czy

w sztok, a ja przez kombinezon, gogle i przyłbicę z ograniczoną możliwością ruchu, widocznością. Jeżdżąc po wymazy, działa się więc w stanie permanentnego zagrożenia, i to nie tylko przez możliwość zakażenia. Nie masz prawa mieć przy sobie telefonu, bo musisz do tych mieszkań wchodzić „na czysto”. Nie masz niczego, czym mógłbyś się bronić. Jedyne, na co możesz liczyć, to czujność kolegi, z którym jeździsz. Zdarzyć się może wszystko. Gdy wchodzę do kogoś o drugiej czy o trzeciej w nocy, nie mam pewności, że ktoś się na mnie nie rzuci. Wchodząc tam, jestem bezbronna, a badania często wymagam od ludzi agresywnych, pod wpływem alkoholu, używek.

Nie jest też tak, że inwentywy lecą do nas tylko z ust patologii. Skąd, wyzwiska lecą często od osób z naszego środowiska. Od lekarzy, od pani diagnosty laboratoryjnej, która z mężem zwyzywała nas od brudasów. Zjawisko hejtu, który nas dotknął, jest ogromne. Potężne. Jeśli ktoś mówi, że to tylko jednostkowe w skali całego kraju przypadki, nie ma pojęcia o temacie. (...)

Politycy

Epidemia dała nam kolejną okazję zobaczenia, jaki stosunek do systemu ochrony zdrowia mają politycy. I to z każdej strony sceny, od prawa do lewa. Jedno to ostentacyjne łamanie przez najważniejsze osoby

w państwie wydanych zakazów, farsa w Sejmie z maskami na brodach, gdy medycy nie mieli środków w szpitalach. Trudno jednak pojąć, jak to możliwe, że bezpieczeństwo zdrowotne Polaków, walka z epidemią zostały przyćmione wojną polsko-polską o organizację wyborów. Wybory stały się najważniejszym tematem. Wiodącym. Takim, wokół którego wszystko się kręciło. W tym czasie nikogo nie obchodziły procedury. Nikt nie był zainteresowany poważną, merytoryczną dyskusją o systemie ochrony zdrowia, który chwieje się od wielu lat. O problemach, z którymi ochrona zdrowia boryka się od dekad.

Jak sąsiedzi zobaczą karetkę i człowieka w kombinezonie, to nie dadzą nam później żyć. W sumie już teraz nie dają.

Prosty przykład: od początku epidemii wiadomo, że osoby starsze są w grupie ryzyka. Jak więc można było dopuścić do sytuacji, w której w domach opieki społecznej nie było środków ochrony osobistej? Jak można było dopuścić do sytuacji, w której zamknięte ośrodki stawały się ogniskami choroby? Właśnie w takich momentach irytacja sięga zenitu. Rządzący zamiast zadbać właśnie o najważniejsze sprawy, wolą przepychać się nad korytem.

Był taki moment, gdy o szpitalach mówiło się bardzo dużo.

ktos jest zakażony. Najpierw kombinujemy z wymazówkami, żeby pasowały do probówek. Później, zapakowane w woreczki, wkładam je do lodówki turystycznej, w której znajdują się zarzdziałe koszyki obłożone zamrożoną wodą mineralną. Wkłady zaginęły w boju albo nam ich po prostu brakowało. Żeby te próbki się nie przewracały, wkładamy tam jeszcze tekturę, karton. Materiał genetyczny jest w ten sposób przewożony do laboratorium. Na badanie czeka kilka dni.

Ja na rezultat testu czekałam pięć dni. Czas od pobrania do rozpoczęcia

► badania to dwie doby. Kolejne trzy doby to wykonanie badania i wydanie oficjalnego wyniku. Niby w prioritycie. Jedyne pocieszenie: wynik był ujemny.

Testy to potężny, nierozwiązany od początku epidemii problem. Trudno powiedzieć, jak wiele z podawanej do publicznej wiadomości liczby wykonanych testów to badania nowych ludzi, a ile z nich to badania ponowne. Dodatkowo – laboratoria cofają próbki ze względu na źle wykonane pobrania. Tworzy się coraz więcej zespołów i punktów wymazowych, ale nauka wymaga czasu i nie jest wolna od błędów.

Osobną kwestią w systemie wykonywania testów są sanepidy. Nie są w stanie obsłużyć takiej liczby osób zakażonych. System jest przeciążony, przegrzany. Ktoś powie, że w porównaniu do innych krajów i tak mamy przecież bardzo mało testów.

Pierwszy szpital nie przyjmie, bo pacjent nie ma objawów koronawirusa. Drugi nie przyjmie, bo nie ma wykluczonego koronawirusa.

To prawda, dlatego nie wyobrażam sobie, co by się działo, gdybyśmy w Polsce mieli sytuację epidemiczną podobną do tej we Włoszech czy Hiszpanii. Wszystkie błędy – wyjazdy w już obsłużone miejsca, wyjazdy do ludzi, którzy już skończyli kwarantannę, wyjazdy w miejsca, w które w ogóle nie jest to potrzebne – to w dużej mierze efekt przeciążenia sanepidów. Tam przecież też brakuje rąk do pracy.

W szpitalach mamy problemy logistyczne, organizacyjne, proceduralne, jakościowe. Przez to wszystko nie mamy pojęcia, w jakim punkcie epidemii się znajdujemy. Dziś rząd podejmuje decyzje na podstawie danych, które z całą pewnością są niepełne i absolutnie nie oddają skali epidemii.

Od lat mamy ogromne braki kadrowe, teraz dodatkowo dziesiątkowani jesteśmy przez kwarantanny, zwolnienia lekarskie, opieki nad dziećmi. Ratuje nas tylko to, że pracownicy systemu ochrony zdrowia przyzwyczajeni są do pracy w nadgodzinach, ekstremalnych siatkach grafikowych. Nakazy pracy nic tu nie pomogą, bo komu możemy nakazać pracę, skoro wszyscy już w tej pracy są? Doszło do absurdu, w którym próbowano nakazać pracę osobom

wykluczonym przez rozporządzenie. Gdy okazało się to nieskuteczne, wojewodowie zaczęli wystosowywać prośby. By chętni ratownicy, lekarze, pielęgniarki sami się zgłaszali. Ani prośbą, ani groźbą. To po prostu moment, w którym stoimy już przy ścianie: nie ma więcej rąk do roboty. Koniec, kropka.

Nierozwiązany jest problem testów, nierozwiązane są też inne. Choćby odbijany. To jest prawdziwy skandal. Niedawno było głośno o kobiecie z udarem, którą karetka woziła od szpitala do szpitala przez trzy godziny. Bo nikt nie chciał jej przyjąć. To zjawisko powszechne. Nasze karetki mają dokładnie takie same problemy. I to już od kilkadziesiąt dni! Szukamy miejsca dla pacjenta. Pierwszy szpital nie przyjmie, bo pacjent nie ma objawów koronawirusa. Drugi nie przyjmie, bo nie ma wykluczonego koronawirusa. A pacjent

potrzebuje pomocy już! Mówiłam o tym w marcu, jest maj – do dziś nic z tym nie zrobiono. Karetka zamiast zapewniać szybki transport do szpitala, podróżują po całym województwie w nadziei, że ktoś rozsądny w końcu pacjenta przyjmie.

Odpowiedzialność

Epidemia podkreśliła grubą kreską wiele polskich chorób. Powszechne uniesienie. Festiwal wielkich słów. Dziurawy system. Totalne nieprzygotowanie. Pospolite ruszenie. Odebrani od zwykłego życia, patrzący tylko na swój interes politycy. Podział i chwiejny nastrój społeczeństwa. Hejt. To wszystko w jeden miesiąc. Choć pracuję w jednoimiennym szpitalu zakaźnym, nie mam pojęcia, w którym miejscu epidemii tak naprawdę jesteśmy. Jedno wiem natomiast na pewno: gdy już się to skończy, w systemie nie zmieni się nic. To frustrujące.

Miałam ostatnio odwiedzić kolegę do izolatorium. Pytam, czy są nieparujące okulary. Szef pokazuje pudełko.

– O, super! Jakaś dostawa była?

Popatrzył na mnie z politowaniem. – Skąd. Kupiłem wam. Okulary, przyłbice – mówi i dodaje: – Był już pomysł, byście jeździli w mniejszych zabezpieczeniach. Nie wyraziłem zgody, sam musiałem się postarać o sprzęt.

Kilka chwil później jadę karetką i myślę: czy od marca coś się zmieniło? Czy coś poprawiliśmy? Usprawniliśmy system? Bo w telewizji słyszę same pochwały. A dla zwykłego ratownika, jakim przecież jestem, nie zmieniło się zupełnie nic.

Dziś nie ma wielkich przyrostów zachorowań, ale kto wie, co wydarzy się za kilka tygodni albo miesięcy. Nikt nie ma pewności. Zakłada się, że przechoruje 80% społeczeństwa. Biorąc pod uwagę, że pozostajemy w izolacji od marca, nikt nie jest w stanie określić, ile do tych 80% brakuje. Powinno się więc robić wszystko, by szpitale, miejsca, gdzie sprawowana jest opieka nad starszymi, sanepidy, laboratoria, były gotowe na najgorsze. Jednolite procedury, wytyczne,

szkolenia, walidacje, atesty, zabezpieczenie stanów magazynowych, logistyka. Stawianie na jakość. Jeżeli już teraz przewiduje się kolejną falę zachorowań, w dodatku nałożoną na sezon grypowy, to trzeba być na to przygotowanym. Trzeba opracować plan B, który uwzględni poprawne funkcjonowanie gospodarki, od której działania zależny jest również system opieki zdrowotnej. Udało nam się uniknąć dramatycznych wyborów – kto ma przeżyć, a kto umrzeć. Mam dziadków i nie chciałabym, żeby ktoś musiał ich pozbawiać szans na leczenie tylko dlatego, że na oddziale jest ktoś młodszy, o tzw. większej przydatności społecznej.

Dla mnie epidemia się nie kończy. Wciąż zajmuję się chorymi, podejrzanymi. Ten czas uczy nas jednego:

musimy być odpowiedzialni nie tylko za siebie, ale także za innych. Szczególnie za starszych. Bo nieoczekiwanie starszym może stać się każdy z nas.

Fragmenty książki
Pawła Kapusty
Pandemia. Raport z frontu,
Insignis Media,
Kraków 2020





Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Przejazd, marsz, igrasztwa, bój

Coroczna rytualna nawałnica skrajnej prawicy, nazywana Marszem Niepodległości, a usankcjonowana, przypomnijmy, decyzją pisowskiego wojewody mazowieckiego w 2017 r. jako impreza cykliczna na kolejne cztery lata, przetoczyła się przez pandemiczną Warszawę. Stało się to mimo zakazu sądowego po decyzji prezydenta Trzaskowskiego zabraniającej organizacji marszu. W tym roku nie szli na jego czele – a raczej przed nim, ochraniani przez wojsko, policję, BOR albo inny SOP – przedstawiciele rządu czy sam prezydent, jak to miało miejsce w 2018 r. Tym razem dla PiS była to manifestacja zorganizowana przez „opozycję”, czyli postów Konfederacji. Ponad 300 osób zatrzymano, 35 policjantów zostało rannych, fotograf „Tygodnika Solidarność” został trafiony policyjną gumową kulą w twarz, podpalono pracownię artysty fotografa (akurat przygotowuje wystawę fotografii Witkacego, część materiałów o mało nie spłonęła), po tym jak nie trafiono w mieszkanie, na balkonie którego wisiał plakat Strajku Kobiet, kilkoro dziennikarzy zostało spalowanych przez policję. O racach, petardach nie ma nawet co wspominać.

Wieczorem, po wszystkim, organizatorzy marszu, który przeszedł, a którego „nie było”, brylowali w ogólnopolskich telewizjach. Nawet podobno zostali wcześniej spisani przez policję, która poprzedniego dnia bezpardonowo zatrzymała i trzymała na komendzie przez wiele godzin starszą warszawiankę, znaną jako Polska Babcia, uczestniczkę tzw. opozycji ulicznej, która szła w stronę pl. Piłsudskiego z okazji miesięcznicy smoleńskiej. Kilku rośłych funkcjonariuszy usiłowało babcię zatrzymać bez podania jakichkolwiek podstaw interwencji, a potem przewróciło, wrzuciło do policyjnej suki i przewiozło na komendę przy ul. Wilczej, gdzie spędziła kilka godzin.

11 listopada do Warszawy przyjechały nie babcie z Polski, tylko zorganizowane, kilkudziesięcio-, kilkusetosobowe grupy prawicowych bojówkarzy i kibicowskie. Wstępnie organizatorzy nielegalnego marszu zapowiadali, że odbędzie się przejazd samochodowy, który zamienił się w pełen agresji przemarsz kilku tysięcy manifestantów. Demonstrujący zaatakowali oddział policji na tyłach Empiku przy Nowym Świecie, leciały kamienie, race, kamienne donice na kwiaty. Policja użyła broni gładkolufowej, trafiając w twarz 74-letniego reportera prorządowego „Tygodnika Solidarność”. Tradycyjnie media prawicowe, organizatorzy marszu, politycy PiS oskarżali nie wiadomo kogo o prowokację. Odprawiając swoje listopadowe

dziady, obwiniali o wszystko mityczną Antifę, która (przebrana w mundury szturmowych oddziałów prewencji?) miała zaatakować niewinnych „patriotów”.

Niemal identycznie od 10 lat obserwujemy żalosny, ponury, pełen agresji spektakl prawicowej nienawiści, występujący przez cały ten czas na melodię „Sza! dziewczeczka do laseczka” baśń o polskich młodych patriotach, rodzinach z dziećmi, pobożnych, rozmodlonych katolikach, którzy stanowiąc o istocie polskości, kroczą dumni i radośni, upojeni Polską i tradycją. Skąd więc tysiące rac i petard, bójki, kamienie, próby podpaleń budynków, instytucji, infrastruktury (w tym roku na patriotycznym szlaku stanęła stacja wypożyczania rowerów – została spalona). Policja, która miota się między Scyllą politycznych zaleceń i sugestii a Charybdą walki o własne życie, komentowała tegoroczne wydarzenia: „Nie przypominam sobie, żeby tłum tak agresywnie napierał na policjantów. To była bitwa”.

Po wszystkim organizatorzy mieli jak zawsze do powiedzenia to samo: gdyby policji nie było nigdzie widać, toby jej nie atakowano, ale i tak ataki sprowokowała Antifa, której nikt nigdzie nie widział, a poza wszystkim winne jest PiS, które uchwaliło złe ustawy. Ten marsz był mniej liczny niż w poprzednich latach, PiS ewidentnie sparzyło

**Na co nam taka niepodległość?
Bo nie bardzo widać.**

się na próbie łagodnego przeciągnięcia prawicowych radykałów na swoją stronę, a tutaj zostali już tylko rycerze pod wezwaniem CHWDP, których okiełznać politycznie się nie da. Tak się kończy romans skrajnej prawicy (PiS) z jeszcze bardziej skrajną (Konfederacją) i jeszcze skrajniejszymi bojówkarzami. Wszystko to okrywa czerwonym dymem, hukiem petard i rykiem nienawistnego tłumu schowaną w domach Warszawę. To nie wypadek przy pracy, to efekt i zwieńczenie flirtu prawicy z prawicą, chociaż oczywiście dzisiaj, kiedy idzie to nie- zbyt propisowsko, rzeczniczka partii robi wielkie oczy i, patrząc w nasze, łże: „Te środowiska działają samodzielnie i odrębnie od nas i taka próba przyklejenia nas to jest kolejna niedorzeczność ze strony opozycji”.

Samo się to nie wyprostuje. Ale też przez dekadę żadna siła polityczna z prawicy, poza nieudolnym Bronisławem Komorowskim z jego czekoladowym orłem, nie była tym zainteresowana.

Można na koniec zapytać: a na co nam taka niepodległość? Bo nie bardzo widać.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Czy Biden będzie Syzyfem?

Żaden amerykański prezydent nie rozpoczynał kadencji w tak trudnej sytuacji

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

We wtorek, 3 listopada, byłam w zdecydowanej mniejszości. Śledziłam wyniki wyborów prezydenckich, ale bez złudzeń, że najdalej w okolicach północy poznamy zwycięzcę. Poszłam spać o normalnej porze i to samo radziłam nastoletniej córce. Tym bardziej że, pozostając głucha na argumenty o przewidywanym długotrwałym liczeniu głosów, zaczęła się dopytywać trwożliwie, jakie są szanse, byśmy po wygranej Trumpa emigrowali do Kanady.

Tydzień po wyborach liczenie głosów jeszcze trwa, ale wiele wskazuje, że walizki można odstawić do szafy. Według agencji AP Joe Biden ma już w kieszeni 290 głosów elektorskich, przy wymaganych 270, jeśli w poczet popierających go stanów włączymy Arizonę (98% policzonych głosów, przewaga 0,5 pkt), Georgię (ponad 99% policzonych głosów, przewaga 0,2 pkt) i Pensylwanię (ponad 99% policzonych głosów, przewaga 0,7 pkt).

Niebieski ocean, którego nie było

Świat, który przez cztery lata z niedowierzaniem patrzył na tragifarsę, jaką były rządy Trumpa, oddycha z ulgą. Ma powody. Po pierwsze, Joe Biden, choć „dziaders”, nie się ze sobą obietnicę powrotu do „normalności”, jeśli za normalność uznamy pewien poziom kultury osobistej i zawodowego doświadczenia, cechy, które przed Trumpem zwykle charakteryzowały głowę amerykańskiego państwa bez względu na jej przynależność partyjną.

Po drugie, Biden jest solidnym liberałem-centrystą, nie musimy więc raczej się obawiać, że poniosą go populistyczne zapędy i zgotuje Ameryce kolejne cztery lata rządów za pomocą ognia i gniewu, prowadząc

do dalszych podziałów społecznych i politycznych. Sam zresztą obiecuje, że jego przywództwo powstrzyma Amerykę przed dalszą ewolucją w kierunku państwa zwalczających się plemion w wojnie podkopującej stabilność i autorytet najważniejszych instytucji i urzędów w państwie.

Wreszcie Biden postawił u swojego boku Kamalę Harris, pierwszą w amerykańskiej historii kobietę na stanowisku wiceprezydenta, do tego osobę o nieanglosaskim rodowodzie. Bez względu na to, jak skalkulowany politycznie to krok, ukłon w stronę zarówno coraz bardziej dywersyfikującego się etnicznie elektoratu USA, jak i bardziej liberalnego skrzydła Partii

Biden będzie pierwszym od stu lat prezydentem bez zaplecza w Senacie.

Demokratycznej, można się spodziewać, że Harris wprowadzi do Białego Domu podobne wartości, jakie zwykle pojawiają się w polityce tam, gdzie stanowiska przywódcze obejmują kobiety. Więcej jest dialogu i kompromisów, mniej walenia pięścią w stół i skłonności do konfliktów zbrojnych.

A jednak byłoby naiwnością myśleć, że prezydentura Bidena będzie jak rejs wycieczkowcem po Karaibach. Zanosi się raczej na to, że będzie to jedna z najtrudniejszych prezydentur ostatnich kilkudziesięciu lat.

Przede wszystkim Biden nie będzie miał za sobą murem całego Kongresu. Mimo wielkich, dziś już wiemy, że aroganckich, nadziei demokratów na odbicie Senatu przedsięwzięcie się nie udało i Biden będzie pierwszym od stu lat prezydentem bez takiego zaplecza. Jest to o tyle istotne, że jeśli demokraci się nie pozbierają, za dwa lata mogą stracić Kongres całkowicie, a to nie pomoże Bidenowi w reelekcji za cztery lata. Abstrahując nawet od tego, że utrata Białego Domu w 2024 r. przyniosłaby automatyczny demontaż wszystkiego, co Bidenowi

udałoby się odbudować i osiągnąć, takie odbijanie prezydenckiej piłeczki co cztery lata oznaczałoby *de facto* wybicie całego kraju na aut. Zablokowany zostałby wszelki postęp, uniemożliwione wprowadzanie znaczących, długofalowych reform. Byłaby to katastrofa także dla reszty świata.

Do wyborów parlamentarnych republikanie mieli nad demokratami przewagę w Senacie 53:47. By odbić izbę, demokraci musieli uzyskać co najmniej 50 foteli, głosem dającym im większość byłaby wiceprezydentka Harris. Niestety, wybory znów przyniosły przewagę republikanów (na razie stosunkiem 49:48) i choć trzy fotele pozostają bez

ostatecznego właściciela, bo trwa liczenie głosów, to eksperci – wśród nich Nate Silver z renomowanym ośrodkiem badań i progno-

styki politycznej FiveThirtyEight – zapowiadają wygraną republikanów.

Nie o same liczby jednak chodzi. Znamienny i zdumiewający jest fakt, że wśród przegranych są kandydaci ze stanów, które w wyborach prezydenckich poparły Bidena. Podobne kuriozum miało miejsce w Izbie Reprezentantów. Tam też demokraci nie tylko nie poszerzyli obecnej większości (stracili cztery fotele), ale jeszcze przegrali mandaty w stanach, gdzie Biden zgarnął wygraną (Nowy Meksyk). Dwa lata temu, idąc po parlamentarne zwycięstwo mocną niebieską falą, demokraci marzyli o „niebieskim oceanie” w roku 2020. Widzimy, że ocean wyparował, nim miał czas pojawić się na mapie, i jest to dla demokratów bardzo zła nowina – sygnał ze strony wyborców, że z partią dzieje się coś bardzo niedobrego.

Demokraci w bratobójczym zwarciu

Pierwszym, który już dzień po wyborach zdiagnozował „gangrenę”



Biden będzie musiał zmierzyć się z wieloma problemami.

toczącą jego własną partię, był Kurt Schrader, kongresmen z Oregonu. „Leżymy na linii komunikacji z wyborcą. Nasze przesłanie nie rezonuje z elektoratem. Dlaczego? Bo wszyscy jesteśmy wrzucani do tego samego worka co ultralewica, której media poświęcają całą uwagę, i nic dziwnego, że ludzie ogarnia strach. Myślą, że chcemy wprowadzać państwo superopiekuncze, w którym zatracą prawo do własnego zdania i działania”, powiedział w „Washington Post”.

Abigail Spanberger, demokratka z Wirginii, poszła jeszcze dalej. Na naradzie wewnętrzzpartyjnej, która wyciekła do mediów, jawnie nawoływała do amputacji radykalnego skrzydła partii firmowanego twarzami Alexandrii Ocasio-Cortez, Nancy Pelosi i Berniego Sandersa, argumentując, że jego gra pod gusta wielkomiejskiej, wykształconej i superpostępowej elity odstręcza od partii „statystycznego” wyborcę. „Nikt z nas nie powinien więcej wypowiadać słów: *Defund the police* (Przestańmy finansować policję). Nikt nie powinien nawet wspominać o socjalizmie!”, grzmią na kolegów i koleżanki Spanberger.

O tym, że konserwatyści fantastycznie odrobili przed wyborami pracę domową i będą zbierać jej owoce, dopóki demokraci nie

zakończą wewnętrzpartyjnej wojny, przekonałam się osobiście, rozmawiając z sąsiadem, Billem O’Brienem, który tablicę głoszącą poparcie dla Trumpa wystawił przed dom już pod koniec września. „Biden z Harris dołożą wszelkich starań, by przekształcić nasz kraj w Stany Socjalistyczne Ameryki. Nie do końca lubię Trumpa jako człowieka, ale do takiej katastrofy ręki nie przyłożę!”, powiedział Bill O’Brien. Na pytanie, czy słyszał, by Biden obiecywał komukolwiek socjalizm, rzekł: „On sam nie, ale przecież reszta jego partii tylko o tym marzy!”.

Druga sprawa – Biden dostanie wórn problemów niebawem podobny i rozmiarem, i zawartością do tego, jaki musiał dźwignąć swego czasu Franklin Delano Roosevelt. Mamy więc i pandemię, i monstualną zapasę ekonomiczną, i bezrobocie na poziomie 12% (U.S. Bureau of Labor Statistics, październik 2020), i wreszcie rekordowy deficyt federalny, wartości 3 bln dol., z największą dziurą budżetową od 1945 r. A także palący problem reformy zdrowotnej, której Obamacare to jedynie nieśmiały początek. Roosevelt na społeczne bolączki odpowiedział programem New Deal, który dał ludziom pracę w ramach rozmaitych projektów federalnych oraz ustanowił w 1935 r.

uniwersalny fundusz emerytalny Social Security. Czy Biden mógłby pójść jego śladem? Mógłby, a nawet byłoby to wskazane, jednak historycy, wśród nich Allan Winkler z Uniwersytetu Miami, obawiają się, że nie będzie to możliwe. „Polaryzacja istniała zawsze, ale gdy mieliśmy w polityce do czynienia z innymi standardami, nie było mowy o takim wyniszczaniu, jakie ma miejsce dzisiaj. Politycy kłócili się na sali obrad, ale rozmawiali ze sobą prywatnie i to otwierało drogę do porozumień i kompromisów. Czy można sobie dziś wyobrazić, by Mitch McConnell popijał herbatę w towarzystwie Nancy Pelosi? Nie. Dlatego bardzo trudno jest mi wierzyć, że komukolwiek uda się wyciągnąć Amerykę z kryzysu za pomocą programu podobnego do New Dealu”, wyjaśnił mi w rozmowie Winkler.

Trumpizm jak koronawirus

Jak więc w świetle wszystkich tych wyzwań, podziałów i obciążenia w postaci pandemii eksperci widzą przebieg prezydentury Bidena?

John Pitney, były doradca republikański i politolog z Claremont McKenna College w Kalifornii, przewiduje, że jedyny obszar, gdzie Biden ma szansę na sukces, to dialog – niekoniecznie

► jednak porozumienie! – z republikanami, w dużej mierze dlatego, że jako waszyngtoński *insider* wielu zna osobiście. „Ale nie oczekujemy żadnych znaczących reform, bo demokraci i republikanie traktują dzisiaj siebie nawzajem jak wrogie hordy wilków, z podejrzliwością, a także przeświadczeniem, że mieszkają w zupełnie różnych krajach. To oczywiście skutek trumpizmu, trendu,

Dodaje zaś, że wstrzemięźliwość legislacyjna, nieważne czym kierowana, może akurat okazać się dla Ameryki zbawienna. „Jesteśmy tak zadłużeni, że nie stać nas w tej chwili na żadne większe wydatki”, wyjaśnia.

Również Peter Wehner, były autor przemówień prezydenta, a dziś wicedyrektor Centrum Etyki i Polityki Publicznej w Waszyngtonie, prognozuje, że pewne destrukcyjne postawy

w najgorszym wydaniu, żerującego na naszych słabościach i lękach, a dokarmiającego się teoriami spiskowymi. Trump będzie zresztą tej menażerii osobiście pilnował. Zapowiedział przecież, że w najgorszym wypadku powróci do Białego Domu za cztery lata”, uważa Wehner.

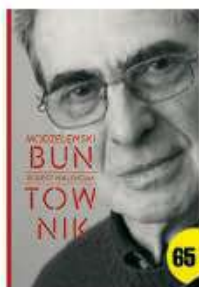
A nie zapominajmy, że przed odejściem Trump całkiem sprawnie, może nawet genialnie, zmontował dla Bidena dodatkowy tor przeszkód w postaci sądów. Prawie 30% sędziów w federalnych sądach odwoławczych to osoby, które sam tam zainstalował – historyczny rekord, biorąc pod uwagę, że mówimy o wyniku osiągniętym w ciągu jednej kadencji. Wisienką na torcie była oczywiście nominacja ultra-konserwatywnej Amy Coney Barrett do Sądu Najwyższego, przepchnięta przez Senat kolaniem w ostatnim możliwym momencie, sześć dni przed wyborami. Tym samym po raz pierwszy od ponad 80 lat konserwatyści uzyskali w tej instytucji pewną większość (6:3), co nie musi, lecz jak najbardziej może oznaczać bonanzę dla

Jeśli demokraci się nie pozbierają, za dwa lata mogą stracić Kongres całkowicie.

który rozprzestrzenia się w szeregach republikanów jak swoisty koronawirus i grozi epidemią. Trump pokazał, że istnieje wielki blok wyborców, którym ten wirus się podoba. Na razie nie ma na horyzoncie żadnej szczepionki, dlatego umiarkowanie w relacjach z demokratycznym prezydentem będzie groziło delikwentowi utratą urzędu na rzecz rywala o wyższej zawartości trumpizmu w zachowaniu i poglądach”, tłumaczy Pitney.

i sentymenty: rasizm, nacjonalizm, renesans ideologii białych suprematystów, które za prezydentury Trumpa przybrały na sile, nigdzie nie odejść. Trzeba raczej przygotować się na to, że będą bezlitośnie testować granice swojej operatywności i naszej wytrzymałości.

„Odchodząc, Trump wiele ze sobą zabierze, ale niestety wiele zostawi, i to tego, czego wolelibyśmy już nigdy nie oglądać: populizmu



Idą święta

Pakiet 3 książek
~~141 zł~~ 110 zł

Czas na prezenty

Pora na dobre książki



2+1 GRATIS

Przy zakupie 2 dowolnych książek „Co ma Orbán w głowie” w prezencie

Świąteczne ceny

Autograf autora

ideologicznych i kulturowych wojen, na których polega i z których czerpie siłę prawicowy populizm. Niewykluczone więc, że za prezydentury Bidena szykują się zasadnicze zmiany nawet w tych historycznych ustawach, które w ostatnim stuleciu uczyniły z Ameryki lidera światowego ruchu na rzecz praw człowieka i równouprawnienia, w tym prawa do aborcji.

Trump 2.0 już w blokach startowych

Co prowadzi nas do ostatniego punktu i pytania, czy prezydentura Bidena nie okaże się wyłącznie rozpacziwą próbą obrony Ameryki przed Trumpem 2.0. Nie brakuje głosów, że to możliwy scenariusz, szczególnie że kandydaci (jeśli nie będzie

to sam Trump) już ponoć czekają w kolejce. W artykule pod wymownym tytułem „Następny autokratyczny przywódca Ameryki będzie dużo bardziej kompetentny” („The Atlantic”, 6 listopada) Zeynep Tüfekçi, socjolożka z Uniwersytetu Północnej Karoliny i Turczynka z pochodzenia, wymienia konkretne nazwiska.

Jej faworytem jest republikański senator Josh Hawley, autor mającej ukazać się niebawem książki o Big Tech. Drażnienie przez prawnika obszarów technologii mogłoby się wydawać dziwne, gdyby nie było częścią szerszego planu. „Hawley wie, że celem kolejnego ataku kulturowego rycerstwa będą media społecznościowe, coraz mocniej atakowane jako centrum szerzenia fake newsów i cenzurowania prawicy”, pisze Tüfekçi.

Ponadto obstawia populistę i rasiistę Toma Cottona, senatora z Arizony wieszczącego koniec Ameryki z rąk BLM (Black Lives Matter – międzynarodowego ruchu walczącego o prawa człowieka), i medialne gwiazdy: Tuckera Carlsona z Fox News i króla politycznego podcastu Joea Rogana, a także świeżo upieczoną republikańską kongresmenkę z Kolorado Lauren Boebert, miłośniczkę broni i spiskowej teorii QAnon (wedle tej teorii światem rządzi elitarna grupa pedofilów handlująca dziećmi, a prezydent Trump ma sekretny plan pociągnięcia ich do odpowiedzialności).

Tüfekçi kończy esej konkluzją, z którą można się nie zgadzać, ale która na pewno daje do myślenia: „Kilkuletnia polityczna drzemka wydaje się w tej chwili kuszącym pomysłem dla przeciwników Trumpa, ale trudno nie dostrzec, że prawdziwą nauką płynącą z tych wyborów wcale nie jest opowieść o porażce Trumpa i triumfie demokratów. To opowieść o tym, że przegrał słaby i ograniczony polityk, lecz jego partia okopała się na wszystkich pozostałych polach władzy – idealny układ dla utalentowanego prawicowego populisty, by w 2024 r. wtargnął do Białego Domu”.

Jednego możemy być pewni. Amerykańska polityka dostarczy nam w najbliższych latach mnóstwa emocji i jeszcze więcej niespodzianek. Nudzić się nie będziemy. Obyśmy tylko nie musieli za bardzo się bać.

Eliza Sarnacka-Mahoney

KLAMSTWA O HISTORII
PRL BERLINO, CYRANKIEWICZ, ŻOŁNIERZE WYKŁĘCI
45 zł

DĄBROWSZCZYCY
NA ŚWIECIE SZANÓ W POLSCE POK
39 zł

WOŁYŃ
44 zł

Pakiet 2 książek PRL
85 zł 60 zł

ZAKŁAMANA HISTORIA POWSTANIA
41 zł

ZAKŁAMANA HISTORIA POWSTANIA
42 zł

ZAKŁAMANA HISTORIA POWSTANIA
40 zł

ZAKŁAMANA HISTORIA POWSTANIA
44 zł

ZAKŁAMANA HISTORIA POWSTANIA
43 zł

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nieresztrowanej
Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej
priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł
lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.
Promocja ważna do 18.12.2020 r.
lub do wyczerpania zapasów.

Nowa stara Ameryka

Wybory w USA skończą się wyprowadzką Trumpa z Białego Domu. Ale poza tym nie należy się spodziewać rewolucji w amerykańskiej polityce

Jakub Dymek

Z wielkim westchnieniem ulgi Amerykanie zakończyli „najważniejsze w ich życiu wybory”. Akurat to, że najbliższe wybory będą najważniejsze w historii, obywatele i obywatelki USA słyszą od lat. Sam więc slogan nie robi już na nich takiego wrażenia. Ale wielka niepewność, strach i ekscytacja, które towarzyszyły wyborom prezydenckim w 2020 r., były jak najbardziej prawdziwe. Tak jak ulga.

Ameryka ma za sobą dosłownie i w przenośni „chory rok” – w kraju szaleje pandemia, społeczeństwo jest nieuleczalnie pęknięte, a chroniczne wady systemu wyborczego znów dają o sobie znać. Dość

Proces przekazania władzy, zliczania głosów, sądowych sporów potrwa jeszcze trochę. Może historycznie długo. Ale w czymś mamy już jasność.

Gospodarka i cierpliwość

Donald Trump przegrał te wybory. I to dość jednoznacznie. Joe Biden i Kamala Harris odzyskali stany „demokratycznego muru” – Michigan, Wisconsin i Pensylwanię, które były niezbędne do zwycięstwa, a które cztery lata temu straciła Hillary Clinton. Trumpowi i jego prawnikom trudno będzie legalnie podważyć ten wynik w jakikolwiek sposób. Mimo że Biden wyprzedził urzędującego prezydenta w kilku stanach dosłownie o włos – decydują ułamki

siada na brzegu rzeki, a nurt z czasem i tak przynosi mu trupy jego wrogów.

Chiński wojownik

Chińska lekcja o cnocie cierpliwości i wytrwałości naprawdę znalazła tu zastosowanie. Biden musiał mocno zaangażować się w wyborczą gonitwę tylko w jednym kluczowym stanie i tylko na ostatnim jej odcinku. Gdy trzeba było wycisnąć maksymalnie dużo głosów z robotniczych regionów decydującego stanu Pensylwania – gdzie zresztą Biden się urodził – i na wszelkie sposoby podbić tam frekwencję, on i jego sztab rzeczywiście urobili się po łokcie. Wiece były liczne, a walka o każdy głos zażarta. Gdzie indziej już nie tak bardzo.

Wystarczyło zostawić Trumpa samemu sobie. Bo pomysł urzędującego prezydenta zakładał głoszenie wbrew wszystkim krytykom jednego: „Gospodarka kwitnie, a wasze portfele puchną”. Pandemia i gwałtowne uderzenie recesji spowodowały jednak, że jak żałosny komiwojażer Trump musiał w każdym miejscu zaprzeczać oczywistym faktom: że wirus szaleje, Amerykanie tracą pracę, a biedni obrywają najmocniej.

Gdyby – w alternatywnej rzeczywistości – pandemia uderzyła później, ten prosty pomysł jednak by zadziałał. Powyborcze sondaże pokazały, że zdecydowanej większości wyborców Trumpa (a było ich przecież ponad 72 mln!) zależy przede wszystkim na losach gospodarki. Zdrowie publiczne i pandemia znalazły się na piątym i szóstym miejscu – za gospodarką, nominacjami do Sądu Najwyższego, polityką zagraniczną i aborcją.

Niebieskiej fali nie było

O ile jednak Trump zdecydowanie przegrał te wybory, o tyle

Miliony sympatyków Trumpa odrzucają zwycięstwo Bidena jako zmowę elit i „skradzione zwycięstwo”.

powiedzieć, że kilkaset milionów obywateli USA nie tylko nie poznało zwycięzcy wyborów przez kilka dni od zamknięcia lokali wyborczych, ale w ogóle do dziś nie ma pewności, czy przegrani zaakceptują wynik i dojdzie do normalnego przekazania władzy. Na pewno już teraz miliony sympatyków Trumpa odrzucają ten rezultat jako zmowę elit i „skradzione zwycięstwo”. Z drugiej strony 80% wyborców Bidena uważa, że sympatyków odchodzącego prezydenta nie łączą z nimi nawet amerykańskie wartości! Słowem, jedni drugich mają za gorszy sort Amerykanów – jeśli nie obywateli drugiej kategorii. W tym powyborczym czasie, gdy nastroje się uspokajają, widzimy już tylko, jak głęboki rów wykopano między obiema partiami i jak podzielono społeczeństwo.

procenta i tysiące głosów – nikt nie wyobraża sobie sytuacji, w której ponowne przeliczenie głosów czy protesty wyborcze nagle przechyłą szalę zwycięstwa w Georgii, Pensylwanii i Arizonie naraz.

Statystyka na bok. Jak i dlaczego możliwe było zwycięstwo Bidena? Bardziej dzięki temu, że na początku roku runęła całkiem solidnie pomyślana strategia reelekcyjna Trumpa, niż dlatego, że sam Biden prowadził świetną kampanię. Bo przez większość roku (z jednym wyjątkiem, o którym za chwilę) wcale nie prowadził on prawdziwej kampanii. Kandydat demokratów chował się w swojej piwnicy i nadawał stamtąd do wyborców, licząc, że w ten sposób przeczeka i wirusa, i wszystkie wpadki Trumpa. Biden prowadził kampanię jak wojownik z chińskiego przysłowia, który zamiast walczyć,



Zwolennicy Donalda Trumpa w Phoenix w Arizonie po ogłoszeniu wstępnych wyników wyborów, według których ich kandydat przegrał.

demokratyczna opozycja wcale nie wygrała ich równie ewidentnie. Nie zmaterializowała się „niebieska fala”, której demokraci oczekiwali. Szokiem lub upokorzeniem dla wielu okazały się spływające z okręgów wyniki wyborów do Izby Reprezentantów. Demokraci po czterech latach rządów Trumpa i republikańskiej większości mieli wszelkie powody, by spodziewać się sukcesu. Demografia, nastroje społeczne i kryzys gospodarczy, a także spodziewany sukces ich kandydata na prezydenta – wszystko to wskazywało, że w końcu odbiją prawicy większość w Kongresie. Stało się odwrotnie. W tych samych wyborach, w których Amerykanie postawili na Bidena i Harris, wysłali też jasny sygnał, że nie są gotowi na pełnię władzy demokratów.

W niższej izbie Kongresu demokraci będą mieli co prawda przewagę, ale w tych wyborach stracili sześć miejsc względem 2018 r. W dużo ważniejszym Senacie już prawie na pewno ponieśli porażkę. Prawie na pewno – dlatego że o wygranej republikanów bądź

o remisie ostatecznie zdecydują dwa senackie mandaty w stanie Georgia, tradycyjnie konserwatywnym. O tym, kto je obsadzi, zdecydują wybory uzupełniające w styczniu. Szanse, że obydwa miejsca przypadną demokratom, są małe, a tylko ten wariant pozwala im odzyskać Senat i przekuć w zwycięstwo to, co dziś wygląda na porażkę.

80% wyborców Bidena uważa, że sympatyków odchodzącego prezydenta nie łączą z nimi nawet amerykańskie wartości.

O ile więc same w sobie wyniki nie są dla demokratów tragedią, o tyle wnioski, jakie można z nich wyciągnąć, są dalekie od optymizmu. Przede wszystkim: za duża część liberalno-lewicowej Ameryki zwyczajnie uwierzyła we własną propagandę.

Za dużo teorii?

Widzowie telewizji MSNBC lub czytelnicy „New York Timesa” przez cztery lata codziennie byli

przekonywani, jak historycznie złym prezydentem jest Trump i jak głęboko w szponach Rosji są republikanie. A także, że cała amerykańska prawica to albo spiskowi wariaci, albo gotowi do przemocy bojówkarskiej. Karmieni tym przekazem mieszkańcy liberalnej Ameryki myśleli, że jedyny sposób, by tak skompromitowana prawica mogła cokolwiek

osiągnąć, to wyborcze oszustwo albo zbrojny przewrót.

Nie wzięli jednak pod uwagę, że i druga połówka Ameryki – bardziej konserwatywna, prowincjonalna i religijna – zmobilizowana tym samym przekazem równie licznie pójdzie do wyborów. Bardzo mocny skręt debaty w lewo w sprawach rasizmu, tożsamości płciowej czy podejścia do historii w ostatnich dwóch latach wywołał reakcję. Choć nazywanie tego, co się stało, skrętem w lewo jest trochę nieuczciwe wobec lewicy. ►

► Chodzi bowiem raczej o to, że duża część głównego nurtu mediów i polityki (acz nieskłonna poprze lewicowych postulatów gospodarczych, np. Berniego Sandersa) zaczęła mówić językiem kampusowych i kanapowych socjalistów – traktując tezy francuskich postmodernistycznych socjologów czy tzw. krytyczną teorię rasową jak prawdy objawione.

Szybko okazało się, że w sprawach rasy czy brutalności policji biali i wykształceni Amerykanie głoszą poglądy bardziej radykalne lub wyraziste – i są na to badania! – niż sami przedstawiciele dyskryminowanych mniejszości.

W powyborczym czasie widzimy, jak głęboki rów wykopano między obiema partiami i jak podzielono społeczeństwo.

Na tym wewnętrznym pęknięciu i kakofonii radykalnych haseł bez pokrycia rzeczywiście mogli zyskać kandydaci prawicy, a przegrać umiarkowani demokraci.

Są już więc w Ameryce publicyści, tacy jak Andrew Sullivan, którzy śpieszą głosić koniec „postępowej” czy „politycznie poprawnej” lewicy – która znów okazuje się zbyt hermetyczna dla ludu i odpychająca w swoim ideologicznym zafiksowaniu. Być może. Prawdziwość tych sądów potwierdzą (lub obalą) bardziej

szczegółowe analizy wyników wyborów oraz sukcesów i porażek poszczególnych kandydatów.

Ale fakt pozostaje faktem – wielkim zwycięstwem te wybory dla demokratów nie były.

Populistyczna fala płynie dalej

Kilka symbolicznych i prestiżowych zwycięstw budzi nadzieję na większą zmianę w całej demokratycznej polityce – po całej lewej stronie sceny. To, że wiceprezydentką została Kamala Harris, a do obu izb dostało się wiele kobiet i przedstawicieli mniejszości, szczególnie

Po drugie, jak mówił dwa tygodnie temu w PRZEGŁĄDZIE prof. David Ost, prawica może dalej proponować trumpowski program i styl prowadzenia polityki, tylko w bardziej skutecznym i kompetentnym wydaniu. W najbliższych latach okaże się, jak bardzo skuteczny. Po trzecie, fala kulturowych i społecznych zmian, która przesuwająca wyborców z klasy robotniczej w stronę prawicy, nie ustaje. Republikanie, co dostrzega wielu obserwatorów, mogą wykorzystać już istniejące tendencje i agresywnie spychać demokratów do wielkomiejskiej bańki, przedstawiając się jako bardziej wiarygodna „partia zwykłych ludzi”.

Co z tym robi Biden? Tyle – brzmi brutalna odpowiedź – ile okoliczności pozwolą. Prezydent jest bowiem ograniczony pozostałymi instytucjami demokracji: Senatem, Sądem Najwyższym, Izbą Reprezentantów czy obsadą foteli gubernatorskich w poszczególnych stanach. Biden będzie naprawiał relacje zagraniczne i multilateralizm, w kraju zaś wnieśli kilka odważnych propozycji antykryzysowych. Ich ostateczny kształt i los zależą jednak od nieprzewidywalnych dla wszystkich czynników – od wyników wyborów w Georgii po wolę współpracy prawicy i kompromisów na lewicy w realizacji najważniejszych reform. Tuż przed upływem kadencji – w niezwykle pośpiesznym trybie i łamiąc wszelkie niepisane zasady – Trump powołał też do Sądu Najwyższego konserwatywną i religijną Amy Coney Barrett. To zaś oznacza, że wszelkie odważniejsze propozycje nowej administracji będą kontestowane przez prawicę, która ma teraz „swoją” sąd. Dzięki decyzji Trumpa bowiem przewaga konserwatystów nad liberałami wynosi w Sądzie Najwyższym już 6:3. To być może najmocniej zaciągnięty ustrojowy hamulec dla jakiegokolwiek postępowej zmiany w amerykańskiej polityce.

Niestety dla demokratów, choć czasy są niezwykle wymagające i aż wołają o nową jakość w polityce, na razie nic w tym układzie nie wskazuje na rewolucyjną zmianę.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeгляд.pl
dymek.substack.com



Oko w oko



Tomasz Jastrun

W kinie Atlantic, w przeddzień małego lockdownu, spotkanie dla nauczycieli wokół mojej książki „Dom pisarzy w czasach zarazy”. Byłem ciekaw, czy ktokolwiek przyjdzie, przecież sam jechałem niechętnie, bo czas ponury i wilgotny. Cudem znajduję miejsce na parkingu w Alejach Jerozolimskich, umiarkowanie daleko od kina. Idę z walizką na kółkach, w której drzemią moje książki, różne tytuły, w nich me

i intelektualistów, bo tak jak dla naszej prawicy to są dla niego „tę-elity”.

W sobotę, gdy było już oczywiste, że Biden wygrał, polska telewizja publiczna popadła w wielkie zakłopotanie. Wahając się i zatykając nos, zszedłem do kanału „Wiadomości”. Już lektorka wygląda osobliwie, a mówiąc prawdę, prowincjonalnie, dziadowsko. Minęło 20 minut, tylko informacje o pandemii. Potem gadały jakieś stuletnie babcie – czego tam nie było w tych serwisach!

niemal wszystkie pisane ręcznie, a skoro ręcznie, to od razu wiem, że piszący ma więcej niż 80 lat. Jeden z nich, pan Jacek, załączył list od swojego przyjaciela z Izraela. Ten pisze o Netanjahu: „Ten człowiek zatruwa wszystko wokół siebie. Nienawiścią, nieuczciwością, kłamstwem, niszczy każdą komórkę naszej tkanki społecznej. A ma, co przerażające, 40% poparcia w społeczeństwie”. Myślę: oby miał rację Donald Tusk, że zwycięstwo Bidena może

PiS przegrało wybory w Stanach

wizje zamknięte w okładkach. Rotunda, obok niej jeszcze nieukończony, szklany, szlachetny wieżowiec; przeciągi, zimno, nieliczni zamaskowani przechodnie idą pochyleni, wieje grozą od zarazy. Kino, gdzie śnione są sny dla tłumy, cztery duże sale, teraz puste i martwe. Jest niewiele osób, ale mogło być gorzej. Niemal cała ta publiczność to starsze panie, jedna heroiczna o kulach.

Trump okazuje się najbardziej udanym nieudacznikiem wszech czasów, pisze Michał Broniatowski. Jak się domyślam, dlatego że jakimś cudem wdrapał się na sam szczyt finansowy i polityczny. Czy na pewno „najbardziej”? A Mussolini, Hitler? Połowa mieszkańców Stanów uwielbia Trumpa, durnia, narcyza, człowieka podłego i palanta. A więc takie są Stany, takie też. Wychowywałem się na micie tego kraju, karmionym przez filmy – legło to w gruzach. Czytam wpisy Trumpa na Twitterze i fragmenty przemówień, ileż analogii, choćby słowa: „Należy ukrócić radykalną indoktrynację naszych uczniów i studentów, stworzyć patriotyczną edukację”. PiS powinno mu podpowiedzieć swój ulubiony zwrot: „Skończyć z pedagogiką wstydu”. Ileż takiej „pedagogiki” w amerykańskim kinie. Ale ta chłosta filmowa nie zaszkodziła mitowi Stanów. Trump zaszkodził. Nienawidzi Hollywood, w ogóle artystów

– a o Stanach ani słowa. Jakby nie wydarzyło się coś ważnego dla nas, dla świata. Już straciłem nadzieję, gdy w finale podano krótko i niechętnie, że niektórzy twierdzą, że Biden wygrał wybory, ale Trump i jego zwolennicy są innego zdania: wybory zostały sfałszowane, on je wygrał. Nasze media reżimowe jednak przerażają – otchłań manipulacji, mówią o wyborach w Stanach językiem Putina. To osobista klęska prezesa, PiS przegrało amerykańskie wybory. Dlatego Duda gratuluje Bidenowi udanej kampanii wyborczej, wyboru na prezydenta już nie. A przy okazji oddech ulgi – PiS już nie ośmieli się zlikwidować swojego śmiertelnego wroga, czyli TVN, właściciel jest amerykański, a ta stacja to remedium na truciznę PiS.

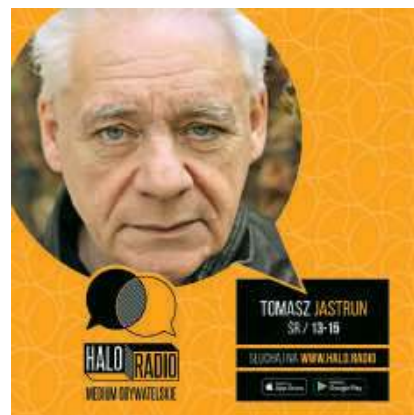
Jedność Zjednoczonej Prawicy znowu się kruszy, autorytet prezesa też. Jarosław Flis mówi: „PiS musi się teraz zmierzyć ze skumulowanymi problemami. Jeśli się podniesie, będzie to świadczyło o wielkich talentach tej partii i ich kompletnym braku po drugiej stronie”.

W zasięgu mojego wzroku są trzy kraje, które trochę znam, bliskie mi, gdzie społeczność jest pęknięta niemal równo na pół, to Polska, Stany i Izrael. Podziały sięgają do rdzenia, do bolesnego nerwu, niszcząc tkankę społeczną. Wzruszają papierowe listy, które z rzadka dostają od czytelników,

odwrócić światowy trend przejmowania władzy przez populistów.

Mam taki dziwny czas, że mi pusto w środku. Próbuję pisać wiersze, nic z tego, jakby poezja zupełnie mnie opuściła, ale wiersze innych, które czytam, też mi się nie podobają. To jakby utrata pewnego rodzaju wrażliwości, tak jak traci się smak i węch. Mam nadzieję, że to nie jest jeden z objawów jakiejś odmiany covidu. Próbuję pisać nową powieść. Męczę się, jakbym pisał wypracowanie o książce, której nie czytałem. I zupełny brak pomysłu na śródowny program w Halo Radio, jakbym już wszystkich ciekawych ludzi zaprosił do swojej audycji. I niepokój, że ta niemoc już na zawsze ze mną zostanie.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl





Płeć pandemii

Co sprawia, że kobiety często są bardziej narażone na działanie wirusa?

Mateusz Mazzini

Koronawirus jest już z nami od prawie 10 miesięcy, niebawem w kalendarzach zaznaczana będzie pierwsza rocznica dnia, w którym świat usłyszał o groźnej chorobie zakaźnej z Chin. W tym czasie w mniejszym lub większym stopniu zmieniła się praktycznie cała rzeczywistość społeczna – od edukacji przez pracę do codziennych kontaktów. Zmieniły się też media, niemal codziennie fundując odbiorcom przyspieszony kurs statystyki i analizy danych. Sformułowania takie jak „spłaszczenie krzywej” czy „wzrost wykładniczy” weszły na stałe do słownika internetowych komentatorów rzeczywistości, telewizyjnych wyjaśniaczy świata i felietonistów prasowych, chociaż rzadko kiedy ktokolwiek zadawał sobie trud ich wytłumaczenia lub umieszczenia w kontekście pandemicznych statystyk. Na temat wirusa wiemy coraz więcej, wciąż jednak nie potrafimy przyznać, że pandemia, jak

każde zjawisko społeczne, ma również aspekt płciowy.

„Zaraza wreszcie otworzyła nam oczy na fakt, że nasze zdrowie nie zależy tylko od jego biologicznych aspektów, ale też od środowiska społecznego, w którym funkcjonujemy. A płeć ma w nim fundamentalne znaczenie”, mówi prof. Sarah Hawkes, specjalistka ds. zdrowia publicznego z University College London. W pracy naukowej łączy wykształcenie medyczne, doktorat z epidemiologii i studia socjologiczne, badając

Im dłużej żyjemy z wirusem, tym bardziej widać, że nie traktuje on obu płci jednakowo.

korelacje między chorobami zakaźnymi a uwarunkowanymi przez płeć aspektami życia społecznego. Kiedy wybuchła pandemia COVID-19, prof. Hawkes szybko się zorientowała, że wszechobecne nagle liczby dotyczące zachorowań i zgonów znów nie uwzględniają podziału na mężczyzn i kobiety. Dlatego w ramach

współprowadzonego przez siebie projektu badawczego Global Health 50/50 uruchomiła platformę śledzącą rozwój zarazy w obu dominujących grupach płciowych. I niemal tak szybko, jak zaczęła zbierać dane, zauważyła w nich znaczące dysproporcje. W wielu miejscach na świecie rozróżnienie pomiędzy kobietami i mężczyznami był znacznie większy, niż wskazywałby na to czysto biologiczny charakter wirusa.

W (dotychczas znanej) skali globu na koronawirusa choruje więcej mężczyzn niż kobiet – ten fakt akurat przebił się do medialnego przekazu dość szybko. Na poziomie samych zachorowań różnica jest jeszcze niewielka: na każde 10 kobiet z pozytywnym wynikiem testu przypada 11 zarażonych mężczyzn. Częściej, choć nieznacznie, trafiają oni z powodu koronawirusa do szpitala. Tu stosunek wynosi 10 do 12.

Im poważniejsze konsekwencje kontaktu z COVID-19, tym wyraźniejszy dystans między płciami. 10 kobietom przyjętym na oddział intensywnej terapii odpowiada aż 18 mężczyzn – znacznie częściej przechodzą oni chorobę ciężko, wreszcie w ich przypadku prawdopodobieństwo zgonu jest aż o połowę wyższe.

Debata o płciowych aspektach pandemii kończy się z reguły właśnie w tym miejscu. Czasem dodaje się publicystyczny komentarz o lepszym ogólnym zdrowiu kobiet, wyższą statystykę zakażeń wśród mężczyzn tłumacząc prawdopodobieństwem nałogu palenia, niechęcią do noszenia maseczek czy większą liczbą chorób towarzyszących. Danym z projektu prof. Hawkes (i pozostałych repozytoriów biorących pod uwagę płeć) warto jednak przyrzeć się nieco lepiej. Chociażby po to, żeby zobaczyć, że są często nieoczywiste. A przede wszystkim, by dostrzec w nich społeczny aspekt chorób zakaźnych.

Po pierwsze, trudno na ten temat prowadzić dyskusję na poziomie ogólnoswiatowym, gdyż bardzo wiele krajów w ogóle nie prowadzi statystyk pandemicznych w rozbiciu na płeć. Pogłębiona analiza możliwa jest praktycznie tylko dla Ameryki Północnej, zachodniego wybrzeża Ameryki Łacińskiej, Australii i większości krajów Unii Europejskiej. Większości, ale nie wszystkich. Część państw europejskich, w tym Hiszpania, Węgry, Grecja, Chorwacja, ale też Polska, raportuje jedynie szcątkowe, nieregularne badania. Przez to niemożliwe jest precyzyjne opisanie zmiany dystrybucji zakażeń pomiędzy płciami w czasie. A co za tym idzie, trudniej określić, jak na zdrowie kobiet i mężczyzn wpływają poszczególne

we wszystkich badanych aspektach: częściej chorują, trafiają do szpitala, potrzebują respiratora i częściej umierają. Początkowo anomalię tę przypisywano demografii tamtejszych domów opieki, skąd pochodzi ponad 70% kanadyjskich zgonów na koronawirusa. Kobiety jest w nich znacznie więcej. Warto jednak zadać sobie pytanie dlaczego. Jakie zjawiska i procesy społeczne powodują, że kobiety częściej stają się podopiecznymi

wprowadzono pierwsze restrykcje i zasady społecznego dystansowania. Im dłużej trwały obostrzenia, tym większe były dysproporcje płciowe. Taką prawidłowość, choć w nieco innym ujęciu, dało się zaobserwować w innych krajach rozwiniętych: Wielkiej Brytanii, Francji, Australii, Włoszech, Hiszpanii i Szwecji. Nawet jeśli na początku w kategoriach statystycznych dominowali mężczyźni, z czasem kobiety nadganiały albo

Dlaczego kobiety częściej są podopiecznymi placówek medycznych i opiekuńczych, choć ich zdrowie jest podobno lepsze?

placówek medycznych i opiekuńczych, choć przecież ich zdrowie jest podobno lepsze?

Colin Furness, epidemiolog z Uniwersytetu w Toronto, zwraca uwagę na kilka danych pozornie odległych od kwestii pandemicznych. Według badań kanadyjskiego instytutu statystycznego wśród osób, których partner życiowy zmarł, wyraźnie więcej – o nieco ponad 20% – jest wdów niż wdowców. Kobiety w Kanadzie żyją też znacznie dłużej niż mężczyźni, różnica w przewidywanej długości życia wynosi aż cztery lata (84,3 do 80,2). Statystycznie rzecz ujmując, jest tam więcej osób płci żeńskiej, które osiągnęły zaawansowany wiek, automatycznie plasując się w grupie

wręcz w całości niwelowały różnicę. Tego biologią wytłumaczyć się nie da, bo wirus nie był w stanie zmutować tak szybko, by mocniej uderzać w jedną płeć niż w drugą.

Badacze z projektu Global Health 50/50 nie mają wątpliwości, że odpowiedzialny jest za to rozkład ról płciowych w naszym społeczeństwie. Jonas Glatthard z portalu Swiss-Info zauważa, że kobiety stanowią w Szwajcarii znaczną większość personelu pielęgniarskiego, nauczycielskiego, opiekuńczego. Dużo częściej wykonują zawody, których nie mogą przenieść do domu. Według danych Komisji Europejskiej sytuacja taka występuje praktycznie na całym kontynencie. Dlatego właśnie w pierwszych tygodniach pandemii, gdy wszyscy chodziliśmy jeszcze do pracy, mocniej ucierpeli mężczyźni. Później obie krzywe często zbliżały się do siebie, a kulminacja tego procesu nierzadko miała miejsce po wakacjach. Dzieci wracały wówczas do szkół, dośrodo do pracy. Jednak to wciąż kobiety częściej opiekowały się najmłodszymi, już wtedy roznoszącymi wirusa w ramach drugiej, pourlopowej fali. I to one częściej zarażały się od dzieci.

Im dłużej żyjemy z wirusem, tym bardziej widać, że nie traktuje on obu płci jednakowo. Nie jest to jego wina. Doktorzy Akiko Iwasaki i Aaron Ring z Uniwersytetu Yale wykazali, że z biologicznego punktu widzenia różnice w tym, jak kobiety i mężczyźni zarażają się i przechodzą chorobę, powinny być niewielkie, i to na korzyść kobiet. Całą czarną robotę wykonuje tu więc społeczeństwo – nierówne także w chorobie.

m.mazzini@tygodnikprzeгляд.pl

Wirus nie był w stanie zmutować tak szybko, by uderzać mocniej w jedną płeć niż w drugą.

decyzje władz publicznych i luźniejsze lub ostrzejsze reżimy sanitarne. W ogóle o różnicach płciowych w grupie zakażonych nie informują Rosja, Chiny, Indie, większość krajów azjatyckich i Afryki Subsaharyjskiej. Biorąc pod uwagę, że w samej Rosji liczba chorych przekroczyła już milion, widać od razu, jak skomplikowane jest szukanie trendów o naprawdę globalnym znaczeniu.

Po drugie, choć statystyczny mężczyzna musi się mierzyć z wyższym ryzykiem zachorowania i śmierci na COVID-19 niż statystyczna kobieta, są kraje i są momenty w pandemii, kiedy prawidłowość ta nie ma zastosowania. W maju pierwsze alarmujące dane zaczęła publikować Kanada. Do teraz kobiety wypadają tam gorzej

podwyższonego ryzyka. Wyższe jest również prawdopodobieństwo, że na starość zostaną same, więc dom opieki często bywa jedynym scenariuszem na przeżycie ostatnich lat. Placówki tego typu zresztą i tak są środowiskiem zdominowanym przez kobiety. W Kanadzie, USA i wielu krajach Europy Zachodniej one także stanowią większość zatrudnionego tam personelu.

Z podobnym zjawiskiem borykają się Szwajcarzy. Kobiety choruje tam więcej, choć w pozostałych statystykach, w tym umieszczenia na intensywnej terapii i zgonów, przeważają mężczyźni. Co ciekawe, krzywa zachorowań wśród kobiet gwałtownie wzrosła – znacznie szybciej niż u mężczyzn – właśnie wtedy, gdy

Śmierć nerek

W Danii likwiduje się wszystkie hodowle nerek. Zwierzęta są nosicielami groźnej mutacji koronawirusa

Marek Czarkowski

W ostatnich dniach na czołówki duńskich gazet trafiły zdjęcia z Jutlandii Północnej – do wielkiego rowu ludzie ubrani w specjalne kombinezony wrzucają setki tysięcy martwych nerek. Stacja telewizyjna TV2 Nord zaszokowała widzów materiałem „Żywa norka trafiła do kremacji”, pokazując, jak na farmie w Tornby niedokładnie uśmiercano zwierzęta gazem. Jedna z nerek przeżyła i miała zostać wrzuczona do paleniska. Tak realizowano podjętą na początku listopada decyzję premier Mette Frederiksen o całkowitej likwidacji 12 mln tych zwierząt.

Zakażone SARS-CoV-2 hodowle zaczęto likwidować jeszcze w październiku. Duński minister zdrowia Magnus Heunicke powiedział bowiem, że około połowy z 783 przypadków zakażenia ludzi koronawirusem w północnej części kraju ma związek z fermami nerek. Co gorsza, naukowcy z kopenhaskiego Statens Serum Institut u ośmiu osób

zatrudnionych w branży futrzarskiej odkryli nową mutację SARS-CoV-2. Nazwali ją Cluster 5 i uznali, że może zagrozić trwającym pracom nad szczepionkami.

Wyjaśnił to dr Kåre Mølbak ze wspomnianego instytutu: „Mutacja ta nie jest zwalczana przez ludzkie przeciwciała w takim samym stopniu jak zwykły wirus”. Co oznacza, że Cluster 5 byłby odporny na obecnie opracowywane szczepionki.

Rząd Danii, nie chcąc, by kraj stał się „drugim Wuhan”, wprowadził całkowitą blokadę siedmiu gmin w Jutlandii Północnej, wstrzymał działalność transportu publicznego na tym obszarze i skierował do pomocy wojsko. Przy czym, jak szybko się okazało, część decyzji podjęto bez podstawy prawnej. Duńczyków przeprosił za to minister ds. żywności, rybołówstwa, równouprawnienia i współpracy nordyckiej Mogens Jensen. O wykryciu nowej mutacji SARS-CoV-2 poinformowano instytucje międzynarodowe ze Światową Organizacją Zdrowia na czele.

Przypadek ten uświadomił wszystkim, że koronawirus może być znacznie groźniejszy, niż się wydawało. Przy czym Dania nie jest pierwszym krajem, w którym SARS-CoV-2 zmutował na fermach nerek.

Zaczął się w Holandii

Pierwsze informacje o norkach zakażonych koronawirusem pojawiły się w Holandii w kwietniu br. Do połowy października SARS-CoV-2 spustoszył 44 fermy w Brabancji Północnej i 23 w Limburgii, a w Geldrii dwie. Władze szacują dziś, że połowa hodowli nerek w tym kraju została zniszczona. Przyjęto zasadę, że jeśli na fermie pojawi się koronawirus, wszystkie zwierzęta zostaną zabite. W ten sposób od kwietnia uśmierconych zostało kilka milionów nerek. Ustalono, że źródłem zakażenia na fermach były osoby, które chorowały



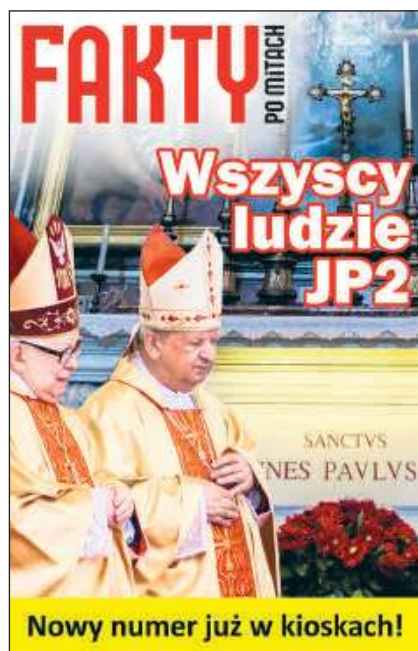
na COVID-19. A ponieważ norki hodowane są w klatkach, koronawirus błyskawicznie ogarniał całą populację. W dwóch przypadkach odkryto, że ludzie zarazili się od zwierząt. Na szczęście nie były to wirusy, które uległy mutacji.

Sytuacja hodowców nerek w Holandii nie była łatwa jeszcze przed wybuchem pandemii. W tym kraju od lat domagano się likwidacji ferm zwierząt futerkowych, choć jeszcze pod koniec XX w. działało tam prawie 600 gospodarstw, najczęściej niewielkich. W latach świetności futro z jednej norki kosztowało 70 euro. Trzy razy więcej niż w roku ubiegłym.

Kilka lat temu rząd w Hadze zdecydował, że branża futrzarska zostanie wygaszona. Pandemia przyspieszyła ten proces. W sierpniu br. rząd premiera Marka Ruttego ogłosił likwidację wszystkich ferm do końca marca 2021 r.

W październiku koronawirus pojawił się w USA na fermach nerek w stanach Utah, Michigan i Wisconsin. Amerykanie zareagowali jak Holendrzy – zaczęli likwidować zarażone populacje. Jednak nie poświęcili temu wiele uwagi. Zajęci byli pandemią, w wyniku której zmarło ponad 230 tys. osób, i kampanią wyborczą. Nie było też federalnych przepisów ani wymagań dotyczących metod zwalczania zakażeń koronawirusem wśród zwierząt. Obowiązek ten spadł na władze stanowe.

W Europie było inaczej. W lipcu na jednej z ferm w hiszpańskiej Aragonii zagazowano, a następnie zutylizowano 100 tys. nerek. W kraju





Duńska populacja nerek liczyła 12 mln sztuk. Nz. farma koło Naestved, 6 listopada 2020 r.

ciężko doświadczonym pierwszą falą pandemii nowe źródło zakażeń wzbudziło niepokój. Urzędnicy ostrzegali, że fermy nerek mogą stać się „rezerwuarem koronawirusów, inkubując patogeny przenoszone na ludzi”. Dlatego kolejne ogniska starano się zdusić w zarodku.

Norki zakażone SARS-CoV-2 wykryto poza tym we Włoszech oraz w Szwecji. I tak jak w Danii i Holandii podjęto decyzję o ich utylizacji. Polski rząd nie widział jednak tego problemu.

Polska norka z ojcem dyrektorem w tle

Zwierzęta futerkowe to nad Wisłą politycznie niewygodny temat. Przekonał się o tym Jarosław Kaczyński, gdy we wrześniu br. zapowiedział złożenie w Sejmie projektu ustawy o zmianie ustawy o ochronie zwierząt, nazwanego „piątką dla zwierząt”. Gotowy projekt skierowała do łaski marszałkowskiej grupa posłów PiS z Grzegorzem Pudą, który potem został ministrem rolnictwa i rozwoju wsi.

Zbiegło się to z premierą filmu „Krwawy biznes futerkowców” Janusza Schwertnera z portalu Onet.pl. Pokazano w nim skandaliczne warunki panujące na największej fermie zwierząt futerkowych, we wsi Góreczki. Wydawało się, że klimat sprzyja zmianom. Firmowana przez posłów PiS ustawa miała poprawić

dobrostan zwierząt. Wprowadzała też m.in. zakaz chowu i hodowli zwierząt futerkowych z wyjątkiem królików. Jej wejście w życie oznaczałoby koniec hodowli nerek w Polsce, która obok Danii i Holandii jest znaczącym w Europie producentem tych zwierząt. I koniec wartego w roku 2019 prawie 1 mld zł naszego eksportu skór zwierząt futerkowych.

Oczekiwanie Kaczyńskiego zderzyło się z interesem hodowców nerek reprezentowanych przez Szczepana Wójcika, jednego z największych hodowców w kraju, którego atutem były doskonałe relacje z o. Tadeuszem Rydzykiem. Omawiając projekt ustawy na antenie Radia Maryja, Wójcik oświadczył, że „PiS wbiło nóż w plecy polskiemu rolnictwu”. I dodał: „Jako obywatel czuję się zdradzony przez Prawo i Sprawiedliwość, które ewidentnie dogadało się z niemieckimi mediami, aby zdradzić polskie rolnictwo i wprowadzić zakazy w tych sektorach, które są solą w oku naszej niemieckiej konkurencji”.

W Holandii od kwietnia zostało uśmierconych kilka milionów nerek.

Zapowiadało to ciężką przeprawę w Sejmie i Senacie, której wynik wcale nie był pewny. Ojciec dyrektor mógł liczyć w klubie PiS na co najmniej kilkanaście szabel. Ostatecznie ustawa przeszła w Sejmie głosami Platformy Obywatelskiej oraz części posłów PiS. Następnie z poprawkami przegłosował ją Senat. Po czym zamiast wrócić do Sejmu... utknęła gdzieś na Wiejskiej.

Ceną, którą zapłaciło PiS, były protest i dymisja ówczesnego ministra rolnictwa Jana Krzysztofa Ardanowskiego oraz złamanie dyscypliny przez kilkunastu posłów, którzy głosowali przeciw. Wściekli rolnicy zareagowali protestami pod hasłem: „PiS zdradziło wieś”.

Dziś, gdy Zjednoczona Prawica toczy wojny z pandemią koronawirusa, kobietami i między sobą, nie potrzebuje bijatyki z hodowcami nerek oraz wspierającym ich ojcem dyrektorem. Dlatego na początku listopada pojawiły się wypowiedzi rzecznika rządu Piotra Müllera i wicemarszałka z PSL Piotra Zgorzelskiego, z których wynikało, że posłowie PiS pracują nad nową wersją „piątki dla zwierząt”. Nie

wiadomo jednak, kiedy ten projekt ustawy trafi pod obrady.

Najgorszy scenariusz

Polscy politycy i hodowcy nie zauważyli, że norki stały się biologicznym reaktorem, w którym mutuje groźny patogen. 10 listopada br. na stronie internetowej Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi ukazał się komunikat informujący, że w związku z doniesieniami duńskich służb weterynaryjnych o wykryciu u nerek zmutowanego koronawirusa SARS-CoV-2 minister rolnictwa i rozwoju wsi Grzegorz Puda niezwłocznie podjął działania, aby zapobiec nowym zagrożeniom. I polecił głównemu lekarzowi weterynarii dokonanie analizy ryzyka i ewentualne przeprowadzenie badań w kierunku możliwości występowania tego wirusa u nerek na fermach w różnych regionach Polski.

W Polsce hoduje się ok. 6,7 mln tych zwierząt, więc prawdopodobieństwo, że norki zarażone są „zwykłym”

SARS-CoV-2, jest wysokie. Rodzi się pytanie, czy pracownicy Głównego Inspektoratu Weterynarii odkryją zmutowanego

koronawirusa, którego w Danii nazwano Cluster 5. To mało prawdopodobne. Mogą za to znaleźć inne, nieznane nauce mutacje. To będzie najgorszy scenariusz. Polska nie jest dziś gotowa do walki z takim przeciwnikiem. Nieudolność premiera i jego ministrów widoczna jest gołym okiem. Słysząc głosy lekarzy, że system ochrony zdrowia w Polsce się rozpada, a dodajmy do tego nowe, nieznane zagrożenie.

Jako środki zaradcze pracownicy Głównego Inspektoratu Weterynarii będą mieli do dyspozycji maski, kombinezony ochronne i płyny do dezynfekcji. Współczuję urzędnikowi, który będzie musiał, w przypadku odkrycia zakażonych nerek, podjąć decyzję o ich likwidacji. Hodowcy żądają odszkodowań, o których na razie nie ma mowy. Okaże się też, że brakuje ludzi do przeprowadzenia tej operacji. Trzeba będzie sięgnąć po wojsko.

A jeśli rodzima mutacja koronawirusa okaże się groźna dla ludzi, otworzą się bramy piekieł. Oby ten scenariusz nigdy się nie spełnił.

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Mord w Puchaczowie

Największa zbrodnia podziemia popełniona po amnestii z 1947 r.

Jakub Woroncow

Masakra w Puchaczowie w nocy z 2 na 3 lipca 1947 r. była największą zbrodnią podziemia popełnioną po amnestii dla jego członków, uchwalonej przez Sejm 22 lutego tego samego roku. Kierownictwo Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość zachęcało podkomendnych do ujawniania się. Jednak w 1947 r. centralne kierownictwo organizacji praktycznie nie istniało. Zdzisław Broński, „Uskok”, zdecydował o kontynuowaniu działalności swojego oddziału.

Im dłużej leśne oddziały były aktywne, im słabsze były struktury organizacyjne, tym więcej było w ich poczynaniach bandytyzmu. Partyzanci, którzy nie skorzystali z amnestii, traktowani byli coraz brutalniej przez wojsko i UB. Częściej ginęli, ale także częściej zabijali przypadkowe osoby. Pozostający w konspiracji pod komendą „Uskoka” bracia Leon i Edward Taraszkiewiczowie

wstawili się napadami na cywilów oraz antysemickim pogromem w Parczewie 5 lutego 1946 r., gdzie zginęło trzech członków żydowskiej samoobrony i polski milicjant, a cała społeczność żydowska padła ofiarą pobić lub rabunku. Stanisław Kuchcewicz, „Wiktor”, przeszedł pod komendę „Uskoka” z Narodowych Sił Zbrojnych. Brał udział w masakrze w Wierchowinach, gdzie zamordowano 194 ukraińskich mieszkańców wsi w wieku od dwóch tygodni do 94 lat. „Uskok” nazywał tę zbrodnię „bezwzględną, ale zasłużoną akcją”. Jego oddział 4 grudnia 1946 r. zorganizował napad na wieś Rozkopaczew. Broński oskarżał tamtejszą ludność o sprzyjanie władzy i uczestnictwo „z Sowietami i Żydami” w oblatach na partyzantów. Spalono 26 gospodarstw, uprowadzono i zamordowano jednego z mieszkańców. 1 maja 1947 r. oddział „Uskoka” rozstrzelał też siedmioro spotkanych w lesie działaczy Związku Walki Młodych w wieku od 15 do 27 lat.



Stanisław Kuchcewicz „Wiktor” (nz. z lewej) postanowił zorganizować napaść na Puchaczów bez zgody Zdzisława Brońskiego „Uskoka” (z prawej).

Niezależnie od sympatii politycznych ludność wiejska była coraz bardziej zmęczona przeciągającym się konfliktem zbrojnym i coraz częściej zwracała się przeciwko partyzantom. Jedynym sposobem na pozbycie się ich było złożenie doniesienia władzom. W taki sposób niezidentyfikowane osoby zawiadomiły 26 czerwca chełmski Urząd Bezpieczeństwa, że we wsi Turowoła kwaterowało trzech partyzantów. Na miejsce natychmiast wyruszyli oficer UB i 23 żołnierzy KBW. Trzech otoczonych partyzantów usiłowało się bronić przez 40 minut, a gdy zabrakło amunicji, podjęli próbę odwrotu. W akcji zginął jeden żołnierz KBW, a uciekający zostali rozstrzelani. Na wieść o zdarzeniu „Wiktor” i Edward Taraszkiewicz, „Żelazny”, postanowili zorganizować akcję odwetową bez zgody „Uskoka”. Poprosili swojego informatora mieszkającego w Puchaczowie o sporządzenie listy proskrypcyjnej. Ten umieścił na niej nazwiska członków PPR, ich krewnych oraz osoby mające kogoś z rodziny w wojsku i organach bezpieczeństwa. Trafili

OFIARY MASAKRY W PUCHACZOWIE

Władysław Augustynowicz (lat 27, członek PPR, rolnik); **Edward Górski** (lat 32, członek PPR, kierownik Gminnej Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej); **Barbara Grot** (lat 18, uczennica gimnazjum); **Franciszka Grot** (lat 45, członkini PPR, gospodyni domowa); **Balbina Kogutowska** (lat 30, bezpartyjna, gospodyni domowa); **Krystyna Kogutowska** (lat 7); **Stefania Kogutowska** (lat 24, wdowa, mąż zabity przez podziemie w 1945 r.); **Bronisława Krzychowiec**, z domu Ukalska (zmarła w połowie sierpnia, wdowa po Marcelim, członku PPR zabitym w 1944 r.); **Janina Kwaśniewska** (lat 47, bezpartyjna, gospodyni domowa); **Kazimiera Kwaśniewska** (lat 46, członkini PPR, gospodyni domowa); **Elżbieta Piaseczna** (lat 30, członkini PPR, gospodyni domowa); **Aleksander Skoniecki** (lat 64, bezpartyjny, rolnik); **Tadeusz Skoniecki** (lat 29, syn Aleksandra, bezpartyjny, pracował w gospodarstwie rodziców); **Wanda Skoniecka** (lat 24, córka Aleksandra, bezpartyjna, pracowała w gospodarstwie rodziców); **Apolonia Skórniewska** (lat 38, bezpartyjna, gospodyni domowa); **Franciszek Skórniewski** (lat 35, przed wojną członek KZMP i KPP, w czasie okupacji PPR, rolnik); **Józef Tuszewski** (lat 37, przed wojną członek KZMP i KPP, po wojnie PPR, rolnik); **Franciszek Ukalski** (lat 32, bezpartyjny, rolnik); **Mieczysław Ukalski** (lat 45, bezpartyjny, rolnik, sołtys wsi); **Marian Wójcik** (lat 28, członek PPR, rolnik); **Bolesław Żmurek** (lat 40, członek przedwojennej KPP i PPR, rolnik); **Mieczysław Żmurek** (lat 18, bezpartyjny, szewc); **Zofia Żmurek** (lat 38, bezpartyjna).

na nią m.in. Henryk Grot, uczestnik rewolucji lutowej w Piotrogradzie, działacz Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji, PPS-Lewicy, KPP i PPR, a także trzej inni przedwojenni komuniści. Zaniechano jakiegokolwiek weryfikacji oskarżeń o współpracę z władzą.

Do wsi weszły trzy grupy po 20 partyzantów, dowodzone przez „Wiktora”, „Żelaznego” i Józefa Struga, „Ordon”. Zastrzelono 22 osoby, kolejna ofiara zmarła miesiąc później z ran. Było wśród nich 10 kobiet, w tym 18-latką przebywającą w Puchaczowie na wakacjach oraz siedmioletnia dziewczynka, która zmarła w wyniku obrażeń po wybuchu granatu wrzuconego do chałupy. Zdaniem prof. Grzegorza Motyki najbardziej brutalnie zachowywał się oddział „Wiktora”. Spośród ofiar 10 osób należało do PPR. Oprawcom nie udało się znaleźć Henryka Grota, jednego z podejrzanych o wydanie partyzantów, w związku z czym zabili jego żonę i córkę. Rozstrzelano też dwóch przewodników, którzy oprowadzali po wsi grupy „Żelaznego” i „Wiktora”. Była to najprawdopodobniej likwidacja niewygodnych świadków. „Uskok” skomentował to tak: „Zrobiło to wrażenie na komunistach. (...) Z naszego punktu widzenia była to robota może zbyt krwawa, ale konieczna”.

Zaraz po tej zbrodni powołana została Grupa Operacyjna „Puchaczów”, która ruszyła w pościg za oddziałami „Uskoka”. Liczyła 486 ludzi, powstała z połączenia grup operujących w powiatach Lubartów i Włodawa, wydzielonych z 10. Samodzielnego Batalionu Operacyjnego.

Nocą z 5 na 6 lipca jej członkowie przeszukali Kolonię Łuszczów, Łęczną, Uciekajkę oraz Rogoźno

i zatrzymali 23 ludzi. Następnego dnia akcja objęła m.in. Zezulin, Stoczek, Kijany, Krasne, Dratów, Zamłodzycze i Cyców. Obława trwała nieprzerwanie przez kilka tygodni. W jej trakcie grupy operacyjne dokonywały systematycznych rewizji w zabudowaniach chłopskich i przeczesywały masywy leśne. Chodziło o to, aby pokazać społeczeństwu, że żadne przestępstwo nie uchodzi bezkarnie, a tym samym wymusić na ludności lojalność wobec władz. Do końca lipca zabito pięć osób, 96 zatrzymano. Wśród zabitych był

Partyzanci dowodzeni przez Kuchcewicza, Taraszkiewicza i Struga zastrzelili na miejscu 22 osoby, kolejna ofiara zmarła później z ran.

Józef Strug, „Ordon”, komendant jednego z trzech patroli biorących udział w napadzie. Kilku podkomendnych „Ordon” w połowie sierpnia 1947 r. postawiono przed sądem: dwóch skazano na karę śmierci i szybko stracono, pięciu otrzymało długoletnie wyroki więzienia.

Poszukiwania „Uskoka” trwały aż do połowy 1949 r., kiedy to aresztowano jego zastępcę, Zygmunta Liberę, „Babinicza”. Pod wpływem tortur wskazał on kryjówkę swojego dowódcy, który zginął od wybuchu granatu podczas obławy. „Żelazny” natomiast działał dalej, a członkowie oddziałów nieżyjącego Brońskiego byli najbardziej poszukiwanymi przestępcami w kraju. Z rąk oddziałów Taraszkiewicza nadal ginęli działacze partyjni i urzędnicy, aż został wytropiony w czerwcu 1951 r. przez KBW z trzema ostatnimi ludźmi. „Żelazny” i jeden jego człowiek zginęli, dwóch pozostałych zostało schwytanych, osadzonych i straconych w 1953 r.

Również w tym roku, podczas napadu na kasę Gminnej Spółdzielni

w Piaskach, został zastrzelony przez funkcjonariuszy MO ostatni z dowódców akcji w Puchaczowie oraz uczestnik zbrodni w Wierzchowinach, Stanisław Kuchcewicz, „Wiktor”. W napadzie w Piaskach brał także udział były podkomendny „Uskoka”, uczestnik zbrodni w Puchaczowie, Józef Franczak, „Lalek”. Nie ujawnił się, gdy ogłoszono kolejną amnestię w 1956 r. W roku 1961 wydano za nim list gończy. „Lalek” zginął w czasie obławy z rąk grupy likwidacyjnej ZOMO 21 października 1963 r.

Dziś czarne charaktery tej historii przedstawiane są jako bohaterowie walki o niepodległość: „Żołnierze AK działający później w organizacji WiN byli zmuszeni do przeciwstawienia się zbrojnej masowej eksterminacji, poprzez walkę zarówno z oddziałami NKWD, jak i wspierającymi je formacjami polskimi, tj. milicją, UB i tzw. Wojskami Wewnętrznymi. Była to walka potrzebna i celowa, polegająca na odbijaniu jeńców lub zapobieganiu morderstwom i aresztowaniom. Sąd Najwyższy określa to obecnie w swoim orzecznictwie jako prawo do zbiorowej obrony koniecznej. Nie ulega wątpliwości, że właśnie taki charakter miały działania zbrojne oddziału »Zapory«, stwierdził w 1994 r. Sąd Wojewódzki w Warszawie. Prawie każdy z wymienionych »leśnych« został rehabilitowany i uhonorowany państwowymi odznaczeniami. Postawiono im też pomniki. Ofiary mają swój, postawiony w 1970 r. w Puchaczowie.

■

Świąteczne ceny

4 KSIĄŻKI W PAKIECIE TANIEJ 178 zł 140 zł

Wpłat prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony
jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje
możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka
w RUCh-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

www.sklep.tygodnikprzeklad.pl

PRAWDA O „ŻOŁNIERZACH WYKLĘTYCH”



Lipcowy protest techników scenicznych w Warszawie.



Muzyka na kwarantannie

Przemysław Staciwa

Z producentem, twórcą festiwalu producentów muzycznych Soundedit, Maciejem Werkiem, spotkałem się kilka tygodni przed wydarzeniem, które okroiła epidemia. – Pod koniec lutego wracałem z Londynu ze spotkania branżowego. Przygotowywałem się do wyjazdu na największe targi muzyczne na świecie w Los Angeles. Miałem być jedynym polskim delegatem. Mnóstwo spotkań dotyczących organizacji festiwalu Soundedit było już umówionych, m.in. z Hansem Zimmerem. I wszystko zostało brutalnie przerwane. Ta sytuacja jest dla całej branży fatalna – Werk nie kryje rozczarowania.

Muzyk, producent i menedżer Hubert Kozera, który współpracuje z Tymonem Tymańskim i Johnem Porterem, też dobrze zapamiętał początek lockdownu. – Graliśmy z Johnem koncert pod Szczecinem. Następnym przystankiem miała być Warszawa. Zaczęły sływać mejle i wiadomości o przełożeniu lub odwołaniu tras.

Inaczej było w przypadku Piotra Kolasy, muzyka sesyjnego i perkusisty Samokhin Bandu. – 11 marca graliśmy *jam session* w klubie Pop'n'art w Łodzi. Potem u naszego pianisty zdiagnozowano koronawirusa.

Muzycy przywykli do niepewności. Musimy być elastyczni. To nas ratuje.

Wszyscy muzycy udali się na dobrowolną kwarantannę. Przez trzy dni usiłowaliśmy zatelefonować do sanepidu. Nikomu się nie udało – opowiada.

Wysoka, zabytkowa kamienica przy ulicy Rewolucji w Łodzi. Odwiedzam muzyka i performer Sławomira „Stonia” Maciasa, który współpracował z Mirą Kubasińską. Stara się reaktywować w nowym składzie zespół Rambo Jet. Na podłodze leżą kable, mikrofony, pokrowce od gitar i wzmacniacze. W kącie perkusja. – To moja sypialnia, tu wczoraj graliśmy próbę. Szczęście, że nie mam obecnie sąsiadów i możemy w miarę cicho podgrywać, powoli przygotowując materiał, i czekać na lepsze czasy. Sala prób tak jak wiele innych rzeczy kosztuje. Część znajomych bez poduszki finansowej musiała się przebranżawiać. Niektórzy zaczęli rozwozić pizzę. Szybko wszyscy uświadomili sobie, że nie będzie fajnie. Zarabiać przestali

muzycy weselni i sesyjni, angażujący się w ambitne projekty. O wielkich koncertach nie wspominam – mówi.

Megaproblem

Wielkie koncerty odbywały się w łódzkiej Atlas Arenie. To trzecia (nie licząc Stadionu Narodowego) po krakowskiej Tauron Arenie i gdańskiej Ergo Arenie hala widowiskowo-koncertowa w Polsce. Po obiekcie oprowadzają mnie pracownicy. Szatnie świecą pustkami. Na płycie głównej stoją w rzędach jednoosobowe stołki. – Mielśmy w tym roku ambitne plany koncertowe. Zdążyliśmy zorganizować występ Agnieszki Chylińskiej, a na horyzoncie był koncert Céline Dion. Chwilę po Chylińskiej wszystko zamarło – wspomina dyrektor marketingowy spółki Mikołaj Habit. – Co w tym miejscu robią stołki? – pytam. Habit: – Przede wszystkim musieliśmy błyskawicznie skupić się na cięciu kosztów, co odbiło się na pracownikach. Musieliśmy pożegnać się z co piątym. Zaczęliśmy przestawiać działalność. W tych kilkuset ławkach zasiadają studenci przystępujący do egzaminów lekarskich. Mielśmy mieć wielotysięczne występy gwiazd, a mamy egzaminy.

Karol Sakosik, rzecznik prasowy Atlas Areny: – Tylko koncert Céline

Dion miał pięć potencjalnych dat, w których mógł się odbyć. Ostatecznie został przeniesiony na przyszły rok. Organizacyjnie wiąże się to z olbrzymimi problemami. W przypadku Céline Dion konieczne jest znalezienie dogodnych terminów w krakowskiej Tauron Arenie i zgranie jej z następnym występem w łódzkiej Atlas Arenie. Dość powiedzieć, że wszystkie bilety na te wydarzenia wyprzedały się na pniu.

Branża muzyczna w Polsce generuje każdego roku przychody rzędu 3,5% PKB, więcej niż górnictwo i rolnictwo. Maciej Werk: – Pamiętajmy, że koncert to nie tylko czterech, pięciu gości, którzy wchodzi na scenę. Na *event* składa się obsługa techniczna i sceny, ludzie odpowiedzialni za światła, widownię. Do tego *management* i ochrona. Część ludzi już jest stracona dla branży. To będzie mieć konsekwencje. Kolega próbował poskładać do kupy festiwal w Opolu. Okazało się, że wielu techników zmieniło profesję.

Z realizatorem Maciejem Mularczykiem spotykam się w hali klubu Wytwórnia. – Problem jest ogromny. W Wytwórni ostatni duży koncert był 12 marca. Jestem odpowiedzialny za dźwięk. Realizuję wydarzenia w całym kraju, ale przez kwartał miałem zero dochodów. Zero imprez, zero koncertów, nic się nie działo.

Od muzyków, z którymi rozmawiam, słyszę, że poważnym problemem są pobrane kredyty, leasingi i pożyczki na sprzęt, który miesiącami stoi w magazynach.

Maciej Mularczyk potwierdza: – Chyba w najgorszej sytuacji znalazły się firmy, które stawiają na technikę. Od kilku dobrych lat mamy parcie na jakość. Sprzęt ma być najnowszej generacji. Nie tylko sam występ artystów ma być satysfakcjonujący, parametry techniczne także. Dramat polega na tym, że sezon letni, który przynosi dochody poprzez duże eventy plenerowe, sponsorów, został wycięty.

W rozmowę włącza się Piotr, realizator i grafik: – Współpracuję z człowiekiem, który ma dużą firmę eventową w Bydgoszczy. Chwilę przed epidemią wziął kredyt i kupił ciężarówkę. Co teraz robi? Sprowadza materace ze Słowenii.

– Ludzie liczyli, że dzięki letnim żniwom spłacą kredyty. W wakacje

miasta angażują większe pule środków na kulturę. W tym roku cała branża została brutalnie pozbawiona zarobku – Maciej Mularczyk kiwa głową.

Jak orkiestra na „Titanicu”

W okrojonym wydaniu zorganizowano tegoroczny Light Move Festival, podczas którego w Łodzi zwyczajowo budynki ożywają i stają się animacjami. Magistrat zdecydował się tylko na pokazy laserów i szperaczy. Jedyne stacjonarne konstrukcje złożone z lampionów i świateł zainstalowano na rynku Manufaktury. Tam spotkałem się z producentem wydarzeń, Wojciechem Adamczykiem. – Branża eventowa jest specyficzna. Ludzie mają unikatowe umiejętności. Dlatego decyzje o przebranzowaniu bywają bardzo dramatyczne.

Wszyscy chcieli robić koncerty, ale trudno je rozkręcić. Przychodzili tylko najwierniejsi fani.

– Grałem jak orkiestra na „Titanicu”. Do końca – przekonuje performer i muzyk Krzysztof Skiba. Współzałożyciel Big Cyca jeździł wtedy z solowym spektaklem komediowym „Skiba ciągle na wolności”. – Jak się okazało, nie ciągle, bo mnie „zamknęli” w środku weekendowej trasy – wspomina. – Zamknęli prywatny klub działający przy lokalnym domu kultury. Mimo wyprzedanych biletów. Zaczął się *lockdown*, który z perspektywy czasu okazał się absurdem. Właściciele i pracownicy klubów muzycznych to kolejna grupa, która nie ma lekko. Mój kolega prowadzi Zgrzyt w Ciechanowie. Ze względu na obostrzenia mógł wpuścić na salę połowę ludzi, a koszty prowadzenia biznesu pozostają te same.

Walczymy o przetrwanie

Pytam o przyszłość branży muzycznej w dobie epidemii. Maciej Werk: – Cierpimy z powodu światowej histerii. W branży rozwijają się tylko nagrywanie i wydawanie płyt. Sam jestem tego przykładem. Po dłuższej przerwie zacząłem przygotowywać nowy materiał zespołu Hedone. Gdyby nie zamknięcie świata, prawdopodobnie nie miałbym czasu.

Krzysztof Skiba: – W tym roku nasza branża nie zarobi, walczymy

o przetrwanie. Musimy postawić na elastyczność. Dotychczas imprezy były o ograniczonym zasięgu, ale dozwolone. Jakiś czas temu gościłem w Szklarskiej Porębie. Organizator zadbał o dystans i odpowiednie rozstawienie krzesel.

Hubert Kozera: – W takich przypadkach imprezy często nie spinały się budżetowo. Na początku był bum na koncerty online. Pojawiły się występy darmowe, my zrobiliśmy normalnie biletowany w systemie *pay per view*. Możliwe, że branża otrzyma jakąś dodatkową pomoc od rządu. Na przykład zwolnienie z ZUS. Z Ministerstwa Kultury miały się pojawić dotacje. Konkretnie brak.

Maciej Mularczyk: – Wszyscy chcieli robić koncerty, ale trudno je rozkręcić. Przychodzili tylko najwierniejsi fani. Poza tym ograniczenia

miejsca. W Wytwórni mamy ok. 500, a wpuścić mogliśmy 150 osób. Jedni godzą się na niższe stawki, drudzy zaczynają wyprzedawać sprzęt. Problem dopiero się zaczyna.

Piotr Kolasa: – Muzycy przywykli do niepewności. Musimy być elastyczni. To nas ratuje. Potrafimy uprawiać partyzantkę.

Sławomir Macias: – Nadal nie ma imprez w halach widowiskowych, nie ma imprez miejskich. Czekamy.

Karol Sakosik: – Branża jest optymistycznie nastawiona do tego, co przyniesie 2021 r. Nam oprócz gwiazd typu Céline Dion, André Rieu czy Deep Purple udało się pozyskać nowe koncerty i widowiska multimedialne. Cieszymy się choćby na zespół Kiss mający odwiedzić Łódź w czerwcu.

Wojciech Adamczyk: – Też jestem optymistą. Myślę, że wszystko wróci do normy, a nawet będzie lepiej niż przed pandemią, że będzie odbicie. Mam nadzieję, że pozostaną z nami formy eventów rozwijane w trakcie lockdownu. Chodzi o wykorzystanie organizacji koncertów, targów i wydarzeń w formule online. Ale tylko jako dodatek. To sprawi, że niektóre lokalne eventy nabiorą międzynarodowego charakteru. A na razie wspierajmy pracowników branży muzycznej. Wiele z nich nie widać w kamerach.

MROczne MATERIE

sezon 2, HBO i HBO GO, od 17 listopada

U Philipa Pullmana przepływ informacji kontroluje Magisterium. Kiedy ukazał się pierwszy tom trylogii w 1995 r., interpretowano je przez pryzmat Kościoła, książki doczekały się nawet etykietki antyreligijnych. Čwierć wieku później Magisterium kojarzy się głównie z fake newsami, które uniemożliwiają nam oddzielenie prawdy i fałszu. Tak przynajmniej podeszli do tematu twórcy serialowej adaptacji, która okazuje się niezwykle aktualna również z powodu kobiecej bohaterki na pierwszym planie. HBO na następce „Gry o tron” wybrało serial, który wyłamuje się spod jarzma zmaskulinizowanego *fantasy*. Mało tego, jest międzypokoleniowy. To produkcja dla całej rodziny, angażująca niezależnie od wieku. Dzieciaki znajdą w niej zew przygody i fantastycznie wykreowane pancerne niedźwiedzie czy



dajmony – zwierzęta personifikujące duszę ich właściciela. Dorośli z łatwością zobaczą zaś komentarz do otaczającej nas rzeczywistości; nie tylko do fake newsów, ale też odrażającego się faszyzmu.

Artur Zaborski



PRZERWANA PREMIERA

Nie miał szczęścia VII Międzynarodowy Festiwal im. I.J. Paderewskiego, pandemiczne przepisy przerwały go

przyczynił się do odzyskania naszej niepodległości i był pierwszym premierem odrodzonego państwa. Na festiwalu wystąpiło wielu wybitnych

BYLIŚMY

bowiem w połowie. Odbyły się jednak trzy koncerty z muzyką wybitnego pianisty i kompozytora, który ogromnie

artystów i dyrygentów, m.in. Jerzy Maksymiuk z Sinfonią Varsovią. Zabrakło jednak koncertu dla niemowląt i małych dzieci, a także koncertu „Paderewski na jazzowo” z udziałem Krzysztofa Herdzina. Niedokończona impreza miała na celu popularyzację twórczości wybitnego Polaka, a także zwrócenie uwagi władz stolicy, że w Warszawie wciąż nie ma jego ulicy. (bt)

MIĘDZY OKŁADKAMI

Olga Tokarczuk
Czuły narrator

Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020

Pierwsza książka Olgi Tokarczuk po Noblu to dzieło ostrożne. Jej powściągliwość polega na tym, że część umieszczonych w zbiorze esejów to teksty już publikowane, znane, jak słynna mowa noblowska, która dała tytuł całości. Tych 12 starannie wyselekcjonowanych szkiców to zarazem klucz do literackiego świata noblistki. Tokarczuk odświeża przed czytelnikami swój proces twórczy, opowiada o ważnych autorach i bohaterach, którzy ukształtowali ją jako pisarkę i człowieka. To intymny dziennik literackich doświadczeń. Każdy tekst jest inny, ale łączy je wrażliwość autorki, jej oryginalne spojrzenie na świat.

Pozycja obowiązkowa nie tylko dla miłośników autorki „Biegunów”, ale i dla każdego, kto literaturę traktuje serio i wierzy, że poprzez nią łatwiej zrozumieć ten skomplikowany świat.

Rafał Piłkuła

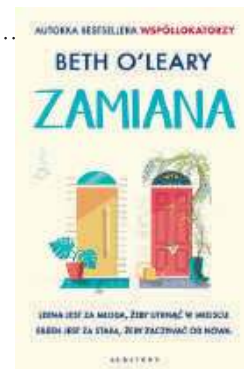
Beth O’Leary
Zamiana

tłum. Łukasz Praski

Albatros, Warszawa 2020

„Zamiana” jest gorącą pochwałą mieszaniny w cudze sprawy. Oczywiście z wyczuciem i raczej nie wedle formulek typu zarządzanie zmianą. Że te nie działają, przynajmniej nie na seniorów z wioski w Yorkshire, przekonuje się młodsza z bohaterek. Starsza też nie miała z nimi lekko, ale w nowym środowisku jej urok i życzliwość, na które towarzystwo ze Straży Sąsiedzkiej w Hamleigh chyba się uodporniło, działają cuda. Eileen marzyła, by wyjechać do Londynu i zmieniać świat. Druga szansa nadarza się, kiedy jej wnuczka zostaje wysłana na przymusowy urlop – Leena do tego stopnia uciekła w pracę po śmierci siostry, że wysiadła psychicznie. A że dziadek na stare lata prysnął z inną, czemu babcia i wnuczka nie miałyby oderwać się od swoich problemów i na trochę zamienić miejscami? Jest tu parę klasycznych romansowych chwytów, z fatalnym pierwszym wrażeniem na czele, ale podane zostały z dużym wdziękiem. Wzruszenia, uśmiech i odrobina sprośności. A co, jak człowiek stary, za życia ma się kłaść do trumny?

Aleksandra Pańko



Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Coś w tym jest

Brawa dla Strajku Kobiet za partyzancką akcję na Giewoncie. Wywieszenie hasła „Przemoc domowa to nie tradycja” na szczycie prawicowi psychopatrioci uznali za zbezczeszczenie krzyża, a jako że ta dywersja na szczytach odbyła się nie po raz pierwszy (latem zawisła tam tęczowa flaga), mniemam, że oddziały straży narodowej będą musiały się przegrupować. Zamiast sterczeń beczynnie przed kościołami, zostaną wysłane na front tatrzański, by bronić ton zimnego żelastwa na wietrznym wierchu. Sroga zima pokonała armię Trzeciej Rzeszy, więc i bojówkom Czwartej Rzeczypospolitej da radę. Tych, którzy nie zamrzną, bo będą się grzali w ogniu rac, wybiją wiosenne burze, wszak krzyż giewontowy jest sławnym ze swej skuteczności piorunochronem. Szach-mat – nie pójdziesz bronić krzyża, jesteś frajer i lebiega; trzeba stać na straży polskości na tej wapiennej skale! Czem prędzej na Giewont, panowie i panie, kominiarki i patriotyczna bielizna termiczna się przydadzą, trzeba stawić czoła lawinie lewactwa – przy okazji i tych śnieżnych parę zejdzie, ale czyż nie słodko polec ku chwale ojczyzny? (W nagrodę czeka miejsce na cmentarzu symbolicznym nad Popradzkim Stawem u braci Słowaków). Od zawsze marzy mi się demontaż tej muchy z nosa Śpiącego Rycerza i oddanie do skupu złomu, lecz póki stoi, jeden z niego pożytek niewątpliwy – krzyż jest najbardziej fantastyczną w Polsce platformą widokową; wdrapać się nań łatwo jak po drabinie, a z czuba widok na przepaść zawrotny. Nie polecam oczywiście sprawdzać tego u szczytu sezonu.

Skądinąd odkrzyżowanie Polski zaczyna się dokonywać także w sensie ściślejszym – łuski opadają z oczu nieprzebranych rzeszom przyszłych apostatów, aż łuskot (łuskot?) niesie się po kruchcie. Kolejne trupy wypadają z kardynalskich szaf i zaciskają pętlę wokół Karola Wojtyły, rychło wszystkie adresy i patronaty „Jana Pawła II” trzeba będzie przemianować, dodając na początku „Pamięci Ofiar...”. Zauważyłem, że spośród gorliwych wyznawców Kościoła katolickiego rekrutuje się wyjątkowo liczna grupa antycovidowców – zwolenników teorii spiskowych, co to snują historie o „plandemii”, pustych karetkach na sygnale, statystach zapelniających szpitalne łóżka, zabójczych szczepionkach i całej tej wielkiej mistyfikacji. Jak to jest, że zarazem nigdy nawet nie załaskotała ich umysłów myśl nie tak absurdałna, jak by się chciało – że od dwóch mileniów rządzi światem organizacja bezgranicznie bogatych i zepsutych zwyrodniałców seksualnych ze stolicą w Watykanie?

Od pandemicznego namnożenia ponurych teorii spiskowych aż mi się zatęskniło do starych dobrych czasów, w których epizodycznie pojawiały się w kulturze postacie nieszkodliwych paranoików, jak Sąsiad z „Dnia świra”, co to mu skarpetki nie pasowały. Nawiasem mówiąc, także chiński to był podstęp: „Żółtki zalewają rynek skarpetkami z gumką, żebyśmy podostawiali Buergera, skarpetkami chcą nas, panie, powyżabijać... ale nie mnie – ciach żyletką i skarpetka bezcuciskowa zdrowa”, mówił sąsiad do Adasia Miauczyńskiego, pokazując tydy.

„Dzień świra” został latem tego roku uznany za najlepszy polski film po 1989 r. Nijak mnie to nie zdziwiło, dla mnie dzieło Marka Koterskiego mieści się na podium polskiego kina w ogóle obok „Ziemi obiecanej” i „Pociągu”. Zdumiewający był dla mnie fakt, że wyboru dokonało 110 rodzimych krytyków filmowych – nie miałem pojęcia, że aż tylu ich mamy. Gdzie oni publikują? Z czego żyją? Sam czytam kilku, może kilkunastu – jako wierny fan kwartalnika krakowskich filmoznawców „Ekrany” i kultowego miesięcznika „Kino”.

Łuski opadają z oczu nieprzebranych rzeszom przyszłych apostatów, aż łuskot (łuskot?) niesie się po kruchcie.

Skądinąd nie mogę odżalować, że od czasu pierwszego lockdownu zniknęła z pisma rubryka „Ranking Kina”. To bardzo przydatne narzędzie poznawcze dla kinomana – kiedy jeden krytyk stawia gwiazdki, to się tym nie przejmuję zupełnie, no ale jak to robi całe ich stado, filmy z najwyższą średnią dodają sobie do listy obowiązkowych lektur. Nawet gdyby zrobił je reżyser, do którego mam odwieczną niechęć. Chcę się bowiem przekonać, czymże się zachwyca pokolenie ode mnie młodsze. Tak np. mam z niezmiennie dla mnie nieznośnym Xavierem Dolanem, François Ozonem czy – żeby nie wyjść przypadkiem na homofoba – nową falą kina chińskiego. W chińskich arthouse’ach nie tylko nie wiem, o co chodzi, ale nawet nie rozpoznaję postaci, do tego antropologicznego daltonizmu już się kiedyś przyznawałem. A młodzi krytycy gwiazdkują to, aż tona się unosi, nagradzają na festiwalach. Wietrzę tu spisek. Chińczycy nas wykończą. Coś w tym jest.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl



Jemiołuszki potrafią się przygotować na spotkanie z polskimi realiami i na czas pobytu u nas rozrastają im się wątroby.

Zimowiska

Wraz z klimatem zmieniają się ptasie zwyczaje. Trasy migracji często się skracają, a zimowiska i tereny lęgowe przesuwają w kierunku północnym

Konrad Malec

Niemal każdy i każda z nas czasem marzy o ciepłych krajach. Zadziwia mnie nieco, że ludzie zwykle wybierają się tam w lecie, kiedy u nas jest ciepło, a na Południu nieznośnie gorąco. Ptaki pod tym względem wykazują więcej rozsądku, zwykle lato spędzają na Północy, a odlatują na zimę. Dla ptaków ze Skandynawii czy Rosji ciepłym rajem często jest... Polska.

Od dziecka marzę o wędrowce przez tajgę i tundrę. Niestety, nigdy nie było mi dane złączyć północnych krańców Europy, może dlatego każdej jesieni z napięciem wypatruję ptaków z północnych krain. Ich forpocza jest już w Polsce, więc czyszczę szkła lornetki, by ich nie przegapić.

Pierwsze ptaki z mroźnej Północy poznałem jeszcze w dzieciństwie, były to jemiołuszki. Zamieszkiwały

strony kolorowanki, którą miałem u babci na łódzkiej Dąbrowie. Tam też pierwszy raz zobaczyłem te ptaki zimą, za sprawą dużej liczby jarzębów szwedzkich posadzonych u zarania osiedla, w latach 50. i 60. minionego stulecia. Ptaki te, z których wiele przylatuje właśnie ze Szwecji, żywią się u nas niemal wyłącznie owocami, choć w ojczyźnie, która rozciąga się prawie od koła podbiegunowego na północ, preferują dania złożone z owadów. Owoce lubią fermentować, w efekcie czego powstaje alkohol, o który w Skandynawii dużo trudniej niż w Polsce. To oczywiście nie lada gratka dla mieszkańców półwyspu na północnych brzegach Bałtyku, gdzie alkohol trudno nabyć, chociaż ptaki raczej o tym nie myślą. Jemiołuszki jednak lepiej niż ludzie potrafią się przygotować na spotkanie z polskimi realiami i na czas pobytu nad Wisłą rozrastają im się wątroby.

Polskie skojarzenia wiążą się też z tymi ptakami i syberyjską wiosną. Kiedy jemiołuszki wracały do swoich domów, polskim zesłańcom wkradała się w serca nadzieja, że przyniosą im wieści z ojczyzny.

Dzięki dziadkom poznałem także innych zimowych gości – jery. Pierwszy raz widziałem je na Lublinku, gdzie dziadkowie mieli działkę. To tam w krzewie klonu ginnala przycupnęły niewielkie ptaszki. Musiała to być druga połowa zimy, pamiętam bowiem dobrze czarne główki samców, już szykujących się do godów. Jery są bliskimi krewnymi licznie zamieszkujących Polskę zięb i niekiedy wspólnie spędzają zimę. Jery często odwiedzają karmniki, przy czym przeważnie nie pchają się do środka ani nie przepychają skrzydłami, lecz skromnie, jak na Skandynawów przystało, wydziubują z ziemi ziarenka, którymi wzgardziły sikory czy dzwońce. Z tego powodu dbam, by w ptasiej strawie, jaką serwuję w karmnikach, były drobne nasionka, np. lnu, będące przysmakiem jerów, zięb czy szczygłów.

W tym miejscu warto zauważyć, że przy karmniku pojawia się wielu innych gości z Północy i Wschodu, których nie posądzamy o legitymowanie się obcym paszportem – znaczna część sikor odwiedzających karmniki to mieszkańcy chłodniejszych krain, którzy dołączają do tutejszych

pobratymców i wspólnie koczują. W kupie rażniej i bezpieczniej. W moim ogrodzie zimą pojawiają się też czeczotki, które nielicznie lęgną się w polskich górach i na Wybrzeżu Słowińskim, a które łatwo spotkać zimą porą. Mój ogród w większości jest urządzony według najnowszej, choć nieszczerze popularnej tendencji, którą można by nazwać naturalistyczną. Mówiąc wprost, jestem *trendy* i prawie nie używam kosy ani kosiarki, mam więc sporo wysokiej roślinności zielnej, którą złośliwi nazywają chwastami. To wabik na makolągwy, ale również szczygły, które chętnie posilają się nasionami wiesiołków i dziurawców. Na drobnych nasionach żerują też śnieguły i rzepołuchy, które lubią rozległe przestrzenie z nielicznymi zadrzewieniami, oraz górniczki, o spotkaniu których ciągle marzę. Te ostatnie są bliskimi krewnymi skowronków i tak jak skowronki dla nas są zwiastunami wiosny, górniczki wieszczą kres zimy Lapończykom.

Jery czy rzepołuchy, a nawet większe od nich jemiołuszki, to rozmiar S, w rozmiarze XXL nielicznie przybywają do nas z północnej Rosji łabędzie czarnodziobe, w ornitologicznym slangu zwane bewikami (od łacińskiej nazwy euroazjatyckiego podgatunku *Cygnus columbianus bewickii*, nadanej na cześć angielskiego ornitologa i ilustratora Thomasa Bewicka). Ptaki te przeważnie jedynie przelatują przez Polskę, najczęściej wzdłuż wybrzeży, ale zdarza im się zatrzymać na dłużej w centralnej części naszego kraju, szczególnie jeśli krajobraz przypomina tundrę, tak jak w Pradolinie Warszawsko-Berlińskiej, którą obecnie

o tym napiszę kiedy indziej). Dla pozostałych gęsi, czyli tundrowej, białoczelnej, zbożowej, oraz większości gęgaw i kilku innych, znacznie rzadszych gatunków Polska jest krajem tranzytowym lub miejscem zimowania, jeśli wody nie zamarzają. Jeżeli porą zimową wybierzesz się na Wybrzeże, macie też duże szanse na spotkanie kaczek z dalekiej Północy – edredonów, uhli, lodówek i markaczek. Niekiedy kaczki te zalatują na śródlądzie. Jako rzadki bywalec nadmorskich plaż pierwsze spotkania z tymi ptakami, z wyjątkiem markaczki, miałem na Jeziorsku, zlokalizowanym na Warcie. Obserwacje tych ptaków są atrakcyjne nie tylko z powodu ich mroźnej egzotyki, ale i pięknego ubarwienia.

Jery często odwiedzają karmniki, przy czym nie pchają się do środka, ale skromnie wydziobują ziarenka z ziemi.

Na koniec mój ulubieniec – myszołów włochaty. Ponadprzeciętna sympatia do tych ptaków wiąże się zapewne z miłymi wspomnieniami z czasów, gdy miałem okazję pomagać w ich badaniu w Pradolinie Warszawsko-Berlińskiej. Uwielbiałem wędrować i obserwować ptaki zimą, szczególnie gdy był śnieg, co kiedyś było częstszym zjawiskiem niż dziś. Swoją drogą pradolina obfitowała nie tylko w kosmacze, jak bywa nazywany myszołów włochaty, ale też w drobniejszych przybyszów z Północy. Jego nazwa pochodzi od nóg opierzonych aż po palce, co bywa przydatne na dalekiej Północy. Ponieważ ptak ten osiąga znaczne rozmiary, przewyższając gniazdującego u nas myszołowa, dawniej oskarżano

zwierząt. Wśród naukowców to dowód najwyższego uznania. Warto nadmienić, że tylko jedną nazwę nadał nasz rodak. W wydanej w 1860 r. książce „O ptakach drapieżnych w Królestwie Polskim pod względem wpływu, jaki wywierają na gospodarstwo ogólne” Taczanowski domagał się zaprzestania tępienia ptaków drapieżnych, posługując się argumentacją ekonomiczną, choć nie unikał odwołań do estetyki. Jak sama nazwa wskazuje, myszołów żywi się głównie gryzoniami. Taczanowski wyjaśniał, że „nieumiejący ściśle obserwować, nie pojmują, aby myszołów ten tak okazały i tak pozornie potężny, nie miał zabijać większych zwierząt i ptaków, i są przekonani,

że zające wyniszczą: łatwo bardzo przekonać się o mylności tej opinii, (...) widząc, jak spłoszone zające przechodzą tuż koło drzewa, na którym siedzi nadęty myszołów i wcale na nie nie zwraca uwagi i nigdy nie napastuje”.

Nasze myszołowy, z gołymi nogami, zimą albo koczują w pobliżu gniazda, albo odlatują ku południowemu zachodowi, a zastępują je liczne ptaki z Północy i Wschodu, dlatego łatwiej je spotkać o tej porze roku niż latem, tym bardziej że często oblegają wykoszone pobocza dróg, gdzie dużo łatwiej wypatrzeć potencjalną zdobycz. Ten model przetrwania zimy jest bardzo popularny u wielu innych ptaków, które możemy obserwować przez cały rok, np. u gawronów, tysek czy wielu kaczek.

Warto wybrać się na spacer, by podpatrywać zimowych gości, najlepiej z lornetką, ale można i bez. Niestety, z uwagi na zmieniający się klimat coraz trudniej o właściwą scenę dla tych obserwacji. Mimo to, a nawet tym bardziej warto to zrobić teraz, ponieważ na naszych oczach wraz z klimatem zmieniają się ptasie zwyczaje. Trasy migracji często skracają się, a zimowiska i tereny lęgowe przesuwają w kierunku północnym. Kto wie, może za kilkanaście lat odwiedziny jemiołuszek, lodówek czy bewików będą tylko wspomnieniem. A może ptaki te znikną zupełnie, bo Północ nie jest bezkresna. ■

Znaczna część sikor, które odwiedzają karmniki, to mieszkańcy chłodniejszych krain.

płyną Bzura i Ner. Kiedy mieszkalem w Łodzi, często miałem okazję podziwiać je na niezamarzniętych stawach pradoliny. Z blaskodziobych gości w naszym kraju zdecydowanie najlepiej znane są zaś gęsi.

Mało kto zdaje sobie sprawę, że w Polsce lęgowe są jedynie gęgawy, a od pewnego czasu także ekspansywne bernikle kanadyjskie (ekspansja obcych gatunków jest jedną z najważniejszych przyczyn spadku różnorodności przyrodniczej, ale

go o wyrządzanie znaczących szkód w drobnej zwierzynie, szczególnie o trzebież zające).

W XIX stuleciu uznawano go za szkodnika i zawzięcie tępieno, podobnie jak inne ptaki drapieżne. Ten sposób myślenia był rozpowszechniony na całym świecie. Jednym z pierwszych obrońców drapoli był Władysław Taczanowski, polski ornitolog i arachnolog, który oddał wielkie zasługi nauce, za co jego nazwiskiem nazwano kilka gatunków

Braterska poliandria

W Spiti od wieków kobiety były żonami dwóch, trzech braci

Klasztor Dankhar Gompa w dolinie Spiti.

Hanka Grupińska

Ani Tenzin Palmo żyła w odosobnieniu w górach Lahaulu. Któregoś dnia zauważyła dziwne ślady w śniegu wokół swojej chatki. Narysowała te kształty i zachowała rysunek. Kiedy po latach pokazała rysunek zoologom, nie mieli wątpliwości, że to śnieżna pantera.

Kibber to duża wioska. Jest tam ok. 100 domostw. Którejś zimy pantera zabiła 13 jaków i cztery konie. Udusiła zwierzęta i wypita krew. Pantera nie zjada całego mięsa upolowanego zwierzęcia. Przysmakiem jest jego ciepła krew. (...)

Chłopi mieszkający w wysokich wioskach Spiti najczęściej ubezpieczają zwierzęta domowe. Wtedy urzędnicy rządowi, po oględzinach strat, przyznają odszkodowanie. Jechałam kiedyś autostopem z Cziczamu. To jedna z tych wysokich wiosek, położona jest na 4170 m n.p.m. Mnich, który mnie zabrał, opowiadał o panterze jak o niezłomnej wojownicze – z szacunkiem i podziwem. Pokazywał skały, na których czasem

się ją widzi. Pantera jest płochliwa i szybka. Mówił też mnich Sonam, że tu się pojawia tylko jedna pantera, że to samo zwierzę jest czasem widywane. Pewność miał stąd, że w okolicy zainstalowano kamery, które ją podglądają.

Typowa śnieżna pantera ma jasne oczy i białawoszare futro z wmalowanymi głęboko w długą i gęstą sierść czarnymi plamami, które zmieniają swoje obrysowanie w ruchu. Dorosła waży ok. 50 km, a długość jej ciała sięga 190 cm. (...) Porywa błękitne owce, bydło, młode jaki. Mieszka w Himalajach i na Wyżynie Tybetańskiej. Chroni się przed człowiekiem, który poluje na jej futro i kości. Nie słyszano, by zaatakowała człowieka. Zakłada się, że na wolności żyje ok. 7 tys. śnieżnych panter.

Spiti jest położone niedaleko granicy z Tybetem, z Tybetańskim Regionem Autonomicznym właściwie. Sumra, Sumdo to wioski oddalone o kilka kilometrów od granicy. Przed 1959 r. ludzie przemieszczali się bez przeszkody granic. Szlaki handlowe łączyły odległe miejsca. Z Tybetu do

Spiti, Ladakhu i Kaszmiru transportowano sól, paszminę i wełnę owczą. A z powrotem, do tybetańskich osad – cukier, zboże i ubrania bawełniane. Ruch odbywał się tu stale i uzależniony był tylko od przyrody, a nie od decyzji władczego człowieka. Te najbliższe miejsca połączone były także ludzką bliskością.

– Z Tabo jeździło się do Suru Sumkhil jak do siebie. Dziś jest granica, a za nią strach – mówi Thupten, mnich skromny, i przypomina sobie, że kilka lat wcześniej, może 10 lat temu, grupa kilku osób dotarła stamtąd do Sumry. Jakoś przedarli się przez góry. Byli chorzy i wycieńczeni, jeden chłopiec zmarł od razu. Pozostali pojechali do Delhi, do centrum dla uchodźców tybetańskich.

Uciekinierów jest coraz mniej. I chyba nie tylko dlatego, że trudniej jest dziś niż dawniej przedostać się przez wysokie góry, przejść granicę. Młodszy, którzy nie znają już tybetańskiego Tybetu, wychowali się w chińskiej ekspansji i tam są u siebie. Powklejali się w nowy system, bo wzrastali razem z nim. I taki mają dom, jaki znają. Protestujący – często

mniszki i mnisi, czasem nomadzi albo robotnicy – stanowią mniejszość Tybetańczyków w coraz bardziej chińskim Tybecie.

Wzdłuż rzeki, po obu jej stronach, na ok. 160 km jej długości, położonych jest kilkadziesiąt wiosek, połączonych najczęściej kamienistą drogą. Wioskowe społeczności tworzą jedną spityjską wspólnotę. Tu rzeczywiście wszyscy się znają, a wielu jest ze sobą spokrewnionych. Społeczność do niedawna (do połowy lat 90.) całkowicie odcięta od innych, a wcześniej, przed 1947 r., żyjąca we względnej osobności, wytworzyła swoją strukturę.

Ludzie żyją tu zgodnie, choć trwają przy swoich nierozwiązanych konfliktach. Żyją bezpiecznie, choć trochę się chronią przed przybyszami spoza. Właściwie to nie ma tu przestępczości. Naprawdę. Kradzież jest niemal nieobecna, bo tak silnie piętnowana społecznie. Żyją wspólnotowo – pomagają sobie stawiać domy, świętują uroczystości rodzinne całymi wioskami, a w mroźne zimy grzeją się razem przy piecach i piją *czang*.

Nie potrafią przeciwstawić się i buntować. Jeśli miejscowy polityk (a takich induskich przybyszów jest tu coraz więcej) stawia czteropiętrowy dom, mimo że prawo na to nie pozwala, nie dziwią się i nie występują przeciwko. Jeśli dziecko jest w szkole bite (co ciągle się zdarza, mimo że prawem wprowadzono zakaz), rodzice uważają, że widocznie

śmierci. Klasztor od wieków jest też instytucją edukacji. Przyklasztorne szkoły, jeszcze nie tak dawno jedyne, dziś nie ustępują poziomem kształcenia szkołom świeckim.

Wioski, zgodnie z ich położeniem, przypisane są do swoich opiekuńczych *sangh*. Górne Spiti „podlega” pod Key Gompe, to tradycja *gelug*. Środkowe związane jest z klasztorem Dhankar, też *gelug*, lub z Tangyud w Kazie, klasztorem szkoły sakja. Dolne Spiti ma swoich nauczycieli i przewodników w najstarszym

Są zasady, które dzielą społeczności kastowe. Ci z niższej nie mogą spać w łóżku kogoś z kasty wyższej ani jeść z jego talerza.

zgromadzeniu w dolinie, w Tabo. Jeśli rodzina chce oddać dziecko do klasztoru, czyni to zgodnie z naturalną „rejonizacją”.

– Mamy taki zwyczaj w Spiti – mówi Dhakpa, mnich Key Gompy – że jeśli małe dziecko jest chorowite, często płacze, to matka przynosi je do klasztoru i prosi o zmianę imienia. Jeśli to jest chłopak, matka często decyduje, że zostanie mnichem. Ostatnio w zeszłym miesiącu tak się zdarzyło. Dziecko cierpiało i rodzice się męczyli. Opat zmienił mu imię i postanowiono, że chłopiec przyjdzie do klasztoru, kiedy skończy osiem lat. Widziałem tę matkę wczoraj, dziecku się poprawiło. (...)

Każda wioska ma swoje bóstwa i duchy opiekuńcze. Najpewniej te wierzenia, ta tradycja są starsze niż buddyzm i pochodzą z religii *bon*.

Podział społeczny jest tłumaczony karmą: tak, jesteśmy wszyscy równi, ale każdy ma inną karmę.

tak być powinno. Nie są krytyczni i nie kwestionują. Rzeczy, które uważają za niezależne od ich woli i czynu, przyjmują takimi, jakimi są. Ale przede wszystkim: są radosni, uważni i prawdomówni.

Klasztor jest filarem społeczności buddyjskiej od wieków. Spityjczycy są buddystami, zatem ich życie codzienne wypełniane jest w zgodzie z klasztornym kalendarzem, obyczajem i zasadą formułowaną przez lamów. A te dotyczą rodzinnych i wspólnotowych wydarzeń: narodzin, połąceń,

Niektóre bóstwa weszły do kanonu strażników buddyjskich, inne pozostały na obrzeżach nowego systemu. Mieszkańcy wiosek mają żywy z nimi kontakt. (...)

Bóstwa uznane przez klasztory mają swoje historie zapisane i pamiętane. Te drugie, pomniejszych (*lha*), wioskowe, istnieją tylko w pamięci i obyczaju mieszkańców. Koło Dhemulu, na przykład, jest wysoka góra zwana Balangri, na której mieszkają *lha*, bogowie, i *dre*, demony. (...)

– Niektóre bóstwa czynią wyjątkową pracę – mówi Sonam Angdui,

wykształcony socjolog, *nono* Spiti. – W Dhemulu jest bóstwo lokalne, które mówi przez medium i ono rzeczywiście prowadzi ludzi, przekazuje informacje dharmiczne.

O każdym z nich są dawne i niedawne opowieści. Warte zapisania.

Nono i czterech tzw. małych *nono* oraz wysocy lamowie należeli (i należą) do kasty arystokracji. Wszyscy są potomkami i następcami dawniej rządzących. Dziś ich znaczenie ograniczone jest wyłącznie do prestiżu

i poważania. Główny *nono* jest doskonale wykształconym człowiekiem, bardzo zaangażowanym społecznie.

– W Kinnaurze i Lahaulu system kastowy mocniej trwa niż w Spiti. My nawet wiążemy się małżeńsko z *czeczang* – mówi *nono*, wskazując na kastową swobodę. – No, może rzeczywiście dlatego, że jest nas, arystokratów, coraz mniej.

– A może i też dlatego, że Kinnaur i Lahaul są buddyjsko-hinduskie, a Spiti jest w stu procentach buddyjskie?

– To z pewnością też istotna przyczyna.

Czeczang to posiadacze ziemi i zwierząt – większość Spityjczyków należy do tej kasty. Dominują, dbają o przestrzeganie starych zasad, które dają im uprzywilejowanie, i – jeśli trzeba – ustalają nowe. *Zo* to ludzie bez ziemi: rzemieślnicy, kowale, najemni robotnicy. (Ci ostatni to Nepalczyki – Gurkhowie, którzy są tu od pokoleń, Indusi z biednego Biharu i Dżharkhandu). *Beta* to najniższa kasta. Należą do niej rzeźnicy i muzycy. Jeśli trzeba zabić zwierzę, czynią to *beta* albo – to już stara tradycja z Tybetu – buddyści oddają to zajęcie mułom. (Każdy znajduje swojego szabes goja).

Muzycy, nazywani też *hiraps*, są najbiedniejsi i od wieków stanowią najniższą kastę. Dawniej nie mieli swoich domów, wędrowali od wioski do wioski, często przez odległe krainy, i grali za miskę jęczmienia. Z czasem, kiedy wyrosły granice – większe przeszkody niż wysokie góry – osiedlali się i znajdowali inne zajęcia. Dziś pozostało ich bardzo

► niewielu w Spiti. Są wioski, gdzie nie ma żadnego muzyka, jak np. w Han-zie. I są takie, w których 50 domów należy do *czeczang*, a jeden do muzyków. Jeśli jest jakaś uroczystość we wsi, na przykład *pingri*, sprasza się muzyków z całej okolicy. I dziś trzeba im już zapłacić. W Rangriku mieszka stara kobieta z synem. Grała

są także zamknięte dla niższych kast, ich synowie nie mogą zostać mnichami. A kiedy czytane są teksty buddyjskie w świątyni, *beta* i *zo* nie wolno tam przebywać. Tych zasad jest dużo więcej. Ale też kruszą się one, powoli i samoistnie. Otwarcie na innych musi przynosić zmiany. W czasie wizyty w Spiti w 2007 r. Jego

wróciło z południa. XIV Dalajlama zdecydowanie wystąpił wówczas przeciwko podziałom.

– W buddyzmie nie ma miejsca na system kastowy – mówił w spityjskich świątyniach.

Wkrótce potem 16 mnichów wróciło do gompy w Karnatace i nikt już nie protestował. To była chyba jednak sytuacja precedensowa. W 2018 r. Loczen Tulku Rinpoche z Key Gompy powiedział do mnie:

– Osobiście nie miałbym nic przeciwko temu, żeby chłopcy z niższych kast składali śluby, ale inni z pewnością odeszliby wtedy z klasztoru.

Podział społeczny jest tłumaczony karmą: tak, jesteśmy wszyscy równi, ale każdy ma inną karmę. I zgodnie z tą zasadą ludzie rozumieją swoje położenie. Widocznie – uważają – w poprzednich wcieleniach krzywdziłem innych i dlatego teraz mam taki los. Starają się być dobrymi i pełnymi współczucia, i modlą się o lepszą inkarnację w przyszłości. Człowiek wie, co to jest szczęście i cierpienie,

W Spiti nie żyje się z dokumentami w kieszeni. Nikt nie prowadzi rejestracji małżeństw, rozwodów, zgonów.

kiedyś na sunnie (duży flet) i na *da-wo* (bęben ramowy). Jej syn jest kierowcą wielkiej ciężarówki. Kiedyś i on byłby muzykiem.

Są zasady, które dzielą społeczności kastowe. Ci z niższej nie mogą spać w łóżku należącym do kogoś z kasty wyższej. Nie mogą jeść z jego/jej talerza, zatem istnieje zwyczaj koszerowania naczyń kadzidłami. *Zo* i *beta* muszą siedzieć niżej, jeśli przebywają w jednym pomieszczeniu z *czeczang*. No i oczywiście nie mogą się mieszać w małżeństwach. Gompy

Świątobliwość Dalajlama ostentacyjnie wystąpił w obronie muzyków. Z radością grał na bębnach.

W 2006 r. pewien mnich postanowił wypowiedzieć wojnę systemowi kastowemu. Zabrał 16 chłopców z najniższej kasty do klasztoru w Karnatace. Mnisi z domów *czeczang* zaalarmowali rodziców, którzy zaostrzyli zasady podziału kastowego w dolinie. (Osobne sklepy, osobne miejsca posiłku). Ich rodziny opłaciły nowicjuszom podróż, wynagrodziły pieniędzem straty i 16 chłopców

Szkolenia WordPress

Dedykowane szkolenia dla firm:

- projektowanie stron internetowych
- zarządzanie stroną www
- administrowanie stroną www
- modyfikacja / rozbudowa strony
- sklep WooCommerce

www.cmswordpress.edu.pl






SzkoleniaMi.pl
Profesjonalne szkolenia informatyczne

i ma możliwość przemiany cierpienia w szczęście.

System kastowy został najpewniej wprowadzony w Spiti wcześniej niż słowa Buddy, które zaczęły tu docierać z Tybetu w X w. Podobny istnieje w Ladakhu, Zaskarze, Kinnaurze. Silniejszy jest w Dolnym Spiti, łagodnie szybciej w Górnym (geograficzne zależności o tym decydują). (...)

W Spiti nie żyje się z dokumentami w kieszeni ani w szufladach. Nikt nie prowadzi rejestracji małżeństw, rozwodów, zgonów. Od niedawna rodzice chętnie informują *panczajata*, indyjski urząd, o narodzinach, bo wtedy dostają subwencje na dziecko, na przykład ryż po niskiej cenie. Nikt nie ma dowodu osobistego. Kiedy są wybory, chętny obywatel dostaje kartkę. Pasporty też wydawane są w zależności od potrzeby, a ta zdarza się rzadko, bo Spityjczycy raczej nie podróżują poza granice wielkiego kraju.

Śluby odbywają się zgodnie z obyczajem i tradycją, najczęściej bez urzędów. (Można się rejestrować w indyjskim urzędzie, ale chętnych nie ma wielu). Małżeństwa są (ciągle) najczęściej aranżowane, a zasady – uzgadniane przez rodziny. Żeby świętować, robi się tradycyjnie duże wesele, w którym uczestniczy cała wioska i goście z daleka. Trwa ono dwa, trzy dni, jest huczne i dużo kosztuje. Albo małe wesele – spotkanie dla najbliższych w jedno popołudnie. To jest „nowa moda”, ale jej popularność szybko rośnie.

Ejdżej ma 24 lata. Wkrótce będzie wesele, bo narzeczoną ma już od roku. To była taka mieszana formuła. Najpierw oni się poznali i polubili, a potem rodzice ustalili zasady. Istnieje jeszcze bardziej radykalna wersja zawierania związku. Młodzi, którzy mają obawę, że rodzice będą niechętni ich pragnieniu, jadą do Manali i tam rejestrują się w indyjskim urzędzie. A potem wracają gotowi do pertraktacji rodzinnych i wesela – małego lub dużego, w zależności od zasobów finansowych. Ejdżej planuje wesele „mini-mini”, jak mówi.

– A za kilka lat, jak będziemy bogaci, zaprosimy całe Spiti na wielkie!

Po ślubie dziewczyna zamieszkuje w domu chłopaka, ale jeśli w rodzinie są dwie dziewczyny, to ta druga może pozostać w swoim domu z mężem.

– Czasem to się jeszcze zdarza, że jedno rodzeństwo żeni się z innym. Wtedy ziemia pozostaje w rodzinie – tłumaczy Ejdżej. – Ale młodzi coraz rzadziej myślą o polu. Oni chcą przede wszystkim niezależności.

– Phuntsok została wydana za męża, kiedy miała 15 lat – mówi Tenzin. – Do szkoły chodziła krótko, trzy, może cztery lata. Rodziny się zgodnie domówiły, Phuntsok dostała dobrego męża. Panna młoda wnosi posag. Ale u nas, nie tak jak u hindusów, posag może być mały i kobiety nigdy przez posag nie umierają.

Geometria podziałów kastowych jest ciągle zachowana w przypadku zawierania związków – ożenki są zamknięte w tej samej grupie społecznej. Choć przed ożenkiem młodzi zadają się ze sobą bez szczególnej uwagi

Moi bracia mają jedną żonę. Starszy ożenił się pierwszy i po pięciu latach młodszy dołączył do nich.

na przynależność kastową. Wszyscy o tym wówczas wiedzą i wiedzą także, że ślubem to się nie może skończyć.

Jeśli para chce się rozstać, nikomu się nie opowiada i zgody na to nie potrzebuje. Jeśli natomiast jest niezgoda dotycząca domu, rozstrzyga ją *gepo*, przewodzący radzie starszych wsi. Wdowy często wiążą się z bratem zmarłego męża – unika się wówczas sporu dotyczącego dziedziczenia ziemi.

Poliandria jest tu obecna. To kulturowe przeniesienie z Tybetu. Funkcjonujące tam (historycznie bardziej niż współcześnie) układy małżeńskie były niezwykle zróżnicowane: monogamia obok poliginii (wielonożność), poliandria (wielomęstwo) i poligynandria (małżeństwo grupowe). W monogamii najczęściej żyli bezziemni. Poliandria zazwyczaj bywała braterska, czasem dołączał owdowiały ojciec. W gospodarstwach, gdzie mieszkaly same córki, zapraszano bezziemnego mężczyznę (poligynia siostrzana), który stawał się spadkobiercą teściów i dziedziczył po nich nazwisko. Nierozdziałanie majątku jest kluczem do tych kombinacji małżeńskich.

W Spiti od wieków, w ostatnich dziesiątkach lat dużo rzadziej, kobiety były żonami dwóch, trzech braci. Poliandria braterska – według słownika.

A w praktyce: łączenie się ludzi wokół ziemi. Żeby jej nie dzielić, żeby ją dobrze uprawiać, żeby nie najmować obcych, żeby starczało na podatki dla klasztoru i na ciut zasobniejsze życie. Kobiety mające dwóch mężów są w Spiti szanowane.

Zdarzają się też, z podobnych powodów – rodzinno-własnościowych – związki poligamiczne. I te też są akceptowane społecznie. Niechętnie ludzie odnoszą się do mężczyzny, który ma dwie żony dla atrakcji.

– W Rangriku jest taka sytuacja – opowiada Czering. – Sąsiedzi nie zaakceptowali drugiej kobiety, którą mężczyzna sobie przywiózł. Musiał ją wywieźć do Kazy.

Ten zwyczaj umiera szybciej niż podział kastowy. Poliandryczne związki powstawały także dlatego,

że istnieje zasada dziedziczenia ziemi przez najstarszego syna. Młodzi zostawali bez ziemi. W Rangriku na 100 rodzin jest jeden związek poliandryczny i jeden poligamiczny. Thupten, skromny mnich z Tabo, wychował się w Czango w Kinnaurze (to są te południowe sąsiedztwa, które mają wpływ na Dolne Spiti). Mówi tak:

– W Czango jest 300 domów. I może 50 albo 60 domów, w których jest jedna kobieta i dwóch, trzech mężczyzn; oni są braćmi. Poligynii u nas nie ma. W Spiti ziemia należy do najstarszego, a w Kinnaurze do wszystkich synów, dlatego oni często biorą wspólną żonę.

– A jak się przypisuje dzieci do ojców?

– Zwyczajnie – mówi Thupten. – Dzieci mają dużego i małego ojca. Moi bracia mają jedną żonę. Starszy ożenił się pierwszy i po pięciu latach młodszy dołączył do nich. Nie tylko o ziemię chodziło. Mój młodszy brat nie chciał odchodzić z domu. Chciał być z naszym starszym bratem w jednej rodzinie.

Fragmenty książki
Hanki Grupińskiej
*Dalekowysoko.
Tybetańczycy bez ziemi*,
Wielka Literatura,
Warszawa 2020



Adam Godlewski,
Maciej Polkowski

Kto płaci rachunki w polskiej piłce

Rolę największego mecenasa zawodowych piłkarzy przejęły miasta i państwowe spółki

W Polsce są obecnie trzy piłkarskie ligi zawodowe o zasięgu ogólnokrajowym, w których rozgrywki organizuje PZPN. W tym sezonie na poziomie centralnym mamy 53 drużyny. We wszystkich występują zawodnicy utrzymujący się z kopania piłki. Państwo z założenia nie angażuje się w finansowanie seniorów, dotacje przekazuje jedynie na szkolenie młodzieży. Zasadne jest zatem pytanie, kto w polskim futbolu klubowym płaci pensje i pozostałe rachunki. Odpowiedź wcale nie jest oczywista; otóż w większości... samorządy!

To nie pomyłka! O ile w PRL prym w krajowym futbolu wiodły kluby resortowe, „podwieszone” pod wojsko, milicję czy górnictwo, o tyle w czasach najnowszych rolę największego mecenasa zawodowych piłkarzy przejęły miasta. Nie tylko wybudowały z publicznych środków piękne, nowoczesne stadiony, ale też na co dzień utrzymują zawodników, trenerów, działaczy. Są większościami udziałowcami sportowych spółek akcyjnych lub ich głównymi partnerami. To powszechne, bardzo popularne

być każdy”) w PRZEGLĄDZIE przed ponad sześciu laty: „Właściciel klubu piłki nożnej to brzmi dumnie. W jeden dzień można się stać znaną osobą, wypowiadać w mediach (...), rozdáwać zaproszenia różnym znanym osobom i brylować na salonach (...). Trenerzy i piłkarze przeżyli już wiele. Był właścicielem klubu w najwyższej klasie rozgrywkowej – bydgoskiego Zawiszy – posiadacz parabanku, Janusz Paluch (Nedpol). Płacił dużo piłkarzom i trenerom, a pieniądze radził im umieszczać w swojej firmie, dając preferencyjne warunki. Dlatego wszyscy w klubie każdą zarobioną złotówkę lokowali na kontach we wskazanym banku i cieszyli się, że nawet jak śpią, to im rośnie. Aż pewnego dnia obudzili się i zorientowali,

szczęście tylko na chwilę – niejaki Jakub Meresiński, wówczas 30-latek. Nie miał prawie nic, ale chciał się lansować dzięki najpopularniejszej dyscyplinie sportu. Nawet przed rokiem niejaki Kamil Ż. w podobny sposób zabawił się z Bałtykiem Gdynia – dziś wprawdzie klubem trzecioligowym, ale z ekstraklasową przeszłością – doprowadzając go na skraj bankructwa. Przedstawiał się jako syn potentata z branży budowlanej, a podobnie jak wspomniany wyżej pseudobiznesmen okazał się specjalistą od milionowych wyłudzeń.

Szastanie milionami w pogoni za sukcesami

Owszem, były lata, gdy wśród właścicieli polskich klubów nie brakowało ludzi z dziesiątki najbogatszych w zestawieniu magazynu „Forbes”. Bogusław Cupiał z myślenickiej Tele-Foniki wpompował w Wisłę Kraków grubo ponad 200 mln zł, ale nie doczekawszy się awansu do Ligi Mistrzów, w 2016 r. spasaował. Także z uwagi na kryzys w branży światłowodowej.

Zygmunt Solorz, właściciel m.in. telewizji Polsat i do dziś jeden z najbogatszych rodaków, przeżył czteroletni romans ze Śląskiem Wrocław. Mimo trzech miejsc na ligowym podium i tytułu mistrza kraju w roku 2012 wycofał się, pozostając później w sporze sądowym ze sportową spółką akcyjną.

Sukcesu sportowego nie odnieśli również byli właściciele TVN, Jan Wejchert i Mariusz Walter. Poprzez spółkę ITI zainwestowali w Legię Warszawa ponad 300 mln zł, ale do historii przeszli wyłącznie jako właściciele, którzy wydali wojnę stadionowej bandyterce. Do sportowego spełnienia na arenie międzynarodowej nie doszło.

Najzamożniejsi Polacy stronią od futbolu. Bo to biznes niepewny, obarczony wielkim ryzykiem inwestycyjnym.

rozwiązanie nawet w Ekstraklasie – od Wrocławia, Gliwic, Zabrza i Bielska-Białej po Szczecin. Jeśli do tego dodamy, że głównymi sponsorami najwyższej ligi są PKO BP i Lotto, KGHM zaś dokłada do utrzymania Zagłębia Lubin, PGE – Stali Mielec, Energa – Lechii Gdańsk, a Orlen – Wisły Płock, wyjdzie na to, że spółki z udziałem skarbu państwa to drugi w kolejności dobrodziej zawodowego futbolu. Prywatny kapitał w kraju, którego gospodarka jeszcze przed rokiem mogła się pochwalić 11. pozycją w Europie i plasowała się wśród 25 najbardziej rozwiniętych na świecie, znajduje się natomiast w głębokiej defensywie.

Właścicielem mógł być każdy

O pierwszych próbach i efektach przejmowania klubów piłkarskich przez prywatnych inwestorów można było przeczytać („Właścicielem może

że właściciel klubu zniknął, bank okazał się niewypłacalny, a ci, którzy ulokowali w nim pieniądze, już ich więcej nie zobaczyli.

Znalazł się ktoś, kto przebił »bankiera«. Po prostu przejął warszawską Polonię, klub z czołówki Ekstraklasy, i nie wypłacił nikomu ani grosza przez cały sezon. Jakby tego było mało, ów właściciel zgarnął całe pieniądze, jakie klubowi się należały z kontraktu telewizyjnego, wyprowadził z kasy ostatnią złotówkę, sprzedał kilku zawodników i chociaż nie zniknął jak »bankier«, to doprowadził klub do bankructwa i wyjechał bogatszy o doświadczenia plus kilka milionów złotych. Mowa o Ireneuszu Królu”.

Przykłady biznesmenów (i hochsztaplerów), którzy w niesławie żegnali się z futbolem, można mnożyć. I nie trzeba ich szukać wyłącznie tuż po roku 1989. W roku 2016 Wisłę Kraków przejął – na



Janusz Filipiak w Cracovię inwestuje od 17 lat, ale dopiero latem tego roku piłkarze sięgnęli po Puchar i Superpuchar Polski.

Nigdy miłością do naszego futbolu nie zapalał natomiast nieżyjący już, największy bodaj rekin krajowego biznesu minionych dekad – dr Jan Kulczyk. Wkład, ale drobny, w Lecha Poznań miał jedynie jego syn, Sebastian. W początkach obecnego stulecia żył pieniądze na... pensję ówczesnego lidera Kolejorza, Piotra Reissa. Około 35 tys. zł.

Najpewniejszy rodzinny interes

Dziś w naszym ligowym futbolu jest dwóch Polaków z tegorocznej listy najbogatszych tygodnika „Wprost”. Majątek prof. Janusza Filipiaka (wspólny z żoną), założyciela i właściciela firmy Comarch, jednego z liderów w branży informatycznej, szacuje się na prawie 750 mln zł, co dało mu 52. pozycję. W Cracovię Filipiak inwestuje od 17 lat, ale dopiero latem tego roku doczekał się pierwszego sukcesu piłkarzy, którzy sięgnęli po Puchar i Superpuchar Polski. Wcześniej mistrzostwo kraju wywalczyli hokeiści Pasów, których profesor również finansuje. Tak naprawdę inwestor czekał jednak na trofeum futbolistów. Długo i cierpliwie, wraz z jeszcze bardziej wytrwałymi kibicami, bo poprzednie tytuły Cracovia wywalczyła 72 lata temu.

Znacznie wyżej w rankingu najbogatszych sklasyfikowana została rodzina Juroszków (11. pozycja

z majątkiem 4 mld zł), ale tylko ułamek tej fortuny trafia do futbolu poprzez prowadzone przez Mateusza – syna Zbigniewa zarządzającego Atal Textil – zakłady bukmacherskie STS. Tyle że to bardzo znana marka w świecie piłkarskiego sponsoringu, firma zarządzana przez Juroszka juniora finansuje bowiem reprezentacje Polski (także w kategorii U-21 i kobiet) oraz Lecha Poznań, Górnika Zabrze, Pogoń Szczecin, Zagłębie Lubin, Jagiellonię Białostok i Cracovię.

A skoro już o rodzinnych związkach z futbolem mowa, to warto wspomnieć o rodzinie Rutkowskich, która uczyła się go na Amice Wronki, a po fuzji klubów z roku 2006 ma większośćowy pakiet akcji Lecha Poznań. Senior rodu, Jacek, kieruje fabryką, natomiast stery w klubie przekazał synowi Piotrowi. Ten „gra” z Kolejorzem z umiarkowanym i zmiennym powodzeniem, choć akurat w tym roku świętował – po pięciu latach posuchy – awans do fazy grupowej Ligi Europy.

Promotor „Jagi” i Zenka Martyniuka

Na pierwszy plan wśród prywatnych piłkarskich inwestorów wysunął się jednak właściciel Legii, Dariusz Mioduski. Z kilku powodów. Po pierwsze – choć nie jest notowany na liście 100 najbogatszych Polaków,

podobno spokojnie mógłby na niej być. Tyle że unika rozgłosu, jeśli chodzi o majątek. Ten absolwent Uniwersytetu Harvarda (gdzie grał w koszykówkę z Barackiem Obamą) dorobił się u boku Kulczyka. Jak wynika z szacunków, z prywatnych środków – łącznie z wykupem za prawie 40 mln zł od mniejszościowych udziałowców, którzy próbowali dokonać wrogiego przejęcia – zainwestował dotąd w Legię niemal 100 mln zł.

Po drugie, ze zdaniem Mioduskiego liczą się na europejskim rynku futbolowym, nieprzerwanie od kilku lat prezes Legii jest wiceprezydentem ECA (Europejskiego Stowarzyszenia Klubów Zawodowych). Wcześniej pomagał zarządzającemu organizacją szefowi Bayernu Monachium, Karlowi-Heinzowi Rummenigge. A teraz wspiera Andree Agnello z Juventusu Turyn, który przejął stery od słynnego Niemca. To Mioduski – jako szef Rady Nadzorczej Ekstraklasy SA – negocjował rekordowe kontrakty telewizyjne dla ligi. I to on miał decydujące zdanie przy podziale tych środków między poszczególne kluby. To wreszcie on był pomysłodawcą stworzenia trzeciego europejskiego pucharu – Europa Conference League (wystartuje od sezonu 2021-2022), w którym będą mogły zarabiać także polskie kluby. Zapewne usilnie lobbował za tym rozwiązaniem również dlatego, że odkąd spłacił Leśnodorskiego i Wandzla, Legii nie udało się przebić nie tylko do Ligi Mistrzów, ale nawet do Ligi Europy.

Pisząc o najważniejszych prywatnych inwestorach w polskim futbolu, nie wolno pominąć Cezarego Kuleszy z Jagiellonii. Co prawda, nie jest on większościowym udziałowcem sportowej spółki z Białegostoku (nawet wraz z synem, na którego musiał przepisać część akcji, po tym jak został wiceprezesem PZPN), ale nikt nie ma wątpliwości, że to Kulesza od wielu lat rozdaje karty w klubie z Podlasia. I stoi za największymi sukcesami – zdobyciem Pucharu Polski i wicemistrzostwa kraju. Do wielkich pieniędzy doszedł w branży disco polo. Do dziś zresztą prowadzi karierę Zenka Martyniuka i większości innych gwiazd tego nurtu. W zasadzie zmiotł konkurencję, choć w latach 90. apetyt na jego kluby taneczne miały mafie z Wołomina i Pruszkowa. Podobno nawet szef jednej z tych mafii ▶



Cezary Kulesza stoi za największymi sukcesami Jagiellonii – zdobyciem Pucharu Polski i wicemistrzostwa kraju.

► wydał zlecenie na jego głowę. Kulesza był jednak na tyle silny, że się obronił. Teraz nabrał ochoty na fotel prezesa PZPN, a wtajemniczeni twierdzą, że w przyszłorocznych wyborach ma największe szanse.

Wizjonerem, z konkretnym pomysłem na piłkarski biznes i niewidzianą wcześniej w naszym futbolu filozofią, jest właściciel e-sklepu, znanego jako X-kom, mogącego pochwalić się miliardowym przychodem – Michał Świerczewski. Ten 42-letni biznesmen urodził się i wychował w Częstochowie, informatykę skończył na miejscowej politechnice, nic dziwnego więc, że zainwestował w Raków. Kiedy zatrudnił trenera Marka Papszuna – z wykształcenia

dlatego, że w trójce muszkieterów, którzy wywołali popolite ruszenie wśród kibiców i za pomocą platform crowdfundingowych ubierali wielomilionowe kwoty – dzięki czemu cofnęli Białą Gwiazdę znad skraju przepaści – jest Jakub Błaszczykowski, wciąż (?) reprezentant Polski. A w każdym razie czynny zawodnik, z dumą nakładający opaskę kapitana drużyny w Wiśle, kiedy tylko zdrowie pozwala.

Początek zakręcania kurka

Prawda jest taka, że tylko nieliczne kluby na świecie przynoszą dochody, i to po wielu latach profesjonalnych starań. Klub jako marka, którą warto

Wielki prywatny biznes nie tylko nie utrzymuje krajowego futbolu, ale też nie reklamuje się przy okazji piłkarskich rozgrywek.

historyka – mieli błyskawicznie awansować z II ligi do I, a późniejszy plan trzyletni zakładał atak na Ekstraklasę. Znajdujemy się właśnie w ostatnim roku tego okresu i Raków już jest liderem PKO BP Ekstraklasy! Dzięki niestandardowej taktyce z trzema stoperami, pracowitości Papszuna i kilkudziesięciu dopracowanym do perfekcji wariantom stałych fragmentów. A przede wszystkim – zdrowym zasadom finansowania i zarządzania klubem.

Na osobną wzmiankę zasługują ratownicy Wisły Kraków. Nie tylko

mieć w portfolio lub odskocznia od prowadzonych biznesów – jak najbardziej. Jako metoda szybkiego powiększenia majątku – już nie bardzo, choć w polskiej piłce i takie cuda się zdarzały. Zwłaszcza w Warszawie, gdzie jako pierwszy wielkie pieniądze na naszym futbolu zarobił Janusz Romanowski. Niedługo właściciel Kodaka i Canal+ na Polskę... Większość tego rodzaju prób kończyła się głośnymi aferami, dochodzeniami prokuratorskimi i wyrokami sądów. Słowem – klubowym futbolem znad Wisły już niejedną się udtawili.

Zapewne także dlatego najzamożniejsi Polacy stronią od futbolu. Bo to biznes niepewny, obarczony wielkim ryzykiem inwestycyjnym. A poza tym bardzo specyficzny, wymykający się zasadom obowiązującym w innych branżach. Również z uwagi na trudne do wytłumaczenia wpływy – za którymi kryją się szemrane interesy prowadzone nie tylko na trybunach – szalikowców w poszczególnych klubach. I wciąż obarczony skojarzeniami z aferą korupcyjną, której ostatni akt miał co prawda miejsce na boiskach w 2006 r., ale sprawy – głównie ze względów politycznych, a nie tylko z uwagi na niewydolność sądów – ciągną się do dziś. Co z pewnością odstrasza, a nie przyciąga, ludzi z czołówek rankingów najbogatszych Polaków. Wielki prywatny biznes nie tylko nie utrzymuje krajowego futbolu, ale też nie reklamuje się przy okazji piłkarskich rozgrywek. Zapewne wychodząc z założenia, że przy krajowej piłce szybciej można zszargać sobie reputację, niż ocieplić wizerunek.

Pojawienie się pandemii koronawirusa w dużym stopniu wywróciło także futbolowy świat do góry nogami. Pierwszy, wiosenny atak spowodował zawieszenie wszelkiego rodzaju rozgrywek. Następnie stopniowo je wznawiano, ale wprowadzając nowe procedury. W zdecydowanej większości krajów mecze odbywały się bez udziału publiczności (w Polsce w pewnym momencie na trybunach obowiązywał limit widzów; teraz mecze odbywają się bez kibiców). A to niezwykle mocno uderzyło w klubowe finanse, bo przychody z dnia meczowego – ze sprzedaży biletów i gadżetów – w poważnych ligach stanowią nawet jedną trzecią wszystkich wpływów. W polskich realiach należy dodatkowo liczyć się ze zmniejszeniem, być może nawet znacznym, środków zarówno z budżetów samorządowych, jak i ze spółek skarbu państwa. I nie można wykluczyć, że będzie to dopiero początek zakręcania kurka.

O zainteresowaniu futbolem w kraju, kontraktach telewizyjnych i reklamowych oraz frekwencji – na stadionach, przed telewizorami, monitorami i wyświetlaczami – w następnym odcinku.

*Adam Godlewski,
Maciej Polkowski*



Przy okazji amerykańskich wyborów furorę w internecie zrobił Przemysław Żurawski vel Grajewski. To w PiS ważna postać, doradca ministrów spraw zagranicznych Waszczykowskiego, Czaputowicza i Raua, zasiadający w gabinecie politycznym szefa MSZ, stały gość Kancelarii Prezydenta, z ramienia PiS ekspert Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu. W mediach czasami przedstawiają go jako głównego ideologa polityki zagranicznej PiS, ale to chyba przesadne określenie. Żurawski vel Grajewski ma po prostu pewną umiejętność ubierania w słowa tego, co w PiS na temat spraw międzynarodowych mówi się i myśli. A czy to jest jakaś ideologia? Raczej zbiór opowieści. Jak u cioci na imieninach. PiS to chwytka.

No więc z tych opowieści internet ma uciechę. Bo to Żurawski vel Grajewski oficjalnie opowiedział główną zasadę pisowskiej polityki zagranicznej, że bezwarunkowo stawiamy na Trumpa i niech się dzieje wola nieba.

Możemy to przeczytać w „Polskim Przeglądzie Dyplomatycznym” (1/2020), wydawanym przez związany z MSZ Polski Instytut Spraw Międzynarodowych. „Wszystko wskazuje na to, że prezydent Trump wygra wybory w 2020 r. – pisał. – Ten scenariusz Polska powinna przyjąć za podstawę swej polityki wobec USA, pozostałe należy zignorować. Są sytuacje, gdy trzeba obstarwić jeden z możliwych wariantów przebiegu wydarzeń – ten najbardziej prawdopodobny – i przyjąć konieczność zapłacenia kosztów ewentualnej pomyłki. Utrzymanie dotychczasowej linii – dążenie do ścisłego współdziałania ze Stanami Zjednoczonymi, czyli z urzędującym prezydentem – obiecuje nam sukces”.

Te dziecinne dywagacje Żurawski vel Grajewski wzbogacił (tym razem w wywiadzie dla PAP) o geopolityczną teorię „amerykańskich sojuszników regional-

nych”. Potrzebnych Stanom Zjednoczonym do pomocy w rządzeniu światem. Na Dalekim Wschodzie to Japonia, na Bliskim Wschodzie Izrael i Arabia Saudyjska, a w Europie, „ponieważ Niemcy odmówiły podjęcia się roli strategicznego sojusznika, rola ta przypadła Polsce”.

Mój Boże, PiS w takie rzeczy uwierzyło, mamiono się tam, za Żurawskim vel Grajewskim, jaką to potęgą regionalną jesteśmy, „filarem NATO”, że razem z Rumunią to ho, ho itd. Oczywiście teraz śmieją się ludzie, że główny strateg międzynarodowy PiS strzela jak kulą w płot. Ale wraz z nim w ten płot strzelili rząd, prezydent i cała pisowska reszta. Życzenia, które Duda wysłał do Joeego Bidena, że gratuluje kampanii wyborczej i czeka, aż prezydentem mianuje Bidena (*sic!*) kolegium elektorskie, mają przecież jeden walor – przebiły się wśród setek innych, nawet w Ameryce. Bo bardziej obrażały Bidena, niż mu gratulowały, co je wyróżniło.

Cóż, okazuje się, że w Kancelarii Prezydenta mają dwie lewe ręce do dyplomacji. I to od lat, ministrze Szczerski.

A Żurawski vel Grajewski? Po radach dotyczących Ameryki ma rady dotyczące Unii Europejskiej. I (dlaczego nas to nie dziwi?) zachwyca się groźbami Kaczyńskiego, że zawetuje unijny budżet. „Weto. *Non possumus*. I tak będziemy działać wobec każdego, kto będzie stosował wobec nas jakieś wymuszenia – mówił w Polskim Radiu 24 – Jesteśmy po dobrej stronie historii. To ci, którzy chcą nam odebrać suwerenność, narzucić jakieś swoje widzimisię, są na drodze do upadku!”. Wielka Polska i upadająca Europa Zachodnia!

Jako że polityczne przepowiednie Żurawskiego vel Grajewskiego sprawdzają się na opak, już zaczynamy się bać.

Attaché



Jogą w przemoc. Yes Yoga Day zorganizowano w Gizie, by zaprotestować przeciw przemocy wobec kobiet podczas lockdownu.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadrywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- rodzaj ozdobnej zapinki
- litowo-jonowy w laptopie
- pracownik CBOS lub IBRIŚ
- okręt zbudowany dla Jazona
- resorak albo jeździec
- podpisuje książki na targach
- zając zmieniający zimną ubarwienie

- stała klientka restauracji, dyskotek
- inklinacje
- Małgorzata... Przemysłodowna, królowa Danii
- las albo Górnicza
- ...Clarke – Daenerys Targaryen w „Grze o tron”
- tematyka spod znaku Amora

- obowiązujący sposób zachowania w pewnych środowiskach
- i dział gospodarki, i boczna linia rodu
- lepianka lub dół zalany wodą
- „...do miłości ojczyzny”
- imię Domeyki, badaczka Chile
- „...Legenda Mietka Kosza” Macieja Pieprzycy
- ziarna zawierające teobrominę
- i zachcianka, i utwór instrumentalny
- dziedzina medycyny znana Łukaszowi Szumowskiemu
- mała czarna

- poselski albo piłkarski
- obłoki kurzu, dymu
- wielnistoszczypcy zawleczeni do Bałtyku z Chin
- bank jako instytucja pożyczająca klientowi
- na niej wiezione uszkodzone auto
- łzawe dźwięki skrzypiec
- Ahura... w mitologii perskiej
- Organizacja Paktu Północnoatlantyckiego krótko
- piosenka Grechuty do wiersza Mickiewicza
- życzy się ich połamania
- przyrumienieni kromki
- mama osłomula
- przeciwdeszczowe okrycie bez rękawów
- uczciwość i szlachetność
- tam Sejm przyjął konstytucję *nihil novi*

- komedia z Chłopowem i Chlestakowem
- sprzedawca je Cepelia
- sombrero – szerokie
- poławianie i hodowla karpi, dorszy
- średniowieczny wędrowny aktor, muzykant
- ona smaczna z miodem, miód i bez niej
- introwersja, tajemniczość
- otacza żrenicę
- zajęcie gobelinarza
- Eurypides, Ajschylos lub Agaton
- po nim wchodzi się na statek
- bezsłowny obszar w północnej strefie podbiegunowej
- biednemu zawsze w oczy
- drobne kluski formowane pocieraniem dłoni

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-987”. Do rozlosowania książki „Erystyka, czyli sztuka prowadzenia sporów” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 22 listopada 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-984” z nr. 44: *Za czasem trudno nadążyć.*
Nagrody otrzymują: Zdzisława Jaskólska z Czeladzi, Krzysztof Ostrowski z Mieliszyna, Zdzisław Pietruk z Międzyrzecza.

PENETRACJE

PANI JANINA OCHOJSKA, ZAŁOŻYCIELKA POLSKIEJ AKCJI HUMANITARNEJ

W czasie jednej z misji do Sarajewa znalazłam miłość. W drugim samochodzie jechał Michał Okoński, dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”. A potem, w konwoju do Kazachstanu, powiedzieliśmy sobie, że chcemy być razem. Szkoda tylko, że to razem potrwało krócej, niż zakładałam. Małżeństwo przetrwało osiem lat. Michał zakochał się w kimś innym, no i koniec, nie da się nikogo zatrzymać na siłę. Ale mogę powiedzieć, że to było dobrych osiem lat, miałam świetnego męża. Zdrada zawsze jest bolesnym doświadczeniem. Szczególnie gdy okazuje się, że trwała długo. Nie będę twierdziła, że nie było łez, bo były, ostatecznie to był najbliższy mi człowiek, ufałam mu. Coś takiego boli nawet teraz, kiedy już w ogóle o tym nie myślę.

MONDE diplomatique

SERGE HALIMI,
DYREKTOR
WYDAWNICTWA

Jeśli chodzi o Kosowo, to o ile bezsprzecznie zerwało ono ze swoim podporządkowaniem Serbii, o tyle uczyniło to po to, aby stać się kolonią Stanów Zjednoczonych. W istocie jest to typowy dylemat nacjonalistów: kiedy zrywają z bliskimi geograficznie i kulturowo narodami, uzyskują „niepodległość”, której ceną jest często podporządkowanie odległym i odnoszącym się do nich z pogardą mocarstwom. Muszą schlebiać to jednemu, to drugiemu. W swoim

małym państwie są autokratami, lecz stają się wasalami, gdy tylko z niego wyjadą.

TYGODNIK ANGORA

MICHAŁ BARTEL,
SZEF WYSZKOLENIA
POLSKIEGO ZWIĄZKU
SZACHOWEGO

Rywalki odnotowały, że Patrycja Waszczuk chodziła do toalety nawet kilkanaście razy w trakcie jednej partii. To było podejrzané, a nawet pachniało brzydkim oszustwem. Po kontroli okazało się, że Patrycja miała telefon. Została wykluczona z turnieju. Jeden z najlepszych szachistów, mistrz olimpijski Hikaru Nakamura, przeanalizował partię Patrycji z mistrzostw Polski. Amerykanin posunięcie z królem do centrum określił nieprawdopodobnym. Stwierdził, że zawodnik nigdy by takiego ruchu nie wykonał bez komputerowej pomocy. To posunięcie jest logiczne, ale nieludzkie. Komputer taki ruch wskaże po paru sekundach, bo jest zdecydowanie lepszy od umysłu człowieka.

URODA

KAROLINA GRUSZKA,
AKTORKA

Zaczęłam jeździć na warsztaty i odosobnienia z buddyjskimi mistrzami, którzy do Moskwy przyjeżdżają znacznie częściej niż do Warszawy. I w końcu odnalazłam się w medytacji. Myślę, że pozwala mi poczuć energię życia, zrozumieć, że to właśnie jestem ja, za myślami, emocjami, że w swojej istocie nie rodzę się i nie umieram. Pomaga mi to widzieć siebie w innych, wyzwala od lęków, od iluzji wolnej woli, daje wolność.

Aby język giętki...

DANIEL PASSENT O PROTESTACH

Nadmiar Kościoła w państwie wylał się na ulice.

JAN ENGLERT O DIALOGU

Wystarczy posłuchać debat politycznych. Są nieustające monologi.

PROF. JANUSZ CZAPIŃSKI O WSPÓLNYM WROGU

Dla rosnącej rzeszy Polaków tym wspólnym wrogiem jest Zjednoczona Prawica, a personalnie Jarosław Kaczyński.

AGNIESZKA GRAFF O MARCIE LEMPART

Ma niesłychaną charyzmę, siłę, odwagę. Ale ona nie przewodzi tej rewolucji, to raczej bunt niesie ją.

JERZY IWASZKIEWICZ O MATEUSZU MORAWIECKIM

Premier mówi tak dużo i tak często, że jest mu wszystko jedno, co mówi.

HANNA ŚLESZYŃSKA O RELACJACH

Nawet po rozwodzie utrzymywałam serdeczne relacje z obiema moimi byłymi teściowymi. Podobnie jak z byłymi mężami i ich obecnymi partnerkami.

ANNA JURKSTOWICZ O DZIECIACH

Zamiast żyć do czterdziestki bezdzietnie, zrobiłam odwrotnie. Mając 20 lat, urodziłam, a po czterdziestce byłam już wolną kobietą.

ARTUR ANDRUS O PŁYWANIU

Umiem pływać, ale tylko na plecach i tylko trochę.

BOGDAN HUSSAKOWSKI DO GABRIELI MUSKAŁY

Obsadziłem cię w tej roli, Gabriściu, bo ty masz w sobie i zakonnicę, i kurwę, i wszystko, co między nimi.

MACIEJ STUHR O TYM, CO BY BYŁO...

...gdybym nie był Polakiem, tylko ograniczonym słońcem Hiszpanem, który statystycznie żyje o sześć lat dłużej.

TOMASZ RACZEK O MAMIE

Jeśli mam trochę wdzięku, to po mamie. Dużo się uśmiechała, ja też się uśmiecham.



Na 21. światowej aukcji białych trufli w Albie w północnych Włoszech, w tym roku internetowej, 900-gramowa trufła osiągnęła wartość 100 tys. euro.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Trudne czesne do zgryzienia

Uczelnia turystyczna na indonezyjskiej wyspie Bali umożliwiła płacenie za naukę... kokosami. Jak wyjaśnia założyciel Venus One Tourism Academy, większość jej studentów ma trudności finansowe, przede wszystkim osoby, których rodzice z powodu pandemii trafili na bezpłatne urlopy. W tej sytuacji Wayan Pasek Adi Putra, który poza działalnością edukacyjną zajmuje się wytwarzaniem oleju kokosowego, zaproponował, by to studenci przynosili mu surowiec do produkcji. Skupuje go po cenie rynkowej, wynoszącej równowartość ok. 1,3 zł za sztukę, co oznacza, że aby opłacić roczne czesne, słuchacz akademii musi zebrać 1,6-2 tys. kokosów. Biznesmen podkreśla, że rozwiązanie ma dodatkowy cel, jakim jest kształtowanie u studentów zmysłu przedsiębiorczości. Od razu widać, że nie znosi bananowej młodzieży!

Kolacja? Już lecę

Twórczą odpowiedzią na koronakryzys może także się pochwalić singapurski narodowy przewoźnik lotniczy, który w dwóch uzimionych samolotach organizuje wieczory restauracyjne. Aby skorzystać z oferty, trzeba zarezerwować stolik, stawić się na lotnisku Changi i pomyślnie przejść badanie temperatury. Goście pokładowej restauracji mają do wyboru wiele zestawów, z których najtańszy kosztuje 39 dol., a najbardziej luksusowy – 474 dol. Po-



myst Singapore Airlines okazał się strzałem w dziesiątkę, gdyż miejsca na dwa pierwsze wieczory zostały wykupione w pół godziny.

Nie zostawia „Titanica”

Osoby spragnione mocniejszych wrażeń już wkrótce będą mogły na własne oczy zobaczyć wrak najśłynniejszego statku na świecie. Amerykańska firma OceanGate Expeditions zapowiedziała, że wiosną przyszłego roku uruchomi usługę podwodnych rejsów turystycznych. Za ośmiodniową podróż, której zwieńczeniem będzie nurkowanie w miejscu, gdzie znajdują się pozostałości po pechowym transatlantyku, trzeba będzie zapłacić 125 tys. dol. Cena nie okazała się jednak zaporowa – na koncie organizatora pojawiają się kolejne wpłaty. Stanowisko zespołu Lady Pank wobec całego przedsięwzięcia nie jest jeszcze znane.

Wyprawa po zielone runo

W Nadleśnictwie Skwierzyna w Lubuskiem rozbito szajkę zajmującą się wyjątkowo bulwersującym procederem. W trakcie patrolu prewencyjnego strażnicy leśni natknęli się na 16 wielkich worków wypełnionych mchem, a niedługo później namierzili dwie osoby parające się jego nielegalnym zbiorom. Jak się okazało, byli to członkowie zorganizowanej grupy, która kradła mszaki na potrzeby świątecznych stroików przeznaczonych na eksport. Szubrawcy zostali ukarani mandatami oraz skłonieni do odłożenia mchu tam, skąd go zabrali. Samo ciśnięcie na usta: jaki kraj, tacy Argonauci...

Wyp...eńnijmy im skrzynki!

Skoro mowa o niegodziwcach, warto wspomnieć o internetowym narzędziu do wyrażania wściekłości w związku z niedawnym orzeczeniem trybunału Przytęb-

MEMY BEZ ŚCIEMY





Sportowcy mogą spojrzeć na świat z innej perspektywy. Zhou Ruiyu z Chin podczas zawodów gimnastycznych w Tokio i piłkarz Bahii Gilberto po strzeleniu gola na Arena Fonte Nova w Salvadorze w Brazylii.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiliłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoredaktorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupieczowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



skiej. Za pomocą strony BlokadaZdalna.pl możemy włączyć się w akcję zalewania mejlami skrzynek polityków, którzy dążą do piekła kobiet. Witryna jest niezwykle prosta w obsłudze. Klikając w znak zapytania, możemy sprawdzić, do kogo trafi nasza wiadomość i jaka będzie jej treść (jeśli nam nie odpowiada, możemy wygenerować inną). Następnie wystarczy „naładować” swój gniew, do czego służy czarna kropka z czerwonym piorunem, by elektroniczny list został anonimowo wysłany do nikczemników. Do czego zachęcamy – to jest wojna!

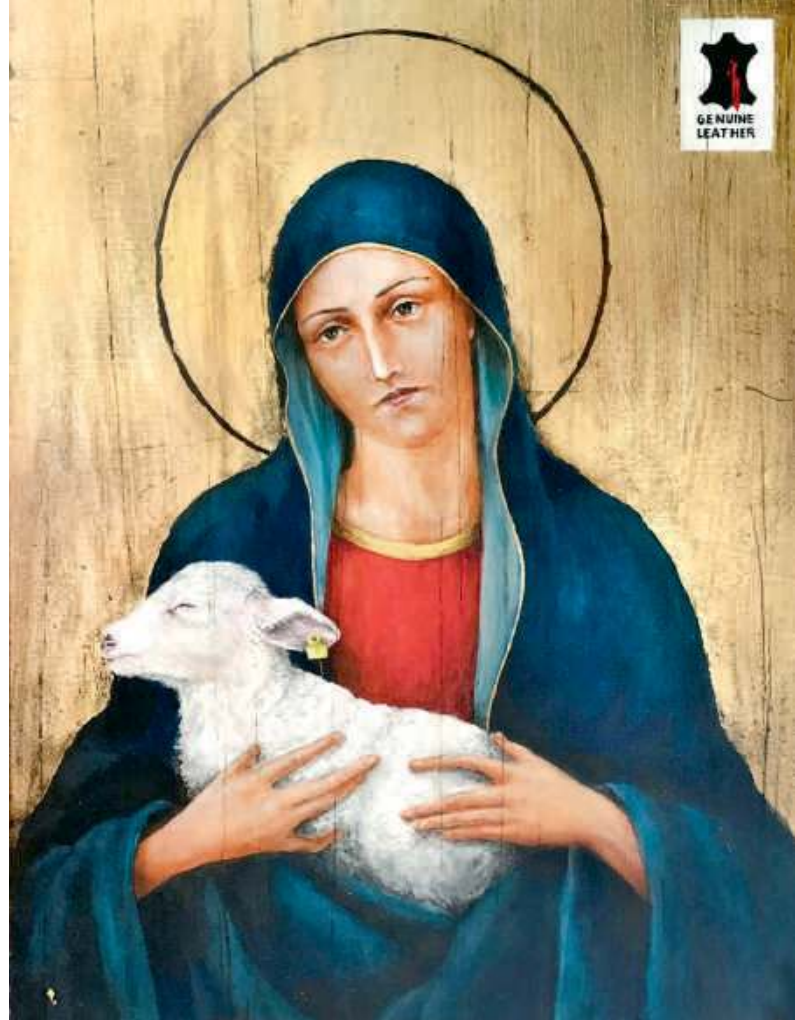
I wszystko jasne

Na Uniwersytecie Purdue w stanie Indiana udało się uzyskać najbielszy odcień bieli. Do produkcji białych farb standardowo używa się tlenku tytanu, jednak amerykańscy naukowcy zastosowali powszechnie występujący w naturze węgiel wapnia i stworzyli biel odbijającą aż 95,5% światła słonecznego. Testy pokazały, że powierzchnie pomalowane innowacyjną farbą są w nocy nawet o 18 st. C chłodniejsze niż reszta otoczenia i o 3,1 st. C chłodniejsze, gdy słońce znajduje się w zenicie. Farba może więc być stosowana w ciepłych krajach jako alternatywa dla klimatyzacji. Przypomnijmy, że najczarniejsza farba na świecie pochłania aż 99,995% światła.





Mariusz Zdybał – To be or not to be



Borys Fiodorowicz – Boże ciało

46. Aukcja Nowej Sztuki

20 listopada, piątek, godz. 19.30
Art in House Dom Aukcyjny
Warszawa, Aleje Jerozolimskie 107

Jakub Godziszewski
– Kobieta z papugami



Grzegorz Kufel – Sobota



Kacper Piskorowski – Childish Game





**PIES
W KORONIE**

ZOSTAŃ WOŁONTARIUSZEM!



**MOŻESZ POMÓC W SPACERACH Z PSEM
OSOBOM CHORYM, NA KWARANTANNIE?
A MOŻE SAM POTRZEBUJESZ POMOCY?**

ZNAJDŹ NAS NA FACEBOOK I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ:



PIES W KORONIE - GRUPA WSPARCIA

Film inspirowany bestsellerową
powieścią Jacka Londona

MARTIN EDEN

W rolach głównych
LUCA MARINELLI
JESSICA CRESSY

POKAZY SPECJALNE
19, 25, 29 listopada



Intrygująca łamigłówka

TYLKO ZWIERZĘTA NIE BŁĄDZĄ

W rolach głównych
DENIS MÉNOCHET, LAURE CALAMY
DAMIEN BONNARD,
VALERIA BRUNI TEDESCHI

POKAZY SPECJALNE
16 i 28 listopada

Czasami warto dać sobie
drugą szansę

SEKRET BOGINI FORTUNY

W rolach głównych
EDOARDO LEO
JASMINE TRINCA
STEFANO ACCORSI

POKAZY SPECJALNE
24 listopada, 3 grudnia



KINO ONLINE w TWOIM DOMU na platformie wirtualnych kin

MOJEOKINO.PL

Z MOJEOKINO.PL wspierasz kina

stowarzyszenie
kin
studyjnych